



# *Holder Nancy*



*Namiętności 11*



# *Jedyna*

## *Rozdział pierwszy*

W Julian wstawał świt. Lawendowofiołkowe smugi, którymi pokryte było poranne niebo, ustępowały ciepłym, złotawym blaskom bezchmurnego kalifornijskiego poranka. Turkusowe płaszczyzny rozświetlonego nieboskłonu błyszczały nad drewnianymi budynkami Main Street. Sklep, historyczny Julian Hotel, zbudowany w okresie gorączki złota, i wreszcie antykwariat na rogu był dla Jacka Youngblooda, mozolnie sterującego wzdłuż ulicy, niczym latarnia morska dla żeglarza.

Czuł w głowie pulsujący ból, powieki piekły, jak gdyby pokrywał je drobnoziarnisty piasek, ale wiedział, że wewnątrz sklepu czeka go odpoczynek.

— Kawy — jęknął niczym umierający. — Aspiryny. Szedł prosto przed siebie. Ciężkie kroki kowbojskich butów dudniły na drewnianym pomoście. Każde stąpienie drażniło jego skołatana czaszkę. W Alcott's Antiques paliły się światła. Westchnął, naciskając prawą ręką blaszaną gałkę drzwi, po czym wszedł.

Jego siostra, Karen, przewijająca właśnie dziecko, podniosła wzrok i cicho gwizdnęła.

— O rany, Jack — powiedziała, nakładając małej plastikowe majteczki i tuląc ją do piersi. — Nie wyglądasz jak pełnokrwisty ogier.

Próbował uśmiechem zareagować na jej uwagę, ale mięśnie wokół jego ust były zbyt zmęczone. Przez chwilę nie mówił, rozkoszując się uroczym widokiem matki z dzieckiem. Otoczona rondelkami, połyskującymi orzechowymi szafkami i krzesłami Karen wyglądała jak uosobienie spokoju i zadowolenia.

Była prawie jego wzrostu, ubrana w zieloną bluzkę, niemalże taką samą jak jego koszula, z włosami koloru palonych kasztanów i jeszcze ciemniejszymi oczami.

Jack miał wystające kości policzkowe i mocno zarysowane szczęki. Karen była do niego bardzo podobna, ale rysy jej twarzy były znacznie bardziej delikatne.

Była to wspaniała kobieta. Jack poczuł przyływ braterskiego sentymentu, nawet kiedy drażniła się z nim, mrużąc oczy i sycząc, gdy próbował musnąć ustami jej policzek.

— Tak, masz rację. Nie wyglądam wystrzałowo. Wyglądam jak wystrzałowy właściciel stadniny — poprawił.

— Nie tak to ujęła Jessie Reynolds — rzekła, spoglądając na niego.

— Mam nadzieję, że nie przeraził cię fakt, iż zostałeś lokalnym bohaterem?

— Ploty później, teraz kawa — błagał niskim, może nawet niższym niż zwykle głosem.

Ziewnął, łaskocząc swoją małą siostrzenicę Megan w podbródek. Pulchne małe rączki dotknęły jego orlego nosa. Czteromiesięczne maleństwo zapiszczało z radości. Karen sięgnęła pod ladę, na której stała kasa, po dzbanek z kawą i naląła mu filiżankę mocnego, aromatycznego napoju dodając trzy kostki cukru. Miał słabość do słodczy i pomimo ogromnych ilości wszelakich słodkości, jakie pochłaniał, nigdy nie miał dziur w zębach.

Karen, która cierpliwie je szczotkowała, zapłaciła za to gorzkim rozczarowaniem, bólami, jakie przeżywała na fotelu dentystycznym i przewiskiem, które nadal jej kochany braciszek — „Stara Srebrna Gęba”. On natomiast był „Starą Płócienną Gębą”. Oblizywał wargi, przyglądając się, jak zgrabnie jego siostra trzymała Megan. Zastanawiał się, czy w końcu dojdzie do siebie. Jego zwiotczałe ze zmęczenia mięśnie przypominały wilgotny makaron.

— Naprawdę jesteś w złej formie, braciszku — konstatowała Karen, podając mu kawę i kładąc rękę na ramieniu. — Tym razem naprawdę przesadziłeś.

— Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Karen zachichotała.

— Tak, wiem. Słuchaj, muszę iść po butelkę Megan do kuchni. Zaraz wracam.

— Aspiryna. Błagam o aspirynę.

— W porządku. Wracam z butelką i aspiryną.

Przytakując pokiwał głową i w tym momencie przeszył go ostry ból.

— Nie, nigdy więcej tego nie zrobię — jęknął, przełykając kawę. Karen roześmiała się bez troski, mierzwiąc mu włosy.

— Ależ skąd. Zrobisz to. Zawsze, kiedy zdarzy się okazja, znów znajdziesz się w Longbranch, kupując każdego, kto będzie chciał postawić na kolejną gonitwę Jacka Daniela.

— Nie, nigdy.

— Zrobisz. Tak, zrobisz to, Jack. Mogłabym się założyć nawet o ten precudny dzban z holenderskiej porcelany. Znam cię. Zrobisz to.

Uśmiechając się zniknęła za drzwiami. Ściągnął usta, drapiąc się przez chwilę pod brodą. Cholera! Oczywiście, miała rację. Jasne, że powtórzyłbym całe to przedstawienie, jeśliby się nadarzyła okazja. Mocno wierzył w takie rzeczy. Zresztą zeszłej nocy zdecydowanie miał powód, by coś świętować. Żrebak spleciony przez jednego z jego nagrodzonych ogierów został sprzedany na aukcji w Dallas za — nie mniej, nie więcej — tylko dwa tysiące dolarów. To było zwycięstwo dla jego stadniny — Rancho Espejo.

Teraz znów podniesie stawki i będzie oglądał hodowców koni ustawiających się do niego w kolejce. Co więcej, wiedział, że jego następny żrebak także zostanie sprzedany.

— Znów będę miał okazję do uczczenia. — Odetchnął, bawiąc się łyżeczką, kawa była zbyt gorąca. — Youngblood, musisz się nauczyć samokontroli — powiedział do siebie.

Przez moment zdawało mu się, że coś błysnęło mu przed oczami. Prześliznął się wzrokiem po oknie, które otwierało się na prześliczny ogródek Karen, pełen róż, bratków i malw. Nie znalazł tam niczego nadzwyczajnego, kwiaty leniwie kołysały się na wietrze, subtelne zapachy mieszały się z aromatem kawy.

— Pewnie to był drozd — skonstatował, przyglądając się pustemu gniazdku na różanym żywopłocie.

Wzruszywszy ramionami, podniósł do ust filiżankę kawy i niemalże wylał jej zawartość na kolana, zastygając na moment.

Małe, podobne do kozy stworzenie umknęło w popłochu, przeskakując różany żywopłot. Strząśnięte płatki spadały jak delikatny deszczyk.

Stworzenie miało tylko jeden róg. Jednorożec schylający się, by schrupać kwiaty? Jack zmrużył oczy.

— Chyba za dużo wypłem — wymamrotał. — Mam halucynacje. „Kobieta, nie — anioł, który zmaterializował się gdzieś pomiędzy cudnymi kwiatami groszku pachnącego i wyraźnie kieruje się w stronę jednorożca” — pomyślał.

Zjawa ubrana była w staroświecką suknię z królewskiego, błękitnego jedwabiu, mieniącego się srebrem. Obszerna kreza okalała owal twarzy, miała jasne blond włosy, miękkie, faliste kaskady, ozdobione diademem z dzikich kwiatów, które wspaniale harmonizowały z kobaltowym błękitem oczu.

— Merlin! — zawołała melodyjnym głosem w momencie, kiedy Jack poczuł uderzającą mu do mózgu krew.

Koza-jednorożec, czmychająca w głąb ogrodu, i anioł zniknęły z pola widzenia.

— Karen — wyszeptał żałośnie. — Karen, chodź szybko. Musiałem się kompletnie urżnąć.

Kiedy powoli wstawał, kobieta-anioł znów się objawiła, tylko tym razem była wyższa i ubrana w szkarłat.

— Hej! — próbował krzyknąć, ale jego słowa zmieniły się w chrapliwy pomruk, który przestraszył umykającego jednorożca. Zjawa w błękicie gwałtownie się cofnęła. Zanim zdołał z siebie wydobyć kolejny żałosny jęk, ruszyła w stronę okna i zastukała w nie.

— Przepraszam — szepnęła — ale nasz jednorożec jest w pańskim ogrodzie.

Przyglądając się jej, Jack odparł:

— Pani jednorożec...

Z daleka była ładna, a z bliska wręcz olśniewająca. Wykwintna niczym księżniczka w swojej jedwabnej sukni i diademie lśniła dojrzałą pięknnością kobiecą. Suknia obciskała jej drobne ciało,

uwypuklając pierś tak białą, jak sznury pereł, które ją ozdabiały.

Jej oczy były dwoma ogromnymi szafirami. Wpatrywały się w niego błagalnie, a różany pąs oblewał jej policzki i małe, lecz pełne usta.

— To jest zupełnie zwyczajna koza — powiedziała szybko — ale nazywamy ją...

— Claire! — Jacka dochodził skądś głos kobiety — zapytaj, czy mają jakiś sznurek. Och, nie! Tam była grządka warzywna!

— Cholera! — Jack zaklął, cały czas czując ból głowy, i ruszył do walki.

Claire nieco się odsunęła od wysokiego nieznajomego, kiedy wpadł do ogrodu przez tylne drzwi antykwariatu. Przeraził ją grymas jego ust i ogień w głębokich brązowych oczach.

— Claire! Claire! — jej siostra, Amy, zawołała zniecierpliwiona. — Pospiesz się!

Claire spojrzała na mężczyznę, którego obcisłe dzinsy nadawały kształt jego sylwetce, kiedy biegł za nią w kierunku różanego żywopłotu. Podwinęte mankiety koszuli odkrywały duże, opalone ręce.

„Wygląda na zmęczonego — pomyślała — ale jest zniewalający.” Nie mogła się powstrzymać od tej myśli. Bacznie przyglądała się nieznajomemu, po czym ożywiona podwinęła nieco swoją ciężką suknię usztywnioną halkami i pospieszyła za nim.

— Proszę, nie krzywdź Merlina — zawołała, potykając się między grządkami warzywnymi, na które mężczyzna nie zwracał uwagi. Jeden z jej pantofelków zaplątał się wśród gałęzi kolczastego krzewu i wydała okrzyk, kiedy kolce zraniły jej palce, promieniując bólem na całą nogę.

Kobieta trzymająca dziecko wyszła na ganek sklepu z antykami.

— Jack! Co się stało? Czy potrzebny ci mój pistolet?

— Nie! — zawołała Claire błagalnym głosem. Strach ścisnął jej serce i podwoiła starania, by zrównać się z nieznajomym. Lord Petit Sirrah — ich największy doradca — przestrzegał przed tutejszymi ludźmi. „Przede wszystkim nigdy nie należy wchodzić na cudzy

grunt — przypomniała sobie. — Właściciele są cholernie wrażliwi na tym punkcie. Uważaj i zawsze miej w kieszeni na tyłku wystarczająco dużo śrutu."

— Amy, Merlin, chodź szybko! — zasapała, robiąc unik przed wystającą gałęzią sosny.

Próbowała złapać trochę powietrza, ale obcisły gorset pozwalał jej tylko na krótkie oddechy. Zbladła jeszcze bardziej, ale wizja, że mały Merlin może być zabity z zimną krwią, gnała ją naprzód.

— Błagam, błagam! — krzyknęła zapamiętale, próbując schwycić mężczyznę, który zniknął za drewnianym płotem. — Zapłacimy za wszystkie szkody, proszę...

— Cholera, niech to szlag trafi! — ryknął mężczyzna. Claire, potykając się o przeszkody, dobiegła do płotu szczękając zębami i czując ból w ramieniu. Wszystko dokoła ciemniało. Zastanawiała się, czy to przywidzenie, czy rzeczywiście widzi Merlina z liściem kapusty w mordzie i nieznanego z lassem w ręku. Amy, machając rękami, przebiegła obok i nagle cała trójka wpadła w różany żywopłot, tworząc przedziwną płataninę rąk, nóg, wśród których tkwił jeden róg.

Podmuch różanych płatków, który niczym tornado przeleciał nad ich głowami, kaskadami opadł na mężczyznę, dziewczynę i małą bestię. Oszalała Amy objęła Merlina, wrzeszczała, by nie strzelać, nieznanomy natomiast śmiał się serdecznie.

Śmiał się! Claire łapała oddech, albo też próbowała go złapać. Padła zemdlna z wysiłku.

Prawie nie czuła, że ktoś dotykał jej ciała i rozluźnił krępujące ją skórzane rzemyki kostiumu. Zachowała świadomość i próbowała się bronić, kiedy ściągano jej z ramion stanik sukni, odsłaniając luźną, elżbietańską damską bluzkę, zrobioną z delikatnej gazy.

— Oddycha — odezwał się jakiś niski głos, ktoś płakał.

Claire nie była w stanie otworzyć oczu ani mówić. Ciepłe, długie palce przesuwały się najpierw wzdłuż jej pleców, potem po karku. Czuła ostry zapach skóry, piżma i drzewa cedrowego. Wyczuwała lekki powiew powietrza. Potem ktoś ją podniósł, biorąc w silne,

muskularne ramiona. Słyszała bicie swego serca. Próbowwała mówić, ale po chwili znów poszybowała w ciemność, zaczęła spadać i nagle...

Pocałunek? Czyżby ktoś ją pocałował?

— Dochodzi do siebie.

Claire słyszała głos, choć nie wiedziała, skąd dochodzi. Raz jeszcze próbowała otworzyć oczy, ale szybko je zamknęła, wtulona ciemnością i ciepłem okrywających ją po samą brodę koców. Czuła wosk i cytrynę, lecz najsilniejszy był słodki zapach fiołków.

— Dzięki Bogu — powtórzył głęboki męski głos.

— Nie wiedziałem, że biegła w stronę płotu, ale to ramię tak wygląda...

— Jak dobrze, że wiedziałeś, co zrobić. Nie miałabym pojęcia, jak jej pomóc. Nawet bałabym się ją ruszać. Swoją drogą lekarz mógłby się pospieszyć — powiedziała pierwsza osoba i Claire rozpoznała głos kobiety, która dawała mężczyźnie rewolwer.

Otworzyła oczy, próbując usiąść, ale jego stwardniałe dłonie złapały ją za ramiona, kiedy się nad nią pochylał. Kobieta krążyła wokół z butelką wody kolońskiej i chusteczką do nosa.

— Spokojnie, spokojnie — próbował ukoić jej ból, a ton jego głosu przypominał Claire czas spędzony w Rodezji, kiedy ojciec łagodnie nakłaniał lwa, by zszedł z drogi. Wzrok nieznanego był zatroskany, ale także zdecydowany. Dlaczego była posłuszna jego delikatnym ruchom próbującym nakłonić ją do położenia się na atlasowej poduszce?

Miał oczy koloru intensywnej czerni, z tajemniczymi, złotymi cętkami wokół tęczówek. „Oczy ogiera” — pomyślała przyglądając się. Nieco zwierzęce. Leżała na kanapie, zatapiając się w miękkościach materaca z perkalowym obiciem. Nagle uświadomiła sobie, że leżąc pod kołdrą, nie ma na sobie nic oprócz prześwitującej koszuli i bikini koloru herbacianego. Musiał zrozumieć powód jej konsternacji, bo uśmiechnął się i rzekł:

— Nie byłem pewien, co ci się stało, a sukienka niemal cię dusiła.

Pod jego rękami leżącymi na ramionach poczuła lekkie mrowienie rozchodzące się po plecach, karku i krągłościach piersi. Niemal



bezwiednie złączyła nogi.

Był tak blisko, że widziała pojedyncze włoski jego podbródka i wklęsłości policzków. Przyprawiało ją to o zawrót głowy.

— Co się stało z Merlinem? Gdzie jest moja siostra? — spytała.

Amy wysunęła się naprzód z podkrążonymi od płaczu oczami, zmierzwionymi włosami, poprząskanymi płatkami róż i liśćmi. Jej kiedyś piękna, szkarłatna sukienka była teraz zabłocona i porwana. Wyglądała jak wzbudzające litość, bezdomne stworzenie. Na rękę trzymała dziecko, którego różowa twarzyczka wyłaniała się zza puszystego, żółtego pledu.

— Merlin jest na zewnątrz — rzekła Amy, siadając na krawędzi łóżka.

— Karen karmi go jabłkami i marchewką.

— Och, Claire, przeraziłaś mnie! — Świeże łzy napłynęły jej do oczu. — Myślałam, że nie żyjesz!

Claire uśmiechnęła się słodko, kładąc dłoń na rękę siostry.

— Przykro mi, moja droga, ale teraz już się mnie nie pozbędziesz.

— Jej głos zrobił się słodszy. — Nigdy cię nie opuszczę, Amy.

Przyglądały się sobie z miłością. Miały różny kolor oczu. Amy miała ciemnobrązowe. Delikatnie przekładając dziecko z jednej do drugiej ręki, odrzekła:

— Wiem.

— Lekarz w drodze — wtrąciła Karen.

— Obawiają się, że możesz mieć wstrząs mózgu — wyjaśniła Amy, przygryzając dolną wargę.

— To bez sensu, nie uderzyłam się w głowę — zaoponowała Claire.

Nie mogły sobie pozwolić na takie ekstrawagancje, jak pieniądze wyrzucone na pomoc medyczną. Od śmierci rodziców nigdy nie była zraniona ani chora.

— Czuję się dobrze.

— Tak? Szkoda, że nie widzisz swojego ramienia.

— Spuchło. Mówi, że będziesz miała kilka strasznych siniaków — rzekła Amy.

Claire poczuła falę ciepła napływającego do jej twarzy. Marzyła o tym, by znów zemdleć. „Widział mnie kompletnie rozebraną. Widział moje ramiona i Bóg wie, co jeszcze. Renesansowe damy nie nosiły staników. Teraz i on już o tym wie.”

Czy ją pocałował? Czy te słodkie wargi dotknęły jej na moment? Czy to, co czuła na swoim podbródku, było łaskoczącym skrobaniem jego brody?

— Wszystko w porządku? — dopytywał się mężczyzna. Zmarszczył brwi, studiując uważnie jej twarz. — Zbladłaś.

Przełknęła ślinę.

— Zdaje się, że się nie znamy. Jestem Claire van Teiler.

— Powiedziałaś mi — wtrąciła Amy. Wymienili uścisk dłoni.

— Jack Youngblood. A to moja siostra Karen i siostrzenica Megan. Jesteś biała jak zjawa.

Udało jej się słabo uśmiechnąć.

— Przykro mi z powodu waszego ogrodu.

— Nie chcą wziąć pieniędzy. Już im to proponowałam — rzekła Amy.

„Chwała Bogu” — pomyślała Karen, robiąc niezadowoloną minę. Ulżyło jej.

— Ale my chcemy państwu zapłacić — nalegała.

— Och, dobrze, jakoś wyrównamy rachunki — powiedział Jack, a ona wyczuła nutkę powagi w jego głosie. Okryła się czym prędzej po samą szyję. O Boże! Widział ją!

Czy ją pocałował?

— Cóż myślisz o darmowych biletach wstępu na Bal Renesansowy? — spytała Amy z błyskiem w oku. — Lord Petit Sirrah zapewniłby mi kilka, nie sądzisz?

Jakby w odpowiedzi na to, Morgan zmarszczyła nosek. Amy zachichotała, przykładając miękki koc do ust małej.

— Ależ naprawdę, proszę się nie martwić. Nic złego się nie stało. Zjadł tylko kilka główek kapusty, a róże wyrosną na nowo.

Wyraz twarzy Jacka przekonał Claire, że Karen była w tym momencie nie tyle szczerą, ile grzeczną. Ana, Amy i Marlin (na

nieszczęście) zostaną w Julian przez miesiąc. W tym czasie będzie zmuszona zrobić coś, by zrekompensować tej czarującej kobiecie poczynione przez Marlina szkody.

W oddali zadzwonił dzwonek.

— To pewnie doktor Lewis — powiedziała Karen, pospiesznie opuszczając pokój.

— Naprawdę nie potrzebuję lekarza — powtórzyła Claire, odrzucając włosy z twarzy. — Proszę, dajcie mi moje ubranie i pójdziemy sobie z Amy.

— Pozwól, by zobaczył cię lekarz — odrzekł Jack, spoglądając na nią surowo. Zauważyła, że miał długie jak firanki rzęsy, które podkreślały jego intrygujące oczy. — Potem odwiozę cię do domu.

Uniosła wysoko głowę i skrzyżowała ręce na piersi, pamiętając, że jest prawie naga. Chwyciła brzeg kołdry.

— Panie Youngblood, nie jestem przyzwyczajona do tego, że się na mnie krzyczy, a poza tym...

— Claire się martwi o pieniądze — wtrąciła Amy.

— Amy! — Claire spojrzała na nią skonsternowana, a siostra, uśmiechając się słodko, musnęła jej policzek.

— No dobrze, ale myślę, że po raz pierwszy powinnaś zadbać też o siebie — Cunky zwróciła się do Jacka. — Ona wszystko kupuje dla mnie, a sobie zostawia nędzną resztę.

— Czyżby? — zapytał Jack, obserwując bacznie Claire. Płonęła, czując na sobie jego spojrzenie. Wiedziała, że z tej twarzy wyczytał więcej, aniżeli chciała.

Dziecko niespokojnie kręciło się w ramionach Amy i po chwili zaczęło płakać.

— Daj, ja ją potrzynam — zaproponował Jack i wziął Megan na ręce. Ucieszył się, widząc, że się uspokaja i znów zaczyna gaworzyć. Delikatny uśmiech złagodził jego ostry profil, w jego spojrzeniu było tyle miłości, że Claire poczuła ściskanie w gardle. Tuląc dziecko, głaskał je swym ostrym policzkiem po przypominających puszek włosach. Po chwili powrócił do tematu:

— Doktor musi cię obejrzeć — rzekł, wychodząc z pokoju.

— Ja nie...

Kobieta niosąca skórzaną, czarną torbę pojawiła się w drzwiach.

— Hej, Jack — powiedziała — wyglądasz, jakbyś właśnie ty miał być moim pacjentem.

— Ależ skąd — odparł śmiejąc się. Cofnął się i odchrząknął.

Podnosząc prawą dłoń do skroni, wskazał na Claire. — Upewnij nas, że wszystko z nią w porządku, Jane — rzekł, całując w głowę Megan — i przyślij mi rachunek.

Odszedł, zanim Claire zdążyła zaprotestować.

Jakieś pół godziny później Jack mógł wszystkich poinformować, że Claire nic się nie stało, trochę się tylko potłukła i podrapała.

Wziął prysznic i ogolił się. Wyglądał już zupełnie inaczej. Włożył świeże dzinsy i jasną koszulę. Jego włosy połyskiwały w słońcu raz miedzią, raz złotem, kiedy wskazywał Amy drogę do lekkiego, półciężarowego wozu.

Merlin bynajmniej nie okazywał skruchy za swój czyn. Nie troszczył się także zupełnie o to, czy mają go za żarłoka, czy też nie.

— Uważaj teraz — nakazał Claire, podtrzymując jej rękę, kiedy wchodziła do wozu.

Jego znaczący uścisk przyprawił ją o dreszcz. Kim był ten szalony nieznajomy, pędzący na ratunek w ogrodzie swojej siostry i z taką gorliwością troszczący się o osobę, która bezprawnie przekroczyła granice tego ogrodu.

„I ta stanowczość” — pomyślała, przywołując moment, w którym nakazał jej zobaczyć się z lekarzem.

— Z przykrością zauważyła zmarszczkę na jego czole, kiedy zatrząskiwał drzwi samochodu. Potem wrócił na swoją stronę, a ona pomyślała, że chciałaby mu się jakoś odwdzięczyć. Wyobraziła sobie, jak masuje jego kark, potem głowę ręką zagłębiającą się w jego włosach.

— Wszystko w porządku? — spytał, siadając obok niej. — Zacerwieniłaś się. Powinnaś była powiedzieć mi o nodze.

— Nawet nie pozwoliłeś — odrzekła, wdychając jego przyjemny zapach. — Poza tym to tylko kilka zadraśnień.

Popatrzył zniecierpliwiony.

— Widziałem je, Claire. Jedno z nich jest na pół cala długie.

— Na szczęście mam grubą skórę i prawie nic nie czułam.

Parsknął w odpowiedzi, potem zapalił wóz i ruszyli wzdłuż ulicy. Mijali kolejne budynki. Mężczyźni w kowbojskich kapeluszach machali Jackowi. Jakaś kobieta wpatrywała się długo, próbując zgadnąć, kto siedzi obok niego. Claire słyszała beczącego z tyłu, jakby w odpowiedzi na powitanie, Merlina.

Jack uśmiechnął się do niej figlarnie.

— Coś cię śmieszy?

— Niezupełnie — odpowiedziała.

Mężczyzna na koniu pozdrowił Jacka, który podniósł rękę w odpowiedzi.

— Wiesz, to przyjazne miasteczko. Myślę, że je polubimy.

— Na pewno.

— Byłeś bardzo... uprzejmy — przełknęła Claire.

— „Uprzejmy” to złe słowo.

— A co do lekarza, zwrócę ci pieniądze — wyjąkała, poruszona ekscytującym półszepcetem jego odpowiedzi. „Spokojnie — powiedziała do siebie. — On tylko flirtuje.”

— Już mi je zwróciłaś.

Nic nie odrzekła, czuła na sobie jego spojrzenie, gdy czekał na jej słowa.

Cieżarówka skręciła w wąską dróżkę. Oglądała mijane sady jabłkowe z drzewami ciężkimi od owoców. Cienie zieleni i barwy brzoskwiń rozmazywały się, kiedy wóz podskakiwał na drodze.

— To bardzo dziwne znaleźć tak małe miasteczko jak to, blisko od dużego miasta, jakim jest San Diego — szeptała jakby do siebie. — Wszyscy myśleliśmy, że będzie trochę bardziej nowoczesne.

— Nie chcemy tego. Większość ludzi żyjących w Julian to ci, którzy uciekli od miasta i wszystkich jego wygod — powiedział, wskazując na jej wyszukany kostium. — Zdaje mi się, że ty także na swój sposób do nich należysz.

Odprężyła się, zagłębiwszy się w siedzeniu zadowolona, że

rozmowa przybrała mniej osobisty obrót.

— Nigdy o tym nie myślałam, ale chyba masz rację.

— Głosowaliśmy na was — mówił dalej. — Kupcy zasugerowali, że skoro zrobiliśmy dobry interes na kiermaszach jabłek i konkursach skrzypcowych, moglibyśmy dać wam szansę.

„Dać wam szansę.” Podrapała się po nosie.

— Tak, wiem. Też byliśmy za tym, aby tu przyjechać. Rzadko kiedy zostajemy gdziekolwiek dłużej niż miesiąc, ale wy macie dobrą opinię.

Dostrzegła skurcz w kącikach jego ust.

— Dobrą opinię — pogrążony w zadumie cedził słowa.

— Dzisiaj rano moja siostra powiedziała coś w tym stylu.

Był jasny słoneczny dzień. Z prawej strony Claire wielka drewniana brama przesłaniała widok sosen i jabłonki, wychyliła się więc, by spojrzeć na nie, kiedy wóz przelatywał ze świstem.

— Oto moje królestwo — powiedział Jack. — Rancho Espejo.

— Och! myślałam, że pracujesz w sklepie z antykami jako facet od wszystkiego — dodała cichutko, zażenowana, że zbyt pochopnie go oceniła na podstawie niezbyt eleganckiego wyglądu.

— Nie, zajmuję się końmi. — Uśmiechnął się. Kiedy dostrzegł, że jest zaskoczona, dodał: — Rancho Espejo jest stadniną.

— Ach, tak — odrzekła i już miała zamiar dowiedzieć się czegoś więcej, kiedy szeroko otworzyła oczy, bo oto osiągnęli szczyt pagórka. — Och, popatrz, popatrz!

Przed nimi roztaczała się pełna dzikich kwiatów łąka, otoczona puszystymi sosnami. Pośrodku tej trawiastej przestrzeni, ponad pierwszymi rusztowaniami wioski z epoki Tudorów, zrobionej z gipsu i tektury, wznosiły się tarcze herbowe i maszty z chorągwiami. Nadproża i „kamienie” namalowane na szarym płótnie pokrywały powierzchnię dwupiętrowej fortecy królewskiej. Była ona przytwierdzona do podłoża spoinami, które osłaniały deski. Dalej falowały na wietrze cygańskie namioty.

Claire klasnęła w dłonie w tym samym momencie, kiedy Amy z całą siłą głową uderzyła w tylną szybę samochodu. Claire odwróciła

się i wydała jęk, czując przeszywający ją ból. Gwałtownie rzuciło nią do przodu.

— Och, kochanie — rzekł Jack wysuwając rękę, by ją podtrzymać. Natychmiast zatrzymał samochód na poboczu. Zamknął ją w opiekuńczym uścisku swoich ramion. — Czy wszystko w porządku?

Speszona wyciągnęła ramiona i przytaknęła.

— Jasne. Tylko zbyt gwałtownie się ruszyłam. To naprawdę nic takiego — ciągnęła, kiedy on nie zwalniał swojego uścisku. Jego dotyk uśmierzał ból. Gdy masował ramię, skurcz ustępował. Pomyślała, że ma magiczny dotyk. Coś zdumiewającego i odbierającego pewność siebie.

— W porządku.

I miał takie dziwne oczy ze złotymi obwódkami. Przy nich grube brwi nadawały mu srogi wygląd.

— To Amy została zraniona, będziemy ją musieli przetransportować w lektyce.

W jego głosie nie było złośliwości, ale oczy Claire zaświeciły gotowe do odparcia ataku, kiedy odrzekła:

— Koniecznie chcesz ją obrazić?

Odpowiedzią Jacka był czuły śmiech, taki sam jaki rozświetlał jego twarz, kiedy trzymał w ramionach swoją siostrzenicę.

— Nie, Cunky. Ona chciała tylko stwierdzić, że nie traktujesz siebie tak poważnie, jak potraktowałabyś ją, gdyby była zraniona.

Cunky. To było przezwisko wymyślone dla niej przez Amy. Denerwowało ją, gdy go używała, ale teraz jakoś dziwnie dobrze zabrzmiało w jego ustach.

— Nic o nas nie wiesz — zasugerowała dobitnie, nie dlatego że chciała go obrazić, ale po to, by bronić Amy.

Przez chwilę milczał.

— Niezupełnie. Kiedy leżałaś zemdlna, Amy i Karen opowiedziały mi kilka rzeczy.

Spoglądając z dezaprobatą, zapytała:

— Naprawdę? Na przykład co?

— Na przykład to, iż żyłyście z ciotką, przy której zła macocha

Kopciuszka, wydaje się być łagodna jak baranek.

— Och, Amy! — wyszeptała Claire. Zdecydowanie źle się czuła, wiedząc, że jej siostra rozpowiada sekrety rodzinne, zwłaszcza że przyrzekały sobie solennie zapomnieć o nieszczęśliwej przeszłości. Amy nie miała już koszmarnych snów, a najdrobniejsze wspomnienie ciotki Normy zmieniało serce Claire w lód. Nic się nie zyska, wracając do przeszłości.

— I gdyby nie ty, Amy ciągle by z nią żyła, a wszyscy uważaliby ją za opóźnioną umysłowo.

To była prawda. Ciotka Norma niezwykle starannie mieszając całkowitą obojętność i dobrze wymierzone okrucieństwo, zdołała przekształcić fakt, że Amy nudzi się w szkole (bo przewyższała intelektem inne dzieci) i oddała ją do specjalnej klasy. Potem Claire zabrała ją stamtąd. Amy rozkwitła intelektualnie, aż do momentu, kiedy stwierdziła, że ma dosyć szkoły, i w wieku szesnastu lat zdała z wyróżnieniem wszystkie egzaminy.

— No, ale to nie twoja sprawa — rzekła. Potrząsnęła głową, uwalniając się od przykrych myśli.

— To jest moja sprawa. — Złapał lok jej włosów i zwinął go między palcami. — Ty sprawiłaś, że to jest moja sprawa.

Nie mogła złapać oddechu, kiedy poczuła jego palce. Pieszczotliwie dotykały jej policzka. Lekko otworzył usta, oddychając przez nos. Przypominał jej wielkiego, ciemnego konia, rumaka, którego mogłaby oswoić tylko królowa...

„Czy mnie pocałowałaś? — pytała w skrytości. — Czy to dlatego czuję do ciebie taką sympatię?”

Oblizwała wargi i zamrugała oczami, usiłując przełamać urok, jaki nad nią roztaczał.

Amy zapukała w szybę.

— Czy coś się stało? — zawołała głośno.

Claire ocknęła się. Otworzyła okno i ostrożnie wysunęła głowę. Ręka Jacka z włosów przesunęła się na ramię i spoczęła na nim. Czuła, jak pali ją przez aksamit sukni.

— Nie, kochanie. Wszystko w porządku — zapewniła siostrę, ale



zaraz potem uświadomiła sobie, że to nieprawda.

— No cóż, tutaj wysiadamy — dodała, szukając klamki.

— Spokojnie, spokojnie — wtrącił Jack, trzymając ją za ramię. — Pozwól, że ci pomogę. Zaczekaj, dopóki nie podejść z drugiej strony.

Westchnęła głęboko, kiedy wysiadł i spokojnie podszedł do drzwi z jej strony, Amy wyskoczyła za nimi z wozu i wytarła ręce w ubranie.

— Hej, kochaniutki, chodź do mnie mój miły! — cmoknęła i Merlin rzucił się w jej ramiona. — Panu Goodwrench ulży, kiedy zobaczy, że jesteś cały i zdrowy — zaszczębiotała pociągając Merlina za bródkę. — Claire, będziemy musieli odwołać poszukiwania.

— Zrób to — przerwał Jack. — Ja zajmę się twoją siostrą.

— Dobra — zgodziła się Amy, unikając błagalnego spojrzenia Claire. Uśmiechnęła się do Jacka, podając mu dłoń.

— Mam nadzieję, że znów się spotkamy. Chodzi mi o te bilety. Postaram się je dla ciebie zdobyć.

— Byłbym bardzo wdzięczny. Też mam nadzieję, że się zobaczymy.

— Więc na razie — odrzekła wesoło i zniknęła, staniając się na nogach pod ciężarem Merlina.

Na swojej talii Claire poczuła jego dłonie. Były tak duże, że prawie się stykały. — Sama potrafię wysiąść.

— Tak, wiem. — Ze swoją szczerłą talią, powleczonej materiałem, zdawała się Jackowi tak krucha, jak wata cukrowa.

— Ale byłoby mi milej, gdybyś pozwoliła sobie pomóc. — Jesteś zraniona — dodał szybko, widząc błysk w jej oczach.

— No dobrze — ustąpiła.

Zacisnęła dłonie na jego nadgarstkach. Czuł jej zeszywniałe palce. Czy była przestraszona?

— A więc jesteśmy — rzekł, stawiając ją na ziemi. Mimo że ich czoła nie zetknęły się, zadrżał, jak gdyby przywarła do niego swoimi małymi piersiami. Ciało przy ciele...

Serce przy sercu...

Jej stopy zbyt szybko dosięgły gruntu. Potem, kiedy tak stała

przed nim na trawie, uświadomił sobie nagle, że jego życie zmieniło się na zawsze. W jaki sposób — tego nie wiedział. Nieważne, co zdarzy się potem, Claire van Teiler już wpisała się w jego los. „Nie” — pomyślał nagle. Wiedział, co się zmieniło.

— Jesteśmy — wyszeptał ochryłym głosem, witając ją na nowej, nieznanej drodze.

— Słucham?

Nie odpowiadając, Jack położył na jej ustach swój palec.

— Powiedziałem: „jesteśmy” — powtórzył. — Ty i ja, Calire. Razem.

RS

## Rozdział drugi

„Och, nie! Naprawdę chce mnie pocałować” — pomyślała Claire, kiedy Jack brał ją w ramiona. Jej ciało zareagowało, zanim zdążyła pojąć, co się stało. Jej serce zabiło gwałtownie, przeszył ją dreszcz radosnej emocji. Kręgosłup falował pod uściskiem Jacka, który objął ją i kołysał. Ciało Claire zaczęło się rozgrzewać i topnieć.

Och, nie! Kiedy jego ciepłe wargi dotknęły jej warg, poczuła, że jest zgubiona.

Był to pocałunek, który zatrzymał czas. Świat przez chwilę trwał w bezruchu, potem zawirował niczym derwisz, gdy Jack musnął jej usta dolną wargą, delikatnie szczypiąc. Był nieskończenie subtelny łagodnością bardziej zniewalającą, niż gdyby był ostry i nieco brutalny. Wargi Jacka pieściły brodę oraz zagłębienia jej policzków szeptami i wilgotnymi oddechami, czułymi jak westchnienia. Przycisnął wargi do czoła, skroni, łuku brwi. Jego śniada twarz muskała jej policzek, kiedy trzymał ją delikatnie, jak gdyby bojąc się złamania w tym namiętym uścisku. Usta Claire zadrgały i zamknęły się. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegła, były jego gęste rzęsy i zmarszczki na czole mówiące, że także dla Jacka było to coś wszechogarniającego, coś czemu oddawał się bez cienia wątpliwości.

— Och! — wyszeptał. — Claire...

W uszach zadźwięczało jej własne imię. Była nim cała wypełniona. Wszystko pachniało świeżością mydła, wonnością. Kobięca dusza Claire — hojna i nowa — pragnęła. Zespoliła się z jego duszą. Usłyszała swoje westchnienie i jego odpowiadający jęk. Falująca pierś kurczyła się ze wzruszenia.

Potem jej dusza odzyskała równowagę i wróciła na ziemię.

„Co ja robię?” — zapytała siebie. Zaprotestowała, nieznacznie szarpiąc się w uścisku. Kiedy ją uwolnił, cofnęła się o krok, obejmując pierś drżącą ręką.

— Zraniłem cię? — spytał zaniepokojony Jack, schylając się, by przyjrzeć się jej twarzy. — Zapomniałem. Twoje ramię...

Stała przerażona. Dlaczego na to pozwoliła? Dlaczego go ośmieliła?

Wpatrywała się w niego. Dlaczego mu uległa? Jak udało mu się skłonić ją do takiej reakcji? Zawsze zachowywała dystans, a teraz oto mężczyzna spowodował skruszenie wszystkich barier, jakimi się otaczała.

— Claire? — zapytał zaalarmowany. — Czy cię zraniłem?

Wpatrywała się nadal, nie uświadamiając sobie jego imponującego piękna fizycznego. Czuła je. Jej ciało płonęło, jak gdyby ręce Jacka cały czas ją dotykały i pieściły jej wargi. Zadrżała, nie mogąc się uwolnić od wtórnych doznań żądy. Z wolna uświadomiła sobie wydarzenia ubiegłych godzin. Nie kończąca się jazda z ostatniego jarmarku renesansowego w Phoenix, pęknięta na pustyni opona, poszukiwania Merlina, wypadek.

Pocałunek.

Osamotnienie, oddanie, połączenie.

To było zbyt wiele jak dla niej. Nie mogła się uporać ani z tym, co rozbudził w niej ten mężczyzna, ani z wszystkimi innymi wątpliwościami, jakie miała. Ku swojemu przerażeniu w kącie oka poczuła łzę, spadającą po policzku.

— Nie — odrzekła — nie... nie zraniłeś mnie. Otarła łzę i odwróciła się na pięcie. Błękitna suknia powiewała niczym pawie ogon.

— Nie odchodź — zawołał za nią. — Nie uciekaj.

— Nic mi nie zrobiłeś! — krzyknęła.

— Więc kto?

Udawała, że nie słyszy, oddalając się ciągle. Zaciśnęła zęby, gdy poczuła przeszywające szczypanie chorych stóp.

— Więc kto, panno Claire?

Spójrz, jakże piękny uśmiech pana mego, Jak cudny wygląd, tak i słowa twoje. Och, nie ma dla mnie nic godniejszego Od noszenia serca jego w sercu swoim.

Claire odłożyła lutnię. Utkwiła wzrok w ognisku, które szeryf miasteczka Julian pozwolił rozpalic grupie cygańskich włóczęgów

pośrodku ich obozu. Obok niej siedzieli inni członkowie renesansowej trupy, oklaskując balladę. Płomienie migotały na uśmiechniętych twarzach. W tym otoczeniu Claire czuła się bezpieczna.

Grupa podróżowała przez okrągły rok, jeżdżąc wozami i przyczepami w uprzednio ustalone miejsca, gdzie w ciągu kilku dni wznosili swoją staroangielską wioskę. Oprócz wyrobów rzemieślniczych i straganów z żywnością organizowali przedstawienia, tańce oraz śpiewali ballady, kończąc każdego dnia o zmierzchu. Wtedy to przedstawiali Ich Królewskim Mościom, Królowej i Królowi Maja radosny taniec ludowy. Odziani byli starannie, w kunsztowne krezy, staniki i kapelusze. Mówili elżbietańską angielszczyzną. Każdy z nich usiłował dodać splendoru owej magicznej iluzji czasu i miejsca. Według Claire wychodziło im to znakomicie. Dla niej było to jak życie we śnie. Podróżowały tak z Amy całe lato, poznając smak wolności. Po raz pierwszy od wielu lat, wreszcie razem, nie musiały się przed nikim tłumaczyć i bać.

— Cunky. Nie powinien był mnie tak nazwać — wyszeptała, trącając w roztargnieniu struny lutni.

— Co mówiłaś? — spytała Amy.

Ona i siostra były ubrane w dżinsy i muślinowe koszule z powiewnymi rękawami wykończonymi koronką, które miały wygląd osiemnastowiecznych szat. Szale we wzorzystą szkocką kratę, utkane z ciemnobłękitnej i zielonej nici, otulały ich ramiona. Amy szyła miniaturowy kubraczek dla karła, Lorda Petita Sirraha. Włosy związała wstążką. Włosy Claire spływały swobodnie wzdłuż ramion. Podniosła jakiś patyk, którym się zabawiała, pocierając kamienie wokół ogniska i szepcząc coś do siebie.

— Tak sobie myślałam — odrzekła zmieszana.

Na miłość boską! Żyła na swój rachunek od momentu, gdy skończyła osiemnaście lat, opiekując się także siostrą. Dlaczego, do cholery, zachowywała się jak zadurzona nastolatka?

— Myślenie jest niebezpieczne, Cunky — docięła jej Amy.

Znów Cunky. Claire wrzuciła patyk do ognia.

— Chyba pójdę spać. — Posmutniała. — Jestem zmęczona.

— Jak tam twoje ramię? Nie zeszywniało? — zagadnęła z niepokojem w oczach.

— Nie, w porządku.

Kiedy wstawała, Lord Petit Sirrah podniósł w jej stronę filiżankę kawy. Z okruchami chleba w kręconej, rudej brodzie wyglądał jak krasnoludek.

— Jestem szczęśliwy, moja mała dziewczuszko, że nic się nie stało. Ten miejscowy piękniś musiał być bardzo opiekuńczy.

Claire uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. W przeciwieństwie do reszty grupy nigdy go nie opuszczała fantazja. Często się zastanawiała, czy to dlatego, że był karłem, czy też dlatego, że był ekscentryczny. Kreował się na mistyka i marzyciela. Był także pewien, że jest reinkarnowanym Monarcho, ulubionym błaznem królowej Elżbiety. Kiedyś nawet Amy i Claire w to wierzyły.

— To była moja wina — powiedziała. — Goniłam Mer-lina i wpadłam na płot.

— Tak, złotko, to już wiemy, ale powiedz nam, kim był ten młody lord biegnący za tobą, he? Tylko nie protestuj. Widzieliśmy, jak się całowaliście.

Amy spojrzała zaskoczona. Claire wzięła lutnię. Nic nie odpowiedziała, wruszając tylko ramionami, choć czuła, że wewnątrz cała płonie.

— Jego imię. Powiedz nam, jak ma na imię — zawołał Petit Sirrah rechocząc.

— Nie całowaliśmy się. — Wszyscy wokół zachichotali. — Coś mi wpadło do oka.

— Tak, tak, gwiazdki — odciął się karzeł i niektórzy roześmiali się głośno.

— Wy wszyscy macie brudne myśli — przerwała Amy, przykładając złotą wstążkę do kubraczka i przyglądając mu się krytycznie.

— Nie ma nic sprośnego w całowaniu — odpowiedział Petit Sirrah, strzepując z brody okruchy chleba. — Chociaż ją

usprawiedliwiamy, ona w to nie wierzy.

— Dobranoc jeszcze raz — wtrąciła Claire i wskazując na karła dodała: — Usprawiedliwienia zostaw dla siebie, milordzie.

— Twoja sprawa, panno Claire, skoro nie chcesz nam powiedzieć...

— Nie sądzę. — Amy uśmiechnęła się słodko do siostry. Miała zaróżowioną twarz i błyszczące w świetle ogniska włosy, ale Claire pamiętała tę małą, zmartwioną buzię, w okresie, kiedy mieszkały z ciotką Normą.

Cały czas widziała siebie stojącą w holu starego, posępnego domu w Michigan ze stosem książek na podłodze, kiedy siostra przylepiona do niej szlochała, by nie zostawić jej z ciotką. Bezlitosna Norma stała na schodach i sapała przez zaciśnięte zęby: „Nie wiem, dlaczego się w ogóle przejmuję. Powinnam was wysłać do sierocińca.”

Różnica między wyglądem Amy wtedy i teraz uradowała Claire.

„Muszę być zmęczona i teraz to odreagowuję, dlatego ten facet tak na mnie podzielał” — pomyślała. Jednym słowem „wiele hałasu o nic.”

Uśmiechnęła się znowu do siostry.

— Dobranoc mała — rzekła i skierowała się do jednego z wozów, który był ich domem.

Nocny powiew przygnał woń traw i kapryfolium. Claire wdychała ją, stojąc w otwartym wozie. Intensywne zapachy wrzosu, jaśminu i róży przeniknęły do środka, mieszając się z aromatyczną kompozycją ziół i korzeni, których używały do wypchania saszetek i haftowanych poduszek sprzedawanych na straganach.

Claire zawahała się. Stojąc w drzwiach, wdychała świeżą woń mydła i piżma. Zamknęła oczy na wspomnienie pocałunku Jacka Youngblooda. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego. Napiętnował ją tym wspomnieniem, wydobywając zmysłowość, której nigdy nie była świadoma.

Pomyślała, że powinna o tym powiedzieć Amy. Nie miały sekretów, ale to było coś tak bardzo intymnego... Wiedziała, że nie

powie nawet siostrze, jedynej osobie, której bezgranicznie ufała.

Na zewnątrz wzmogło się zamieszanie, potem Claire usłyszała tętent zbliżającego się konia.

— Panno Claire! — zawołał Petit Sirrah. — Twój zakochany młodzieniec.

Claire spojrzała w stronę ogniska, na sylwetki na tle sosen, i dostrzegła go galopującego na dużym hebanowo-czarnym koniu.

„Młody pełnokrwisty ogier, pełnokrwisty, krwisty...” — tętniły końskie kopyta.

— Boże kogoż nam sprowadzasz! — zawołał Petit Sirrah.

Zatrzymał się i powitał Jacka dworskim ukłonem. — O panie, witaj w naszej skromnej wiosce.

Claire usłyszała rozbawiony głos Jacka, który dotykając runda kapelusza, odrzekł:

— Moje uszanowanie. — Potem cmoknął na konia, ściągnął uzdę i oparł ją o łęk siodła. — Cześć Amy. Jak się masz?

— Dzięki, lepiej być nie może. — Miała słodki, dźwięczny głos. Claire pomyślała, że jej siostra jest małą, niewinną, szczęśliwą istotką.

Mężczyzna na koniu był dla Claire niczym zjawa. Amy bynajmniej nie była speszona jego obecnością, ona zaś obserwowała w napięciu wyniosłą sylwetkę jeźdźca.

Patrzyła. Czekala.

— Pozwól, że ci wszystkich przedstawię — zaszczębiotała Amy. Roześmiała się radośnie. — Dużo nas tutaj, więc może najpierw tylko kilka osób. — Prześlizgnęła się wzrokiem po twarzach. — Powinieneś poznać Ich Królewskie Moście. To kapitan Andrew Cunningham i jego żona Hazel.

Claire nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się. Starsza para uradowała się na widok Jacka. Kapitan Cunningham przestał pociągać fajkę i podał mu dłoń.

— Jestem emerytowanym żołnierzem Amerykańskiej Marynarki Wojennej — tłumaczył. — Żona i ja dołączyliśmy dwa lata temu...

— Trzy — poprawiła Hazel.



— Trzy — zgodził się kapitan. — Startowaliśmy jako zwykli chłopcy i doszliśmy do godności królewskiej.

— Andrew był znudzony — ciągnęła Hazel. Popatrzyła na niego z uwielbieniem. — Zawsze chcieliśmy podróżować.

— Niejaki Winnebago przygarnął nas, i oto jesteśmy. Dobra z nas drużyna. — Skierował wzrok w stronę Petita Sirraha, który nobliwie wyraził swoje uznanie.

— A to Keith i Susan Mandell. — Amy wskazała na swoich najlepszych przyjaciół. Byli ubrani w dzinsy i obwieszani paciorkami niczym „dzieci-kwiaty” z lat sześćdziesiątych. Ich ciemne włosy opadały na szczupłe plecy.

— Cześć — uśmiechnął się Keith.

— Robią witraże — wytłumaczyła Amy. — Sprzedają je przez okrągły rok.

Jack z radością witał każdą nową osobę, ale Claire zauważyła, że robi to z roztargnieniem, szukając kogoś w morzu twarzy poza granicą ognia.

„Szuka mnie” — pomyślała i zaczęła się zastanawiać, czy, gdyby uciekła do wozu, byłby zdolny wejść tam za nią. Na pewno byłby do tego zdolny. Przeczowała, że należy do ludzi, którzy zawsze osiągają swoje cele.

Stała więc, czekając na niego. Oddychała nierównomiernie, z lękiem. Jacka oświetlała poświata księżycowa. Siedział na koniu niczym wojownik — zdobywca w kapeluszu jak hełm krzyżowca i zamszowej kurtce przypominającej skórzany pancerz.

Potem bez pośpiechu odwrócił się i spojrzał prosto na nią. Koń pokłusował bez żadnego sygnału od Jacka.

— Niech Bóg ześle ci dobry dzień — wymówił z roziskrzonymi oczami.

— Tobie także, o panie — odrzekła.

— Cokolwiek by to znaczyło, pomyślałem, że może chciałabyś ze mną pojeździć.

— Cóż, rankiem musimy popracować nad kostiumami, a po południu zamierzałam poćwiczyć...

— Ale nie jutro, dzisiaj.

— Masz tylko jednego konia — odparowała bez zastanowienia. Nosił rękawiczki, które przypominały jej rękawice zbroi.

— Pomyślałem, że moglibyśmy pokłusować we dwoje, zwłaszcza, że twoje ramię jest jeszcze nadwerężone.

Amy siedziała przy ogniu, obserwując ich. Gdy Claire spojrzała na nią, pomachała ręką i wróciła do swojego szycia.

— Nie, dzięki — odrzekła. — Pomagałam właśnie siostrze. Mamy mnóstwo roboty przed otwarciem jarmarku i...

— Nie odjadę z niczym. — Księżyc schował się za chmurą, osłaniając go ciemnością niczym całunem, pomimo to ciągle błyszczały mu oczy. Zatrzymał się, czekając na jej odpowiedź, a kiedy nic nie odrzekła, dodał: — Ostatecznie jesteś mi coś winna za zniszczenie ogrodu.

— Og... ogrodu twojej siostry.

— I ten rachunek za lekarza. — Zniżył głos. — Będziemy kwita jeśli pojedziesz ze mną. Nie przetrzymam cię długo, około godzinki.

— Zwrócimy ci pieniądze — odrzekła szybko, zbliżając się nieco. — Amy i ja...

— Podoba mi się twoja bluzka — pochlebił jej, mierząc wzrokiem od góry do dołu postać dziewczyny. Pomyślała, że pewnie w ten sposób ocenia swoje klacze. Zastanawiała się, co o niej sądzi. — Ta druga bardziej mi się podoba — ciągnął. Kiedy oblała się szkarłatem, spiął konia i śmiejąc się położył dłoń na jej ramieniu.

W momencie, gdy jej dotknął, zeszywniała. Śmiech Jacka zmienił się w smutny, pełen skruchy uśmiech, który złagodził jego rysy. — Przepraszam, to było nie na miejscu. Proszę, panno Claire, pojedź ze mną. Świeci księżyc i noc jest taka cicha, a ja chciałbym ci pokazać coś pięknego.

„Youngblood, młody, pełnokrwisty ogier, pełnokrwista miłość...”

„Coś pięknego” — pomyślał.

Claire potrząsnęła głową.

— Nijak nie mogę.

— Tylko trochę pojeździmy — obiecywał. — Koniec końców

jestem kowbojem, a my kowboje to rycerska krew. Niech mnie kule biją, jeśli coś głupiego strzeli mi do głowy.

Musiła się uśmiechnąć. Uznał to za zgodę. Zanim zdążyła powiedzieć słowo, płynnym ruchem posadził ją w siodle. Z taką samą łatwością dosiadł konia, zaciskając jej ręce na swoim pasie i gładząc je prawą dłonią, lewą zaś chwytając wodze. Claire zignorowała radosne okrzyki tłumu zbierającego się wokół nich.

— Wszystko dobrze? Nic nie boli?

— Nie.

— Jeśli coś będzie nie tak, daj mi znać.

„Już jest nie tak — chciała odpowiedzieć. — Przy tobie czuję się tak nieswojo, że...”

— Może trochę owsa? — spytał, cmokając na konia. — Mam trochę w kieszeni.

— Nie, dzięki. — Próbował uczynić coś, by poczuła się mniej skrępowana, i to pomogło. Z ramionami wokół jego pasa wyczuwała dokładnie najmniejszy nawet ruch jego mięśni, kiedy kołysał się z rytmem konia. Miał twardy brzuch. Próbowała ruszać rękoma tak, by nie zauważył. Wyginając się do przodu poklepywał konia, przemawiając do niego. Jego kurtka rozciągała się na szerokich ramionach. Claire wpatrywała się w każdy szczegół z zachwytem.

— Masz, maleńki. — Sięgając do kieszeni, wyjął garść owsa. Potem przechylił się w siodle, podając je ogierowi. — Może kawałek cukru, co? — Wsunął sobie do ust kilka ziarenek przeżuwając z apetytem. — Strasznie jesteśmy sobą stremowani, nie sądzisz? — Uśmiechnął się do niej.

— Dokąd zmierzasz, młodzieńcze? — zagadnął Lord

Petit Sirrah. — Czy masz zamiar porwać naszą słodką Claire?

— Można to tak ująć — zawołał Youngblood i dodał niskim głosem: — Nie mógłbym tego zrobić.

Claire zachichotała.

— Strzeż jej pilnie — rzekł karzeł teatralnym tonem.

— Cunky, dokąd jedziesz? — spytała Amy, zbliżając się do nich. Koń szturchnął ją, a ona w odpowiedzi wysunęła na chwilę dłoń.

Śmiała się, gdy ją obwąchiwał. — Ależ on łaskocze! Jaki śliczny. To on, czy... — Schyliła się na chwilę, potem spojrzała na Jacka. — On — oznajmiła.

— Doskonale — pochwalił Jack.

— A co! — posłała mu łobuzerski uśmiech. Claire zamknęła oczy.

— Amy — skarciła siostrę. — Robisz się wulgarna.

— Ojej, byłam tylko ciekawa.

— Zabieram twoją siostrę, żeby się rozejrzała po okolicy — rzekł Jack. — Zgadzasz się?

— Jasne — odparła bez wahania. — Zabierz i mnie... kiedyś?

— Jeśli chcesz, jutro.

— Och, dzięki! — Uśmiechnęła się do Claire. — Baw się dobrze. Położę się spać z drugiej strony, żebyś nie musiała się przeczołgiwać, kiedy wrócisz.

— Kochana jesteś — odrzekła Claire nieco zdenerwowana, że siostra przyjęła to niby — porwanie z taką obojętnością. W końcu nigdy się nie rozstawały. Czy nie zaniepokoiło ją, że Claire wypuszcza się z zupełnie obcym mężczyzną?

— Jak się nazywa twój koń? — dopytywała się Amy, przesuając ręką po szyi ogiera. — Jest tak dobrze utrzymany.

— Piorun. Często go czyszcę.

— Kiedy nie uganasz się za jednoroźcami — odparła chichocząc.

— I aniołami Botticellego — podtrzymał ton.

— A to co? — spytała, przybierając niewinną minę. — Claire czy on żartuje?

— Nie wiem.

Jack dał znak. Amy odskoczyła. Ogier ruszył. Claire pomachała siostrze i pokłusowali w kierunku zagajnika.

— Jasne, że nie żartowałem — powrócił do tematu w momencie, gdy przeniknął ich intensywny zapach sosen. Ponad nimi zahukała sowa, a gałęzie zachwiały się w świetle księżyca. Claire odchyliła głowę i w prześwitach między drzewami zobaczyła ogromne morze płynących gwiazd.

Jack umilkł, sięgając raz po raz do kieszeni po ziarenka owsa. Cień

i jasność rozświetlały i gasiły jego twarz, a wiatr rozwiewał włosy na karku. Zamyśliła się. „Sam jest tak piękny, że mógłby być aniołem” — skonstatowała, czerwieniąc się na wspomnienie komplementu.

Przeszył ją dreszcz grozy. Co zrobiła? Dlaczego z nim pojechała?

— Jeździłaś kiedyś konno? — zagadnął Jack, być może, zauważając jej wzrastający niepokój.

— Wiele razy. Miałam nawet kiedyś swojego konia.

— Tak? Gdzie?

— W Argentynie — zaczęła, lecz zaraz urwała. Nie chciała mówić o sobie. W przeciwieństwie do Amy wystrzegła się tego.

Miał niski, ekscytujący śmiech.

— Co, u diabła, tam robiłaś? Można by pomyśleć, że nie podróżowałaś specjalnie dużo. Twoja ciotka nie wyglądała na taką osobę.

— Nie, ale moi rodzice byli fotoreporterami — odrzekła. — Brali mnie z sobą wszędzie.

— Co za wspaniałe dzieciństwo! My zazwyczaj przebywaliśmy na rancho rodziców, poganiając bydło i strzygąc owce. — Kiedy Jack się rozprostował zauważyła jak imponująco szerokie ma plecy.

— Tak, było wspaniałe. Szkoda, że Amy takiego nie miała...

Nagle koń zatrzymał się. Jack dotknął jej dłoni i powiedział:

— Spójrz tam, obok skały.

Tuż przy granitowym głazie stała nieruchomo łania. W jej przejrzystych oczach malowało się przerażenie. Księżyc rozświetlał ją niczym reflektor, a ona stojąc w tej poświacie patrzyła na Claire.

Nagle koń ruszył z kopyta i łania uciekła do lasu. Jeszcze przez moment widzieli znikającą jasną plamę.

— To niezwykle, że udało nam się ją zobaczyć. Musi być sierotą — powiedział Jack.

— Och, biedactwo — odrzekła. — Kochane biedactwo. Uścisnął jej dłoń.

— Wszystko będzie dobrze. Zwierzęta tutaj są oswojone, że niemalże wchodzą do ogrodów i węszą w pojemnikach na śmieci. Mają mnóstwo jedzenia. Niekiedy nawet dzieci biorą je do siebie do

domu. — Cały czas ścisnął jej dłoń, schylając się przez wystającymi gałęziami. Spiał konia ostrogami. Piorun przyspieszył.

— Mówiłaś o rodzicach — przypomniał Jack. — Są dziennikarzami?

Westchnęła. Wolałaby rozmawiać o czymś innym. Czuła, że musi odpowiadać na jego pytania, pozwolić mu wkroczyć w swoje sprawy osobiste.

— Moi rodzice zginęli w katastrofie na łodzi, kiedy miałam trzynaście lat. Od tamtego czasu mieszkaliśmy z siostrą ojca.

— Ciotką Normą?

— Tak.

Ucichł na chwilę. Potem podniósł jej dłoń i przesunął ją lekko po policzku.

— Och, biedactwo, kochane biedactwo.

Przez chwilę myślała, że ją przedrzeźnia, wyrażając się dokładnie w ten sam sposób, w jaki ona mówiła o łani, ale potem uświadomiła sobie, że naprawdę jej współczuł.

— W porządku — powiedziała wzruszona i zażenowana. — To się wydarzyło prawie czternaście lat temu. To prawie połowa mojego życia.

W milczeniu zdjął rękawiczki i palcami przesunął po jej dłoni. Zamarła z wrażenia. Potem splótł palce z jej palcami i podniósł rękę Claire do serca.

— Czy było bardzo źle? — zapytał zachrypłym ze współczucia głosem.

— Nie, było cudownie, kiedy byłam mała — odparła, zmieniając temat. — Moi rodzice byli wspaniali. Nigdy nie zostawaliśmy w jednym miejscu dłużej niż dwa tygodnie. Mama sama mnie uczyła. Umiałam mówić nawet w języku suahili — dodała dumnie — tak samo jak po francusku, włosku i niemiecku. Do dziś pamiętam hiszpański. Dużo podróżowaliśmy po Ameryce Południowej.

— I wtedy zginęli? — spytał. Westchnęła.

— Och, nie. Dwa lata po urodzeniu Amy. Była wcześniakiem i o mały włos nie umarła. Chyba byliśmy wtedy w Bangkoku. Tak czy

owak rodzice stwierdzili, że czas najwyższy stać się „odpowiedzialnymi dorosłymi”, jak zwykli byli mówić. — Zaśmiała się zadumana. — Nie wychodziło im to. Byli strasznie roztrzępani. Prawie zapomnieli o pierwszej gwiazdce Amy. Gdybym im nie przypomniała, poleciliby do Australii zbierać materiały na temat wielkiej rafy koralowej.

— Ale ty, oczywiście, pamiętałaś o gwiazdce dla Amy. — Jego głos zabrzmiał nieprzyjemnie. Nie zrozumiała tego tonu. Czy to była złość?

— Tak, nie chciałam żeby spędziła ją ze mną i z Normą. Od kiedy się urodziła, na czas podróży zostawiali nas z ciotką — wytłumaczyła.

— I teraz we dwie od niej uciekłyście? Claire przybrała niezadowoloną minę.

— Niezupełnie. Tak się składa, że od momentu, kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat, jestem legalną opiekunką Amy. Czy teraz wszystko jasne?

— Hej, nie obrażaj się. Po prostu byłem ciekaw — odparł, przyciskając jej rękę do swej piersi. Próbowwała nie zwracać uwagi na głębokie, miarowe bicie jego serca pod kurtką.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś nas osądzał. Amy wcześniej skończyła szkołę i zaczęłyśmy podróżować. Tak jak zawsze chciałyśmy. Wyrosła na opowiadaniach z mojego dzieciństwa. Chciałam jej pokazać, co znaczy podróżować. W Michigan nie było już dla nas miejsca.

— Nie osądzam was.

— A poza tym to naprawdę nie twoja sprawa.

— Oczywiście, że moja — sprzeciwił się. — Ty wiesz, że tak jest. — Ścisnął jej dłoń. — Więż między tobą i twoją siostrą jest tak silna, że czuję ją jak bicie twojego serca. Intryguje mnie to. Zawsze myślałem, że Karen i ja byliśmy sobie bliscy, ale ty i Amy... — Złożył pocałunek na jej dłoni. — Claire, i ja chciałbym być tobie tak bliski.

Przełknęła ślinę. Nie oczekiwała, że to powie.

— Wracajmy.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Zatrzymał Pioruna. Zsiedli z konia, stali pod rozgwieżdżonym niebem w pobliżu sosen. Przenikało ją ciepło ciała Jacka i musiała z sobą walczyć, by nie zamknąć oczu i oprzeć się o jego szerokie plecy.

— Za późno, by wracać. Za późno dla nas obojga — rzekł.

Potem znów ujął wodze i ruszyli w las.

Claire straciła rachubę czasu. W tej zaczarowanej samotności we dwoje mogły mijać minuty, godziny, lata. Mogliby tak przejechać cały świat, przemierzając wiecznie zielony las. Łagodny rytm wybijany przez kopyta końskie przerywały od czasu do czasu pohukiwania sowy i odgłosy zwierząt w zaroślach.

Po skończonej opowieści Claire wymienili może kilkanaście zdań, po czym umilkli, lecz nie było to milczenie wynikające z zażenowania.

Rozmyślali oboje.

„Podoba mi się — przyznała. — Ufam mu, ale dlaczego tak mnie to smuci?”

„Pragnę jej — pomyślał. — Zawsze jej pragnąłem. Ale dlaczego? Podoba mi się, ale podobały mi się wszystkie kobiety, z którymi byłem związany. Szanuję je, tak jak i ją szanuję. Chcę...”

Czego chciał?

Żadne z nich nie wypowiedziało na głos tych myśli. Żadne z nich nie zwierzyło się drugiemu z tego, co rozkwitało w ich sercach. Uczucia przepływały między nimi niczym ciepło ciał. Mieszały się we krwi, tworząc nowe natężenie i odcienie. Granatowoczarne niebo pełne było gwiazd. Wyglądały niczym garści brylantów wyrzuconych z jedwabnej sakwy na płaszczyznę aksamitu. Światło księżycy odbijało się blaskiem na jasnych włosach Claire i filcowym kapeluszu Jacka. Wydawało się jarzyć wokół ich sylwetek. Pomiedzy nimi tworzyła się nowa więź.

Tą więzią była miłość.

Jack w milczeniu zatrzymał Pioruna. Zsiadł z konia przenosząc prawą nogę nad głową ogiera i ześlizgując się zgrabnie.

— Pozwól, że cię posadzę w siodle — rzekł, wyciągając ręce, by



objąć ją w talii. Ze zdziwieniem stwierdziła, że się trzęsły.

— Czy coś jest nie tak? — spytała. Nie patrzył na nią.

— Pomyślałem, że twoje ramię mogło zeszywnieć. Nie powinnaś siedzieć zbyt długo w jednej pozycji.

— Jeżeli koń jest zmęczony, mogę się przejść...

— Nie, pojedziesz. Miałaś ciężki dzień. I nie martw się o Pioruna. Jest silny. Mógłby jeździć całą noc.

Spojrzał na nią. Na jego twarzy odmalowała się tęsknota, a oczy zdawały się mówić: „Mógłby jeździć całą noc, tak jak i ja. O Boże, jak tego pragnę!”

Zastanawiała się, czy w świetle księżyca dostrzegł rumieniec, który oblał jej szyję i twarz. Rumieniec wstydu i oszołomienia. Kiedy jej dotknął, pomagając usiąść w siodle, ciało Claire na przemian drżało z zimna i gorąca. Zeszywniały uda i piersi ukryte pod wykończoną koronką koszulą. Czuła pod sobą gładką, twardą skórę i zapach piźma bijący od konia. Najbardziej jednak świadoma była zamykających ją w uścisku rąk Jacka.

— Chciałeś... chciałeś mi coś pokazać — wyszeptała, z trudem łapiąc oddech.

Spojrzał na nią.

— Po prostu piękno okolicy — odrzekł. — Ale ty pokazałaś mi coś znacznie piękniejszego.

Zamknęli oczy. W oka mgnieniu wyobraziła sobie bardzo wyraźnie ich dwoje nagich, kochających się na dywanie z dzikich kwiatów z szaleństwem poruszającym świat. Ujrzała jego falujące ciało, silne nogi, ciemnobrązowe włosy porastające tors. Zobaczyła go leżącego na niej, z piersią przyciśniętą do jej piersi. Wszystko było tak realne, iż uwierzyła, że widzi przyszłość, ich przyszłość.

Ocknęła się wzdychając i wyszeptała.

— Jack, nie mogę. Proszę.

Położył dłoń na jej udzie. Wiedział, o czym myślała tak dokładnie, jakby mu powiedziała. Przekazywali sobie telepatycznie nie tyle myśli, ile uczucia i tęsknoty. Wyczuł bliskość jej serca, jej pragnienia i wizje.

— Dlaczego nie, Claire? Czyż nie tego oboje pragniemy? — spytał łagodnie.

Uśmiechnęła się nerwowo.

— Czy śmiałybyś się, gdybym ci powiedziała, że nie należę do tego typu dziewczyn? — Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: — Poza tym, co pomyślałaby Amy?

— Nie ma tu Amy. Nie musi wiedzieć.

— Dowiedziałyby się. Jesteśmy sobie takie bliskie. — Chcąc się odsunąć od Jacka, ścisnęła nogami konia, dając mu znak, by przyspieszył.

— Dlaczego przejmujesz się tym, czy Amy się dowie? — upierał się, przyspieszając kroku, by zrównać się z nią i kłusującym ogierem.

— Ma tylko szesnaście lat, poza tym muszę jej dawać dobry przykład.

— Bycie takim dorosłym wzorem zapewne wyklucza utrzymywanie ożywionych kontaktów towarzyskich. — Chwycił za wodze, zatrzymując konia w ten sposób.

— Moja definicja życia towarzyskiego nie równa się wskakiwaniu do łóżka z pierwszym lepszym facetem — odgryzła się.

— Założę się, że nie miałaś zbyt wiele czasu na chłopaków, wychowując siostrę — ciągnął. — I jestem pewien, że ciotka Norma nie tolerowała czegoś takiego jak randki.

— No cóż, coś za coś.

— Ale teraz już z tym koniec. Do cholery! — Wskoczył na głaz. — Zbliź się do mnie, panno Claire.

Kładąc rękę na karku, przyciągnął jej twarz do swojej. Wargi Jacka były niesłychanie miękkie, jego pocałunek natarczywy, lecz łagodny. W ciemności nocy zakrakała wrona. Claire zamknęła oczy, topiąc się i zatracając w pocałunku. Czowała, że zamienia się w gwiazdę, roziskrzoną i lśniącą, świecącą dla tego mężczyzny, który położył ręce na jej talii, próbując wysadzić ją z siodła.

Coś poruszyło się w lesie. Przestraszyło to Claire, przerywając upojną chwilę.

— Nie — westchnęła. — Nie wolno nam. — Ściągnęła wodze.

Piorun usłuchał jej, odsuwając się od Jacka. — Nie chcę się z tobą kochać.

— Chcesz. — Zbliżył się znowu, chwytając ogiera za uzdę.

— Chcę, żebyś mnie odwiózł do naszego obozu — nalegała, poprawiając włosy skapane w srebrnym blasku księżyca.

— Claire...

— Czy mnie odwieziesz?

— Claire, proszę. Nic nie rozumiesz. To, co czuję... jest czymś dotąd mi nie znanym, ale to coś więcej..

Szarpnęła wodze. Koń obrócił się i posłusznie popędził w stronę lasu.

— Cholera! — wrzasnął Jack. — Wracaj! Nie możesz całe życie uciekać! Słyszysz? Claire!

— Mogę zrobić wszystko, na co mam ochotę! — krzyknęła przez ramię.

— Więc wracaj!

— Nie chcę!

— Chcesz, do cholery!

Patrzył jak znikwała w lesie. „Youngblood, musisz się nauczyć samokontroli” — skarcił siebie, rozpoczynając wędrówkę do domu.

Piętnaście minut później, kiedy chciał usunąć ze swojej drogi wystającą gałąź sosny, znalazł ją tam czekającą. Zaczerwieniła się ze złości.

— Nie mogłam cię tak zostawić. W końcu to twój koń. Rozbawiony i wzruszony jej rumieńcem poprawił kapelusz mówiąc:

— To, co należy do mnie, jest twoje. — Po czym dodał w myślach:

— „Łącznie z moim sercem i zapewniam cię, moja droga, że przed końcem miesiąca także i twoje serce będzie do mnie należało.”

## Rozdział trzeci

Jack prowadził konia, na którym siedziała Claire. Chociaż ogier znał drogę na pamięć, jego pan pilnował, aby uważnie wybierał ścieżki, wiózł bowiem kogoś bardzo drogiego.

Zauważył, że Claire ziewa, i pomyślał o męczącym dniu, jaki miała. Uśmiechnął się. Sam był na nogach od przeszło czterdziestu godzin, z których większą część spędził na wyczerpującej uroczystości. To wszystko wydało się takie dalekie, jak gdyby zdarzyło się w innym życiu.

I jaka dziwna była myśl o kobiecie, z którą spał tak niedawno, o Jessie Reynolds. Lubili się tylko, nie kochali. Obojgu to wystarczało.

Jacka przeszył dreszcz, kiedy przypatrywał się księżniczce z bajki, która objawiła się tak blisko.

„Nigdy nie spałem z nikim, kogo bym prawdziwie kochał — zdał sobie sprawę. — Zawsze byłem niczym koń z mojej stadniny, który się parzy, by zaspokoić żądzę. Boże! Jak mogę myśleć, że ją kocham? Nawet jej nie znam. — Jego wewnętrzny głos odpowiedział: — Ależ tak, kochasz ją, kochasz, Jacku Youngbloodzie.”

— Spójrz, zaczyna świtać. — Claire przerwała jego zadumę. — Nie było nas całą noc. Amy będzie się martwić.

Księżyc znajdował się nisko nad horyzontem, a gwiazdy bladły. Lawendowopomarańczowe światło, zwiastun poranka, przeszło ciemne jeszcze niebo niczym jedwabna wstęga.

— Amy będzie spała — odrzekł łagodnie.

Las robił się coraz rzadszy. Wjechali na teren obozowiska. Wczorajsze ognisko pod gołym niebem zamieniło się w popiół. Sztandar królewski zatknięty przed frontowymi drzwiami siedziby Ich Królewskich Mości powiewał na porannym wietrze. Przyczepy i wozy stały zamknięte na cztery spusty. Jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był śpiew ptaka. Ta malownicza angielska wioska wyrosła niczym anachroniczna iluzja na środku łąki, otoczona zewsząd nowoczesnością. Od momentu, gdy Jack widział ją po raz

ostatni, prace posunęły się znacznie. Zadziwiła go pomysłowość tej cygańskiej bandy. Papier wyglądał jak drewno, drewno jak kamień.

Odbierał to jako próbę zamiany rzeczywistości na fantazję. Nie był pewien, czy pochwalał taki bajkowy sposób życia, dla niego bowiem życie sprowadzało się do mocnego stąpania po ziemi, rodziny i rzetelnej pracy. Papierowe zamki były zbyt nieuchwytny, by wiązać z nimi egzystencję.

By ona budowała na nich swoje życie.

Powrócił do rzeczywistości. Claire próbowała zsiąść z konia. Pośpieszył z pomocą, ale ona wyjęła stopę ze strzemienia i zsunęła się z nieuchwytną gracją, która zachwyciła Jacka. Szal rozluźnił się na ramionach. Lekka koszula, którą miała pod nim przywarła do drobnej sylwetki i zafalowała na wietrze, kiedy odsuwając się, poklepała konia.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że nie było nas tak długo. — Ziewnęła ponownie, zakrywając usta małą dłonią.

— Mówiłeś, że pojedziemy na godzinę. Zaśmiał się.

— Czas tak szybko zleciał. Chyba świat przyspieszył swój bieg, kiedy byliśmy w lesie.

— Tak, mnie też się tak wydaje. — Spojrzała na niego w zamyśleniu. Jej błękitne oczy pociemniały i spoważniały.

— Muszę iść.

— Ona śpi, starsza siostra. — Dotknął jej włosów, zachwycając się ich dziecięcą miękkością. Zamrugnęła oczami.

Uradował się. Od kiedy poprzysiągł sobie ją zdobyć, każdy moment zdawał się bezcennym skarbem, którego nie można było zmarnować. Każda minuta czasu, jego wroga i przyjaciela zarazem, musiała być wypełniona staraniami o rękę panny Claire.

— Muszę iść — powtórzyła, po czym dodała smutniejszym głosem: — Za miesiąc już mnie tu nie będzie.

„Może nie — pomyślał. — Obyś się myliła.”

— Zjawię się później, by pokazać tobie i Amy moje rancho. — Pogładził ją za uchem, małym palcem odgarniając jej włosy. — Lepiej prześpij się teraz trochę. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Uśmiechnęła się słabo, najwyraźniej nie zauważając jego pieszczoty.

— Muszę okropnie wyglądać.

— Skądże znowu — zaoponował. — Przyjdę po ciebie, Claire. Do zobaczenia. Śpij dobrze.

Potrząsnęła głową.

— Mamy zbyt dużo pracy przed otwarciem kiermaszu. Musimy uszyć kostiumy, napęłnić saszetki...

— Znajdą się tacy, którzy się o to zatroszczą. Kilka godzin niczego nie zmieni. — Uniósł podbródek. — Zdaje się, że to nieprawda, czy nie? Kilka godzin zmieniło wszystko.

Otworzyła szeroko oczy. Jackowi wydawało się, że obsypały ich gwiazdy. Stał olśniony ich imponującymi barwami. Czy rzeczywiście była istotą z krwi i kości, czy tylko zjawą utkaną z sennych marzeń, jak reszta jej świata?

— Dla mnie nic się nie zmieniło — odrzekła poważnie. — Jack moje miejsce jest tutaj, przy Amy.

Jej miejsce istotnie było tutaj. Przy nim.

— A gdyby nie było Amy? Skrzyżowała ręce na piersi.

— Ale jest. Nie masz pojęcia, co ona przeżyła. Ja miałam rodziców. Podróżowaliśmy. Kochali i troszczyli się o mnie. Umarli, kiedy Amy miała dwa latka. Prawie w ogóle ich nie pamięta. Norma pogardzała nami. Amy ma tylko mnie.

— Inni też cię potrzebują. — Jego głos zrobił się szorstki, ale już po chwili tego pożałował. Niecierpliwość mogłaby ją tylko spłoszyć. Gdyby sięgnął po nią zbyt szybko, uciekłaby i nigdy nie powróciła.

— Odwzajemniam to, na ile mogę.

— Masz w sobie wiele miłości, Claire. Wystarczająco dużo dla Amy i... innych.

— Daję to, co mogę — powtórzyła z uporem. Spojrzał groźnie. Zacerwieniła się. Walczyła z sobą, by nie zrobić ani nie powiedzieć niczego więcej. Cholera! Gdyby tylko mógł ją wyczuć, tak jak wyczuwa konie. Gdyby tylko wiedział, co powiedzieć, jak się zachować.

Jack zorientował się, że już nadszedł czas, by się pożegnać. Była wyczerpana. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wspomniała o siostrze. To był odruch.

Westchnął ciężko i przytaknął.

W porządku, Cunky. Będzie, jak ty chcesz.

Wsunął nogę w strzemień i już chciał usiąść na siodle, gdy niespodziewanie przybliżyła się Claire. Poczował jej oddech na swoich ustach. Dotknął warg, patrząc jak odchodzi.

Czy go pocałowała? Czy to był pocałunek?

— Odwzajemniam to na tyle, na ile mogę — usłyszał jej słodki głos.

— Odwzajemnij, proszę, to uczucie, moja najdroższa — wyszeptał.

Chociaż Claire bardzo ostrożnie wkradła się do wozu, Amy poruszyła się i zamruczała.

— To ty, Cunk?

Ubrana była w białą koszulę nocną z krezą. Zasnęła, czytając książkę. Trzy inne leżały porozrzucane wokół niej. Kiedy Amy sprzątała, wkładając je do otwartego kufra stojącego pod łóżkiem, Claire próbowała odczytać tytuł jednej z książek.

Ziewając Amy zamknęła oczy i położyła się na stercie welwetowych poduszek. Wyglądała bardzo dziecinnie. Młodsza siostra zaśmiała się.

— No proszę, całkiem długa przejażdżka. Nie było cię całą noc. Pewnie niezły z niego facet.

— Przykro mi. Mam nadzieję, że się nie martwiłaś.

— Merlin znów uciekł — powiedziała, przewracając się na drugi bok. — Lord P.S. ganiał go po drzewach i został zaatakowany przez jelenia.

— Nie żartuj! Czy wszystko z nim w porządku?

— Jasne. Wdrapał się na drzewo. Tak śmiesznie wyglądał wygrażając pięścią i przeklinając. — „Na Boga!” — krzyknęła, naśladując go. — Jeleń chciał ochronić swoją łanię. Poza tym nic specjalnego. — Obrzuciła siostrę szelmowskim spojrzeniem. — Nic takiego jak twoja „przejażdżka”.

— Jeździliśmy trochę — broniła się Claire.

— Na jednym koniu. Znów ci coś wpadło do oka?

— Amy, to nic takiego. Jack nic dla mnie nie znaczy.

— Więc dlaczego się czerwienisz?

Claire zdjęła przez głowę bluzkę i zaczęła rozpinąć stanik.

— Szczerze mówię, Amy. Nic się nie stało. Amy wzruszyła ramionami.

— Szczerze mówisz, Claire? Może coś powinno. Masz dwadzieścia sześć lat.

— Zaskakujesz mnie! Czy tak cię wychowałam?

— Najmilsza Cunky, żyjemy w dwudziestym wieku — rzekła, po czym zachichotała dodając: — No, przynajmniej większość czasu. Ty i ja spędzamy połowę życia w szesnastym stuleciu, ale zapewniam cię, że wiem wszystko o ptaszkach i pszczołkach. To znaczy... koniec końców ty mi o tym mówiłaś.

Claire rozpięła dzinsy i zsunęła je.

— Mam nadzieję, że mówiłam ci także jaka jest różnica między seksem a miłością.

Włożyła blad różową koszulę. Obciągając ją, pomyślała o dłoniach Jacka i stłumiła dreszcz pożądania, zajmując się składaniem spodni, które umieściła na pudełku ze wstążkami.

— Claire, gdybyś z nim... nie zdziwiłabym się zbytnio — zapewniła ją siostra. — Wiem, że kobiety odczuwają naturalny... popęd, tak jak mężczyźni. — Claire otworzyła usta ze zdziwienia. — Poza tym — kontynuowała Amy — kiedy wreszcie będziesz miała czas, żeby się w kims zakochać? Ciągłe jesteśmy w drodze. Kiedyś w końcu będziesz chciała...

— Amy Mildred van Teiler! — krzyknęła Claire. — Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Co z tobą? Czy ty...

— Oczywiście, że nie — przerwała oburzona. — To znaczy... nie znalazłam nikogo, z kim chciałabym to zrobić. Ten pierwszy raz naprawdę powinien być wyjątkowy.

— Każdy raz powinien być wyjątkowy. — Claire zanurzyła się w pościeli. — Musiałam coś przeoczyć, jeżeli ty rzeczywiście tak



sądzisz.

Kładąc jej na plecach dłoń, Amy próbowała pocieszyć siostrę.

— Cunk, kiedy w zeszłym roku kończyłam Ravelle High, ponad połowa moich koleżanek spała ze swoimi chłopakami. Czasy się zmieniły.

— Wobec tego nie podobają mi się te czasy. Amy podrapała siostrę po plecach.

— Nie mów mi, że jesteś dziewicą. — Claire ściągnęła usta. Niedowierzenie w głosie siostry sprawiło, że poczuła się jak stara panna. — Nie możesz być!

— Amy...

— Nie jesteś — zakrzyknęła triumfalnie. — Mogę to zgadnąć z twojej miny. Nigdy nie potrafiłaś kłamać. Masz szczęście, że nie jesteśmy hazardzistkami. Przy twojej nieumiejętności oszukiwania w ciągu tygodnia byłybyśmy zrujnowane,

— Hmm!

To prawda. Claire niezupełnie była dziewicą. Żyjąc zawsze w cieniu ciotki Normy, starała się być ostrożna. Bała się kolejnego powodu do szantażu i odebrania jej Amy.

Potem, kiedy Claire zażegnała to niebezpieczeństwo, zostając legalną opiekunką siostry, wiedziała, że mała będzie tworzyła swój system wartości w oparciu o jej przykład. Amy miała wtedy tylko jedenaście lat. Trudny wiek. Niewiele później jeden z chłopaków Claire oskarżył ją o to, że wiedzie życie zakonnicy. Dokuczał jej, nazywając „matką przełożoną”, kiedy broniła się przed jego natarczywością, tłumacząc, że Amy śpi w drugim pokoju.

— Nie gniewaj się — prosiła usilnie młodsza siostra. — Nie chciałam być zbyt wścibska.

— Och, kochanie, wiesz, że nie mamy żadnych tajemnic. — W chwili, gdy Claire wypowiedziała te słowa, wiedziała, że nie są już prawdą. Odwróciła głowę, poprawiając poduszkę. — Lepiej chodźmy spać. — Wsunęła się pod kołdrę, podciągając ją pod brodę. Zamknęła oczy.

Dlaczego go pocałowała? Kiedy schylił głowę, by poprawić

strzemie, wschodzące słońce oświetlało wystającą kość policzkową, zabarwiając ją na różowo. Wezbrało w niej coś, czego nie mogła powstrzymać, i pocałunek był uwolnieniem się od tego. Jednak był on tak nieśmiały, że zastanawiała się, czy go poczuł. Z jednej strony miała nadzieję, że tak, z drugiej jednak, że nie.

— Davey Bohanon powiedział, że zmieni się jutro pogoda — skonstatowała Amy. — Mówił, że było tu naprawdę zimno jak na sierpień, ale jutro ma się ocieplić.

Claire potarła skroń.

— Kto to jest Davey Bohanon? Nie ma nikogo o tym nazwisku w naszej trupie.

— Pracuje dla Jacka — wyjaśniła Amy zaspianym głosem. Niezły z niego spryciarz. Próbował mnie pocałować, kiedy szukałaś Merlina.

— Ho, ho! — zdziwiła się Claire otwierając szeroko oczy.

— Nie obawiaj się. Nic się nie stanie.

— Och, Amy, ja... — Czasami trudno było opiekować się szesnastoletnią dziewczyną, zwłaszcza jeżeli samemu miało się tylko o dziewięć lat więcej.

Amy znalazła dłoń siostry i uścisnęła ją.

— Kocham cię, Cunky, i nie pozwolę cię skrzywdzić. Cieszę się, że podróżujemy, tak jak ty podróżowałaś z mamą i tatą. Nie cieszysz się? Co? Czy nie myślałaś, że tak to będzie wyglądało? Wiem, że bardzo na to czekałaś.

— Tak, Amy, to wspaniałe życie — zamruczała.

— Cieszę się. — Amy raz jeszcze uścisnęła jej dłoń i przewróciła się na drugi bok. — Też to lubię. W przyszłym miesiącu jedziemy do Anaheim, tak? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Disneyland.

Claire przełknęła ślinę.

— Jack — wyszeptała.

— Coś mówiłaś? — Ziewnęła, przytulając się do poduszki.

— Tylko dobranoc.

Po chwili Amy smacznie chrapała, tylko Claire wyczerpana nie mogła zasnąć.

Przewracała się z boku na bok. Dźwięk wbijanych gwoździ i zgrzyt

piły przenikały jej sny, pełne koni, nocnego nieba i księżyca. Obudziła się wreszcie i usiadła na łóżku. W wozie było gorąco. Aromat suszonych kwiatów był gęsty i duszący. Widocznie Amy już wstała, bo nie było jej wewnątrz. Claire umyła się szybko i ubrała w bawełnianą suknię z krezą. Miała kolor cynamonu i doskonale harmonizowała z cygańską bluzą. Na nogi wsunęła skórzane sandały, zrobione przez starego Tima Łatacza, który zwykle rozkładał się ze swoim kramem obok jej straganu. Natarła się perfumami i uczesała włosy, przewiązując je barwną chustką z gazy.

Z zewnątrz dochodził dźwięk dzwonek i głos Lorda Petita Sirraha objaśniającego zawite figury tańca.

— Przejście, przejście — nucił — trzy do przodu i do tyłu. Potem miecze do góry i... och, witam milordzie! Nasza dama chyba jeszcze śpi. Mam ją obudzić?

Claire otworzyła drzwi wozu i ujrzała Jacka na wyniosłym ogierze. Za sobą ciągnął dwa doskonale dobrane, białe konie.

— Ależ nie ma potrzeby — wyszeptał melodyjnie — oto i ona, piękniejsza niż światło poranka.

Na jej widok twarz Jacka rozpromieniał uśmiech jaśniejszy niż promienie słońca oświetlające jego gołą głowę. Intensywnie brązowe włosy połyskiwały gdzieś jaśniejszymi pasemkami, cudownie harmonizując ze złotawymi oczami. Wyglądał kwitnąco, zupełnie nie jak człowiek, który przepracował cały ranek po kilku zaledwie godzinach snu.

Przywitał ją, mówiąc starą angielszczyzną. Uśmiechnęła się, nie mogąc stłumić radości na jego widok. Znów się zastanowiła, czy poczuł jej pocałunek.

— To nie tak. To znaczy: „Niech Bóg ześle ci dobry wieczór” — wyjaśniła. — Dobry poranek wystarczy.

— No to może po prostu — dobrego dnia. — Piorun skakał wokół niej, kiedy Jack zamruczał: — Co powiesz o tym, że tęskniłem za tobą tak bardzo, że nie mogłem spać?

Claire przełknęła ślinę. Czy z tego właśnie powodu także i ona nie mogła zasnąć?

Brak odpowiedzi musiał przyjąć za zły znak. Uśmiechnął się słabo i dorzucił: — Lepiej zostańmy przy dobrym dniu.

Claire wskazała na śnieżnobiałe konie, z których jeden rozgarniał kopytem ziemię.

— Są takie piękne. Podał jej wodze.

— To araby. Są dla was. Dla ciebie i dla Amy. Pomyślałem, że dwie renesansowe księżniczki powinny mieć swoje klacze.

Zamrugła oczami.

— Naprawdę będą nasze? Przez cały miesiąc? Przytaknął.

— jeśli ci się nie podobają, poszukamy innych.

— Ależ skąd! Są cudowne! — Podniosła na niego roziskrzony wzrok. — Nie mogę w to uwierzyć! Dzięki, Jack.

Jej zachwyty przepęłnił go radością. Wyprostował się w siodle i ze skrzyżowanymi rękami obserwował, jak Claire pozwala koniom obwąchiwać swoje dłonie.

— Ten się nazywa Pajaro, a ten Nieve. Po hiszpańsku to znaczy „ptak” i „śnieg”. Karen je tak nazwała.

— Którego łatwiej dosiąść? Uśmiechnął się szerzej.

— Myślę, że dla Amy dobry byłby Pajaro. To świetna klacz.

Niezbyt szybka. Nieve jest inna. — Uśmiech pogłębił ukośne linie zmarszczek pod oczami. — Pomyślałem, że spodoba ci się bardziej ognisty arab.

— Muszę powiedzieć Amy — rzekła pośpiesznie. — Wrócę za minutę.

Schwycił ją za rękę.

— Powiemy jej razem. Wskakuj. Poszukamy twojej siostry.

Przewidywania Daveya co do pogody sprawdziły się. Jasne słońce przełamało chłód poranka. Wszyscy członkowie wielkiej obozowej rodziny mieli na sobie krótkie dżinsowe spodenki i podkoszulki. Wszyscy, z wyjątkiem Lorda Petita Sirraha, który paradował w swoim jedwabnym kubraczku i pończochach. Wyglądał jak zmęczony upałem paw. Poprawiając majestatycznie swój filcowy kapelusz z podwiniętym rondem, ponownie zajął się tancerzami.

— Wielkie przygotowania — zaobserwował Jack. — O ile się nie

myle, jutro rozpoczyna się jarmark, tak?

Claire nie odpowiedziała. Siedziała prosto w siodle, gładząc gładki grzbiet Nieve. Wyglądała tak, jak gdyby była w transie. Powolne, zmysłowe ruchy rozpałały przyglądającego się jej Jacka. Zdało mu się, że Claire rozmawia z klaczą. Jej oddech był głęboki i długi, oczy przymknięte. Pomyślał, że jest w niej coś tajemniczego. Z jednej strony czuł, że zna ją lepiej niż jakąkolwiek osobę na świecie, z drugiej zaś wydawało mu się, że nigdy, ale to nigdy jej nie zdobędzie.

Musiała poczuć, że się w nią wpatruje, bo szybko cofnęła rękę.

— Przepraszam, co mówiłeś?

— Rozpoczynacie jutro.

— Aha. — Zmarszczyła brwi, patrząc na powstającą wśród zieleni wioskę. — Nie wiem, jak my się z tym wszystkim uporamy. Amy i ja musimy jeszcze postawić nasz stragan — ciągnęła, po czym dodała:

— Może powinniśmy cię odwiedzić innego dnia.

— Przyślę wam później pomoc — odrzekł. — Powiedz im tylko, co mają zrobić. Zajmą się tym.

— Claire! — zawołała wysokim, wibrującym głosem Amy. — Popatrz na te konie!

Biegła w ich stronę. Ubrana była w białe szarawary ściągnięte w kostce i przystrojone lawendowymi, purpurowymi i różowymi wstążkami. Kimonowa bluzka ściągnięta była jedwabnym pasem w tych samych kolorach. Na rękach miała szerokie bransolety z suszonych kwiatów. W dłoniach trzymała nożyczki i poduszeczkę do igieł.

— Jack je nam pożyczca — powiedziała Claire. — Ten jest dla ciebie.

— Mój własny koń? — Kucnęła, by sprawdzić jego płęć.

— To klacz — wyjaśnił Jack.

— Mogę na niej jeździć?

— Po to jest. — Z łatwością zsiadł z konia, powstrzymując Amy. — Poczekał, podsadzę cię. — Kiedy zaczęła wierzgać nogami, śmiejąc się potrząsnął głową i rzekł: — O mój Boże! Jakaś ty mała.

Amy przybrała wyniosłą minę.

- O przepraszam, jestem wyższa niż Claire. Umieścił ją w siodle.
- O ile? O jedną szesnastą cala?
- Aż o całe trzy cale, ale ona więcej waży.
- Masz rację — odpowiedział, mrużąc do niej. — O jakąś jedną szesnastą funta.
- Prawie o dziesięć funtów — poinformowała go. Jack zagwizdał.
- Ależ z niej stara gruba beka.
- Amy porozumiewawczo spojrzała na siostrę.
- Lepiej uważaj, bo jak nie, to nieźle od niej oberwiesz.
- Wzrok Jacka spotkał się ze wzrokiem Claire. „To by było całkiem miłe” — dał jej do zrozumienia. Potem opanował się powtarzając sobie: „Opamiętaj się Youngblood”. To była kobieta jego życia, którą niełatwo było zdobyć i być może, niełatwo też rozśmieszyć. Bardzo tego żałował. Lubił docinać innym. Celne dowcipy dawały mu poczucie satysfakcji.
- Claire, zamiast się obrazić, zmarszczyła nos, machając palcem na Jacka.
- Uważaj kowboju — ostrzegała przedrzeźniając go. — W starych grubych bekach jest zazwyczaj dużo prochu.
- Czyżbyś była wystrzałowa? — spytał.
- Uwaga, krótki zapalnik — wtrąciła Amy. — Zapałki trzymaj z dala od niej.
- Och, ja też jestem wystrzałowy. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Przynajmniej tak o mnie mówią.
- Claire spłonęła rumieńcem.
- Pośpieszmy się, jeżeli w ogóle mamy zamiar cokolwiek dzisiaj zrobić.
- Dokąd jedziemy? — spytała Amy, podrzucając poduszeczkę do igieł.
- Skoczmy na moje rancho — odpowiedział. Amy klasnęła w dłonie.
- Po prostu umieram z ciekawości, żeby je zobaczyć. Braterskim gestem rozczochrał jej włosy.
- Hej, dowcipnisiu! Skąd się wziął taki bystry dzieciak? —

zapytał Claire.

Uderzyła się w pierś i odrzekła:

— Lata praktyki. Czy nie moglibyśmy już pojechać? Nie mam zamiaru sterczeć tu cały dzień jak głupia.

Amy i Jack westchnęli zgodnie.

— Dobrze, więc galopem. Chodź tutaj mała, nie bój się. —  
Cmoknął na klacz. Postąpiła o kilka kroków.

— Mam nadzieję, że nie jest zbyt szybka — spytała Amy zaniepokojona. — Nie jeździłam wiele.

— Nie, kochanie — odpowiedziała Claire. — Jack wybrał ją specjalnie dla ciebie.

— Ależ z niego wystrzałowy facet. — Zatrzepotała rękami, patrząc w jego stronę.

— Koniec tych słownych gier — odparł, podnosząc ręce do góry. Poprowadził ogiera między dwie białe klacze.

— Poddaję się. Wstrzymać ogień.

— W porządku. — Amy naśladowała ruchy siostry chwytającej za cugle. — Tak czy owak wyczerpała mi się amunicja.

— Ostry ma język, nie ma co — skonstatował Jack. Claire przytaknęła z dumą.

— Owszem.

— Jeżeli masz coś do szycia, dlaczego nie weźmiesz tego z sobą? — zasugerował. — Moja siostra pomogłaby i wszystko poszłoby szybciej. „I może Claire zgodziłaby się zostać dłużej” — pomyślał.

— Świetny pomysł! — wykrzyknęła Amy.

— Ty i twoja rodzina zrobiliście już dla nas wystarczająco dużo. — Claire potrząsnęła głową.

— Nie mówmy o tym — zwrócił jej uwagę Jack.

— Wrócę po rzeczy — powiedziała Amy. — Pędź, Pajaro.

Klacz zarżała radośnie i pobiegła klusem. Amy wydała z siebie lekki okrzyk przerażenia, który zmienił się w kaskadę śmiechu. Potem odwróciła się na chwilę i zawołała:

— Zdobyłam dla ciebie kilka biletów! — Jack pomachał ręką, dając jej znak, że usłyszał.

— Naprawdę nie chciałabym się naprzykrzać twojej siostrze — powtórzyła Claire.

— To nie będzie żaden problem. Karen cię lubi. Chciała nawet zaadoptować Amy — dodał śmiejąc się.

Claire westchnęła.

— Wszyscy chcą ją adoptować. Wolałabym, aby była bardziej ostrożna w stosunku do obcych. Jest zbyt ufna.

— Zauważyłem, że bardzo się od siebie różnicie. Ściągnęła brwi.

— To znaczy?

Przygryzł wargę. Zanim odpowiedział, sięgnął do kieszeni, wydając garść owsa. Podał jej, a kiedy odmówiła, nakarmił nimi konia.

— To znaczy — powiedział w końcu — że istnieją też tacy nieznajomi, od których można zaznać dużo dobrego.

— To znaczy?

Zauważył jej wzbierającą nieufność. Sztywne, wyprostowane plecy, ściśnięte usta, sposób w jaki trzymała w swych drobnych dłoniach wodze.

— To znaczy, że cieszę się z twojej wizyty na rancho. Jak tam ramię?

— O wiele lepiej.

— To dobrze.

Siedziała wciąż nieufna, gdy wróciła Amy. Była obładowana materiałami i wstążkami, które dałyby tygodniowe zajęcie dwunastu ludziom. W obecności młodszej siostry Claire rozluźniła się nieco i Jackowi przyszło na myśl, że pieczołowitość, z jaką chroniła Amy, była po części obroną samej siebie. Wolała mieć młodszą siostrę przy sobie. Jej entuzjazm i dziewczęcość przyciągały uwagę innych, odciągając ją jednocześnie od Claire.

„Och, słodka Claire! — rozmyślał, gdy jechali do jego domu. — Jakie było twoje życie? Co sprawiło, że jesteś taka skryta?

Siostry jechały obok siebie. Amy śmiała się i gadała jak najęta. Claire odpowiadała przyciszonym głosem. Jack pozostawał na uboczu. Wyprzedził je nieco, próbując nie podsłuchiwać, choć



umierał z ciekawości, by dowiedzieć się, co oznaczały sprzeczny poruszony Claire i przenikliwy śmiech Amy.

Obydwie spięły konie, by zrównać się z nim. Jechali we trójkę ramię przy ramieniu wzdłuż asfaltowej drogi. Powietrze przesycone było zapachem jabłek, intrygującą wonią róży z lawendą, którą wydzielały wianki przywiązane przez Amy do łąki jej siodła.

— Czy trudno się to robi? — spytał, próbując nawiązać rozmowę. Zmarszczyła nos, odsupłała jeden i podała Jackowi.

— Nie, jeśli wiesz jak. Po prostu okręca się kwiaty wokół drutu i dodaje trochę wstążek. Rzecz polega na tym, by wiedzieć, gdzie je kupować i jak okręcać. Jack przyjrzał się uważnie.

— Wygląda jak aureola. — Przycisnął udo do boku konia, który postąpił w stronę Nieve, obwąchując klacz. Piorun parsknął, próbując się wycofać, ale Jack trzymał go w ryzach. — Musimy je obie sprawdzić — rzekł, myśląc o klaczach. Potem położył wianek na jasnych włosach Claire. Pod stwardniałymi dłońmi wydały się dziecinnie miękkie i delikatne. — Piorun nie był przecież kastrowany.

— To ogier? — dopytywała się Amy.

— Jak widać, niezupełnie. — Jack zaśmiał się.

— No to dlaczego go nie wykastrowiesz? — zaproponowała.

Jack dotknął wianka. Potem przeciągnął palcami po skroni i uchu Claire, dostrzegł jej błyszczące powieki i poczuł ogarniające go podniecenie. — Być może, za bardzo się z nim utożsamiam — odrzekł napawając się ekscytacją rozpaloną w nim przez Claire. — Poza tym lubię szczególną atmosferę rancha. Jeżeli o mnie chodzi, klacze, które nie idą na sprzedaż, mogą mieć żrebaki, kiedy tylko chcą. Trochę rozkiełznania to dobra rzecz. Mówię, oczywiście, o ogierach i klaczach.

Amy kręciła się w siodle, śmiejąc się z zakłopotaniem, jak małe dziecko, które podsłuchało brzydki dowcip. Jack umilkł na chwilę. Zapomniał, że jest jeszcze taka młoda.

Ale ona nie była „taka” młoda. Zauważył, jak Claire daje jej dyskretnie znak, by się uspokoiła. „I za cóż miałbym ją krytykować”

— pomyślał. Nigdy przecież nie musiał wychowywać dziecka samemu będąc dzieckiem.

Ciągle jednak nie mógł się powstrzymać od myśli, że dama, która zawładnęła jego sercem, zbyt troskliwie matkuje młodszej siostrze. Pewnego dnia mały ptaszek opuści gniazdo. Miał tylko nadzieję, że obie siostry będą gotowe, kiedy nadejdzie czas.

Jack poczuł muśnięcie na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Claire przechylającą się w jego stronę. Usiłowała założyć mu wianek. Cynamonowa bluzka opadała fałdami z ramion, podkreślając jej kształtne, jędrne piersi, spódnica zaś falowała wokół siodła. Zakochał się jeszcze bardziej.

— Hej, kobieto, co ty wyrabiasz! — zażartował, chwytając ją za nadgarstek.

— Dalej, dalej, pozwól jej to zrobić! — zachęcała Amy. — Będiesz wyśmienicie wyglądać. Zupełnie jak rycerz przed potyczką. Claire, zróbmy mu kolczugę i...

— I jeszcze pończochy — zgodziła się Claire, próbując chwycić wolną ręką wianek i zarzucić Jackowi na głowę. Zabłyły jej oczy, a wysoki, melodyjny śpiew przepełniał powietrze.

— Proszę bardzo, milordzie — kowboju. Teraz jesteś Królem Maja.

— Zdrada! — krzyczała Amy. — Przecież już mamy króla.

— No to Królem Sierpnia. — Jack cały czas trzymał ją za nadgarstek. Claire przestała się śmiać. Złapała oddech, przełykając ślinę. Tylko tyle mógł zrobić, by powstrzymać się od wzięcia jej w ramiona.

— Co powiesz o Królu Serc? — spytał po cichu. Przypatrywali się sobie. Przepływał między nimi jakiś rodzaj energii, która hipnotyzowała Jacka.

„Gdybyśmy żyli w innym wieku, powiedziałbym, że mnie oczarowała — pomyślał. — Powiedziałbym, że rozkochała mnie w sobie. Ale to nie mój styl. To nie ma sensu.”

— Król Serc? — powtórzyła szeptem.

Puścił jej dłoń. Ponownie ulokowała się w siodle. Gdy to uczyniła,

był pewien, że w jej dużych, kobaltowych oczach ujrzał aprobatę. Jak gdyby mówiła: „O tak, milordzie. Jesteś królem mojego serca”.

Schwycił wodze. „Gdyby nie została — pomyślał — gdyby odeszła...”

Jak mógłby nakłonić tego białego, cennego gołębia do powrotu do gniazda? Co mógłby uczynić, żeby go pokochała?

Wirujące w myślach obrazy zniknęły. Górę wzięły emocje. Pogrążył się w zapomnieniu, wzdychając tęsknie. Kiedy spojrzął przed siebie, zobaczył, że siostry wysunęły się naprzód razem.

Wyciągnął dłoń.

— Moja Claire! — zawołał łagodnie. — Poczekaj na mnie.

Popędzany Piorun przyspieszył. W momencie, gdy Jack się z nimi zrównał, Amy zawołała:

— Claire, popatrz!

— Och! — zawołała i obydwie pocwałowały w dół, mijając szczyt pagórka.

— Szybciej, Piorun! — Ogier pogalopował i Jack puścił się w pogoń.

## Rozdział czwarty

— Jack, czy one są twoje? — zawołała Claire, kiedy zjeżdżali z pagórka.

Za płotem na zielonej murawie rżały radośnie i figlowały miniaturowe konie. Największy miał może trzy stopy wysokości. Żrebaki wyglądały jak wypchane zabawki z pokoju dzieciennego. Większość była koloru beżoworóżowego. Wiatr rozwiewał ich kremowe i białe grzywy, gdy stawały dęba i pląsały.

— Jakie rozkoszne rzenie! — zapiszczała Amy. — Claire, pomóż mi zsiąść z konia. Chciałabym się z nimi pobawić.

— Nie wiem, czy można.

— W porządku — zapewnił Jack, zbliżając się do Amy i biorąc od niej cugle. — Należą do mojej sąsiadki. Jess nie będzie miała nic przeciwko temu.

— Są takie malutkie — stwierdziła Claire, zsiadając z konia. — Nigdy nie widziała czegoś takiego.

Ześlizgnąwszy się z konia, Jack dołączył do nich. Szarmancko otworzył bramę, pozwalając im wejść. Przechodząc Claire spojrziała na niego. Słońce utworzyło nad jego głową złotą obwódkę. Rozproszone promienie łagodziły ostre rysy. Opalona skóra, jaśniejąca w świetle dnia, promieniowała żywotnością. Zdusiła w sobie tęskne westchnienie, skupiając się, by dogonić Amy.

— Pomocy! Pomocy! — Młodsza siostra krzyczała otoczona ze wszystkich stron ciekawskimi konikami. Szarpały wstążki przy bluzce i szarawarach. Na odgłos jej wysokiego głosu rozpierzchny się. Po chwili zastąpił je nowy krąg niezwykle wyglądających stworzeń.

— No jazda, maluchy! — rozkazała im Claire, oganiając się od nich jak od nieznośnych ptaków. Karłowate konie poszerzały krąg, po czym wracały nie poskromione. Szarpały długą spódnicę Claire i łaskotały ogonami w łydki. Złapała jednego za grzbiet, wygrażając mu palcem. Dwoje oczu podobnych do króliczych wpatrywało się w nią figlarnie.

— Uspokójże się — przemawiała do źrebaka, schylając się, by spojrzeć mu w oczy. Odsunął się nieco. Straciła na chwilę równowagę. — Stań spokojnie i pozwól mi się z sobą zapoznać.

W odpowiedzi polizał jej policzek jak szczenię. Claire skrzywiła się, a Jack stojący za nią zaśmiał się w duchu.

— Pozwól, że ci pomogę — zaproponował. Kucając obok dla utrzymania równowagi, położył jedną rękę na jej ramieniu, a drugą zaś posadził ją na małym, zuchwałym stworzeniu. Claire poczuła charakterystyczny zapach Jacka. Woń skóry i piżma drażniła jej zmysły. Swoimi długimi palcami głaskał źrebaka po pysku, potem podrapał go za uszami, tak jak głaszcze się ulubionego setera irlandzkiego.

Zwierzę uspokoiło się.

— Cicho, cicho — mruczał Jack, gdy źrebak zamykał raz po raz ślepia, pokazując długie, gęste rzęsy. — Cicho, malutki. — Pogrzebał w kieszeni, wydobywając z niej ziarenka owsa. — Jess nie będzie miała nic przeciwko temu — rzekł usprawiedliwiając się.

Źrebak obwąchał smakołyk, po czym zjadł go chciwie. Zarżał falsetem naśladującym rzenie zwykłego konia i obszukał ręce Jacka.

— Tutaj, kochanie. Teraz ty go nakarm — rzekł, podając Claire owies.

Koń zjadł ziarna. Pyszczek miał jak z aksamitu. Zbliżył się i trącając Claire w ramię, prosił o więcej.

— Och! — krzyknęła mimowolnie, sycząc z bólu. Byłaby upadła, gdyby nie mocna dłoń Jacka. Claire znalazła oparcie na jego piersi. Wyciągnął nogi, by ją asekurować. Była uwięziona między muskularnymi udami w wytartych dżinsach.

— Nic ci się nie stało? — spytał ochrypłym z zaniepokojenia głosem. Dotknął jej ramienia. Schylił się. Delikatnym, okrężnym ruchem rozmasowywał bolące miejsce. Ściągnięte mięśnie i nerwy rozluźniły się.

— Dzięki. — Próbowwała się uwolnić z jego uścisku, ale on jej na to nie pozwalał. Płynne ciepło niczym dobre brandy zaczęło się rozchodzić od barku przez ramię aż do klatki piersiowej. Obojczyki,

kark, piersi, wszystko się w niej rozbudziło, jak gdyby ożywione jego pieśczołą. Brodawki piersiowe skurczyły się, tworząc dwa pączki. Czuła, że palce Jacka pieścące i głaszczące jej ramię znajdowały się o włos od nich. Zamknęła oczy, słysząc szept swojego ciała: „Dotknij ich. Pieść mnie całą”.

Przy swoim ramieniu czuła bicie jego serca. Miał krótki oddech. Mięśnie jego ud zeszywniały, ciało wygięło się lekko do przodu, jak gdyby z pierwotną tęsknotą spalenia się w jej rozbudzonym ciele...

— Hej, gdzie jesteście! — krzyknęła Amy. — Spójrzcie, co znalazłam.

Claire wypadła z transu. „O Boże! Co myśmy robili” — pomyślała. Po prostu kochali się na środku pastwiska!

Jack zaklął po cichu. Podniósł się i pomógł wstać Claire. Obchodził się z nią tak troskliwie, jak ze swoją małą siostrzenicą.

— Chodźcie tutaj! — raz jeszcze zawołała Amy. Stała w sosnowym zagajniku w wianku ze stokrotek na głowie. Drugi taki wianek spoczywał na karku kozy.

— Później do tego powrócimy — powiedział półgłosem Jack, podnosząc dłoń Claire do ust. Brązowożłote oczy zabłyśły, kiedy suchymi wargami całował jej dłoń. Jego stanowczość przestraszyła Claire. Nie śmiała odmówić. Powietrze przesycone było pożądaniem. Zawierała się w nim jednak prawdziwa troska i serdeczność.

Claire wciągnęła powietrze i unosząc głowę spytała:

— Co znalazłaś, kochanie?

— Żonę dla Merlina! — zakrzyknęła siostra. — Zobacz, jaka przyjazna!

Claire odsunęła się od Jacka.

— Nawet wielkością do siebie pasują. — Koza szturchnęła Amy. Postąpiła o krok, śmiejąc się i potykając. Nie patrząc na Jacka, Claire pobiegła w stronę siostry.

— Dokończymy później — Jack wymówił te słowa na tyle głośno, żeby mogła zrozumieć. Ona jednak udawała, że nie słyszy, uciekając przed jego natarczywością do siostry.

Później usłyszała go niemal tak wyraźnie, jak gdyby mówił na

głos: „Pamiętaj, moja droga Claire, nie możesz ciągle uciekać”.

Dosiedli koni i przecięli wygon dla stadniny należący do Jessie Reynolds. Pokłusowali w stronę domu Jacka — Rancho Espejo. Początkowa ostrożność Amy wobec Pajaro zupełnie zniknęła. Jechała, radośnie naśladując śpiewy ptaków na drzewach. Claire i Jack jechali obok niej w milczeniu, zatopieni w myślach. Rytm kopyt końskich odpowiadał rytmowi ich serc. Claire była tak napięta, że zastanawiała się, czy będzie mogła jeszcze oddychać pełną pierśią.

Kiedy jednak ujrzała za drzewami Rancho Espejo, zapomniała się i wykrzyknęła:

— Och, jakie to piękne!

Przed świeżo pomalowanymi stajniami, z którymi stykały się także inne drewniane budynki, znajdowały się dwa duże place do ćwiczeń. Trzypiętrowa rezydencja, zbudowana w stylu hiszpańskim, pokryta była dachówką z terakoty. Łukowe okna, wypełnione witrażami, błyszcząły nad masywnymi dębowymi drzwiami, które zapowiadały luksus i zbytek wnętrza. Dorodne krzewy pieprzowe i piękne dęby rzucały cień na szmaragdowozielony trawnik. Na wyłożonym cegłą patio stały donice z ozdobnymi drzewkami, kępami geranium i bratków.

Claire przyglądała się temu wszystkiemu z zapartym tchem. Z jednego z dalszych budynków wyszedł stajenny, prowadząc piękną kasztanę. Obok niego szła smukła kobieta ubrana w bryczesy, buty do jazdy konnej i ciemny toczek. Właścicielka pogładziła klacz.

— Och, baronowa przyjechała. To dobrze — rzekł Jack, zwracając się do Claire — No i cóż o tym myślisz? — Popatrzył wyczekująco.

— Pojęcia nie miałam, że jesteś taki bogaty. — Gestykułowała żywo.

Wzruszył ramionami.

— Kilka dobrych inwestycji.

Kilka dobrych inwestycji! A ona myślała, że to jakiś nędzny pomocnik w sklepie z antykami.

— To jest oszałamiające — przyznała szczerze. — Musisz być bardzo dumny.

— Chyba jestem. — Wysoko podniósł głowę, przyglądając się swojej posiadłości. — To trwało wiele lat. Praca na rancho to wszystko, co umiem. — Wiatr zmierzwił mu włosy. Wyglądały jak poprzetykane srebrnymi nitkami. — Oprócz wypełniania blankietów podatkowych — dodał śmiejąc się. — Jestem najszybciej bogacącym się facetem na zachodzie, więc może teraz pozwolisz mi zapłacić rachunek za lekarza?

Potrząsnęła głową.

— Ja też jestem dumna.

— Wiem — odrzekł łagodnie. — Uwielbiam cię za to.

— Cóż, osiadłeś tu na stałe — ciągnęła. Jej głos stawał się coraz wyższy ze zdenerwowania. Ten luksusowy dom zdawał się ją przyciągać jak magnes. — Zapewne nie przeniesiesz się szybko w inne miejsce, podczas gdy my z Amy gnieździmy się w wozie i...

— Czy ci to odpowiada? Pogardliwie potrząsnęła głową.

— Jest coś więcej w życiu niż dobra materialne.

— Och, prawie zupełnie się zgadzam. — Jego oczy zajaśniały. — Jestem szczęśliwy, że podoba ci się mój dom.

— Wygląda raczej na pałac.

— Doskonały dla księżniczki. Jest w nim nawet pokój muzyczny — dodał, powściągając Pioruna wprawnym ruchem ręki. Ogiera odprowadzono do stajni, gdzie czekała na niego świeża woda i siano i gdzie zdjęto mu siodło. — Oranżeria, w której Karen hoduje orchidee.

— Mieszka z tobą? Potrząsnął głową.

— Nie. Mają z mężem mieszkanie nad sklepem z antykami. W zasadzie spałaś w ich łóżku, Złotowłosa. Pamiętasz?

Łóżko z baldachimem. Jasna kołdra. Zapach cytryny, piżma, fiołków i oczy ogiera, zaniepokojonego nieznanego. ..

— Tak, tak, pamiętam.

Amy, galopując z przodu, powitała wytworną baronową. Ta zatrzymała się. Zaczęty rozmawiać z ożywieniem. Były zbyt daleko z Claire, by mogła usłyszeć ich głosy. Potem Amy ześlizgnęła się z konia, wskazując na głowę kobiety. Baronowa zdjęła toczek i śmiejąc



się włożyła go na głowę dziewczyny.

— Karen z mężem będą dziś wieczorem na obiedzie

— dodał Jack. — Mogłabyś go poznać, jeśli chcesz.

— Och, nie możemy tak długo tu zostać. Mamy dużo do zrobienia przed jutrzejszym dniem. — Ściągnęła brwi.

— Mam nadzieję, że Amy nie naprzykrza się nikomu.

— Jestem pewien, że nie — odparł. Dotknął włosów Claire. — Hej, złuzuj trochę wodze! Dlaczego trzymasz je tak kurczowo? Życie niekoniecznie musi być walką.

Claire czuła ruchy palców bawiących się jej lokami. Zaczęła ją swędzić skóra głowy, fala ciepła napłynęła do twarzy. By przeciwdziałać emocjom, jakie w niej wyzwolił, zajęła się wodzami.

— Nie wiesz nic o moim życiu.

— Wiem wystarczająco dużo, by stwierdzić, że znów cię nauczę, jak się śmiać.

— Co masz na myśli? Przecież cały czas się uśmiecham.

— Ale nie z serca, Cunky. — Jack przerzucił ręką jej włosy, koniuszkiem palców dotykając karku. — Twoje oczy są smutne, nawet gdy się śmiejesz. — Powoli otaczał dłonią jej kark i rozcierał go. — Otwórz się, panno Claire.

Trzymając w rękach wodze, posłała mu sztuczny, przesadny uśmiech. Przerzuciła nogę przez siodło, zmuszając go do odsunięcia się.

— Przykro mi. Nie ma miejsca w gospodzie — powiedziała lekceważąco. — To co dajemy — miedziaka czy srebrnika?

— Claire, nie próbuj mnie spławić.

Dotykając włosów poczuła, że obluzowała się jej opaska. Gdy podniosła dłonie, by ponownie ją przewiązać, Jack złapał ją i opuścił. Przyglądając się jej, rozwiązał wstążkę i zdjął z włosów.

— Musisz mnie wpuścić — powiedział.

„Już wszedłeś” — chciała odrzec, ale nie powiedziała nic, odbierając od niego opaskę i składając ją. Jack westchnął.

— Nie ułatwiasz mi tego.

Dotknęła ramienia. Jej oczy byty wielkie i przejrzyste jak źródło

czyste, błękitne i głębokie.

— Więc poddaj się, Jack. Proszę. Przez wzgląd na nas dwoje. Nic nie może zająć... między nami. Za miesiąc już mnie tu nie będzie. Nie mogłabym znieść... — urwała. I tak zbyt wiele powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że gdyby wiedział, iż i tak po części już jest w nim zakochana, nie ustawałby w zalotach. Każdy dotyk, każde spojrzenie było niczym dodatkowy ciężar. Nie mogła poddać się temu obłączeniu. Nieuchronnym rezultatem jej kapitulacji byłoby złamane serce.

Obiecała siostrze, że pokaże jej cały świat. Właśnie teraz, w tak młodym wieku, Amy potrzebowała jej najbardziej. To był pierwszy rok wolności. Nie mogłaby jej opuścić.

Spojrzała na Amy. Wręczała baronowej toczek. Potem energicznie pokiwała głową i pomachała. Kobieta o smukłych nogach próbowała dogonić konia. Gdy zobaczyła Claire i Jacka, dała mu znak ręką i pośpieszyła w ich stronę.

— Mam kogoś, kto pokaże wam dom — powiedział szorstko Jack, przerywając jej zadumę. — Muszę chwilę porozmawiać z baronową. Chcę wyruszyć przed zmierzchem.

Claire zabolął bezosobowy ton jego głosu. Właściwie to czyż nie tego chciała?

— My też musimy wcześniej wrócić — rzekła.

Jego oczy zabłyśły ze złości. Zsiadł z konia, zwalniając uścisk. Siedziała w siodle z nogami wiszącymi z lewej strony Nieve. Zsiadała z konia niechętnie, choć z dreszczem zmysłowej rozkoszy. Pozwoliła Jackowi objąć się w pasie.

Jego uścisk był jak żelazo, rozpalone oczy mogłyby roztopić stal. Serce waliło. Ujrzała też mięsień drgający na policzku. Przez krótką chwilę myślała lub miała nadzieję, że ją pocałuje.

Zamiast tego postawił ją na ziemi.

— Claire — rzekł stanowczo. Odwrócił się do niej, schwycił w dłonie wodze obu koni i wręczył je stajennemu, potem, delikatnie kładąc dłoń na jej smukłych plecach, skierował ją w stronę domu. — Powiedz Daveyowi, żeby tu przyszedł — polecił stajennemu.

— Hej! — wołała Amy, zbliżając się do nich. — O rany! Ta babka jest baronową!

— Tak, wiem — odparł Jack skrzywiony.

— A ty mieszkasz w pałacu! Powiedz, czy nie chciałbyś tu mieszkać, Cunky? Czy masz też basen?

— Tak — odpowiedział śmiejąc się.

— Następnym razem będziemy musiały wziąć kostiumy kąpielowe. Ubóstwiam baseny — mówiła rozentuzjasmowana.

— Jestem pewien, że znajdzie się tutaj dla ciebie jakiś kostium — zapewnił ją Jack, spoglądając na Claire. Potem dodał: — W zasadzie po obiedzie moglibyśmy wszyscy popływać, jeśli zechcesz.

— Zostajemy na obiad? — spytała Amy, patrząc na siostrę.

Claire z kolei obrzuciła spojrzeniem Jacka wzdychając. Oboje z Amy spiskowali przeciwko niej.

— Myślę, że nie — odparła oziębło.

— Och, proszę!

Claire skrzyżowała ręce na piersi.

— Amy, musimy się przygotować do otwarcia.

— Ale Jack nam pomoże, czyż nie? — Młodsza siostra uśmiechnęła się tryumfalnie, bo Jack przytaknął. — Musi mieć około dwudziestu facetów. My potrzebujemy tylko jednego do rozstawienia straganu. — Zaśmiała się. — To znaczy, gdyby Lord Petit Sirrah mógł to zrobić, wtedy nie musiałybyśmy zatrudniać jednego z tych wielkich chłopaków.

— Myślę dokładnie tak samo — przytaknął. Claire zacisnęła zęby.

— Och, zgódź się! — nalegała Amy. — Od tygodni jemy tylko konserwy.

— Będzie stek i żeberka — wtrącił Jack.

— Stek! — Amy klasnęła w ręce i powtórzyła błagalnie. — Claire, stek!

I ulubione żeberka Claire. Studiując ożywioną twarz siostry, pomyślała, że Jack ją kusi jak wąż Ewę w tym zakątku, które było ogrodem pełnym soczystych jabłek.

— No dobrze — przyznała niechętnie. — Wygrałaś.

— Hurra! — zakrzyknęła Amy.

Jack uśmiechnął się do Claire, przekrzywiając wianek ze stokrotek, który Amy miała na głowie.

— Dobrze to uknułaś, mała siostrzyczko. Zawsze zwyciężasz tam, gdzie inni ponoszą porażkę — przyznał.

Chichocząc Amy wyjęła jedną stokrotkę.

— Trzeba tylko wiedzieć jak się z nią obchodzić — poradziła Jackowi. Potem oderwała kolejne dwa kremowe płatki.

— Kocha, nie kocha — wyliczał patrząc na nią. Przytaknęła. Powtarzała bezgłośnie otwierając usta. Potem dołączyła Claire.

Gdy zbliżali się do patio, ukazał się niski mężczyzna o marchewkowych włosach. Na dzinsach miał skórzane ochraniacze.

— Och! — rozległ się dźwięczny głos Amy. — Cześć, Davey!

— Witaj, wasza wysokość! — przywitał ją, zdejmując kapelusz.

— Proszę, proszę — zawołał przeciągle Jacek. — Zapowiada się mały romansik. — Z dłoni Amy wyjął kwiatek z trzema pozostałymi płatkami. — Myślałem, że kiedy to robiłaś, myślałaś o mnie.

Popatrzyła na niego zuchwale.

— Jeszcze by tego brakowało.

— Gdzie byłeś? — spytał, skrecając łodyżkę stokrotki.

— Kocha. Hej, Davey, masz świetne ochraniacze! — Opuściła Jacka, by przywitać się z rudowłosym kowbojem.

Jack oderwał następny płatek.

— Nie kocha. — Następny. — Kocha. — Trzeci. — Nie kocha — opuścił kwiatek na ziemię. — Jeszcze by tego brakowało — powtórzył, uśmiechając się figlarnie do Claire.

Jack zostawił siostrę pod opieką Daveya, który był na przemian stremowany, kokieteryjny i dumny, oprowadzając je po domu szefa. Wiódł Amy i Claire wzdłuż lśniących czystością przestronnych korytarzy i przez obszerne pokoje udekorowane w kolonialnym stylu meksykańskim. Schody wyłożone kafelkami prowadziły do biblioteki, pokoi gościnnych i prywatnej siedziby Jacka.

— To jego biuro. — Wskazał Davey, otwierając rzeźbione dębowe drzwi. — Łączy się z sypialnią.

— Bosko — zamruczała Amy, kiedy weszła do środka.

Na dużym dębowym stole stojącym po przekątnej leżał tylko komputer i kalkulator. Ściany pokrywały piękne płótna z podobiznami kom. W szklanej kasetce znajdowały się błękitne wstążki, listy z uroczystości i noty od innych znaczących osób, dziękujących Jackowi za usługi jego farmy. Z sufitu zwisały w wielkiej obfitości kwiaty. Ich kształty rzucały koronkowe cienie na tkany indiański dywan rozciągnięty na drewnianej podłodze.

— No to zobaczmy sypialnię — zasugerowała Amy. Davey usłużnie otworzył następne drzwi.

Przechodząc Claire zaczepiła rękawem o rzeźbione mosiężne ramie dębowego wieszaka. Kiedy się uwolniła, zauważyła, że były na nim zawieszane różne kowbojskie kapelusze. Królował nad nimi niczym gwiazdka na choince wianek z dzikich kwiatów, który zgubiła w pogoni za Mer-linem.

„Zatrzymał go” — pomyślała uradowana i podekscytowana.

Potem weszła do sypialni. Cichym pomrukiem wyraziła swoje uznanie.

Pod świetlikiem w dachu, zrobionym z witraży, stało ogromne mosiężne łoże. Wszystko było z mosiądzu. Zauważyła skrzynie z marmurowymi detalami, stojące lustro obramowane rzeźbionymi w dębie ptakami i drzewami. Świeczniki z malowanej porcelany skłoniły ją do wyobrażenia sobie niemych półcieni w rozmarzone, zmysłowe wieczory.

— Miło cię tu spotkać — powiedział łagodnie stojący za nią Jack. Gdy się odwróciła, zdała sobie sprawę, że zostali sami. Davey z Amy zniknęli.

— Gdzie jest moja siostra? Byli tu przecież. Uśmiechnął się.

— W porządku. Jest jeszcze tyle do obejrzenia. — Zamknął drzwi, ciągle się uśmiechając.

— Odesłałeś ich!

— Tak wiele do zobaczenia. — Dotknął jej podbródka, głaszcząc delikatnie. Poczowała zgrubiałe opuszki palców przesuwające się po plecach. — Chciałbym ci pokazać mój świat, Claire. Chciałbym, żebyś

zobaczyła, że żyjemy, by szukać szczęścia... i miłości.

— Pozwól mi odejść. — Poruszyła bezgłośnie wargami.

Próbowała odchrząknąć, ale nie mogła. Czuła się, tak jak gdyby ją zahipnotyzował, rzucił na nią urok, pieszcząc ramiona i plecy. Złotawe plamki źrenic tańczyły niczym pyłki kurzu w świetle słonecznym. Ponad nimi witrażowy świetlik rzucał na jego twarz różowe i zielone refleksy. Był tak podniecająco piękny, a jego dotyk był tak czarowny, że nie mogła się dłużej opierać.

Nie mogła z sobą walczyć. Nigdy dotąd podczas wszystkich samotnych dni i dziewiczych nocy nie ogarnęła jej taka pasja. Nie miała siły, by oprzeć się swojemu pożądaniu i pożądaniu Jacka.

Ciągle się jednak nie poddawała. Resztkami sił próbowała go odepchnąć, ale jej ciało nie słuchało jej. Było jak pulsujący i płonący posąg ożywający pod jego dotykiem. Głowa opadła na wysunięte w oczekiwaniu ramię Jacka. Drugą ręką głaskał ucho i kark.

Złapała oddech. Przycisnął wargi do jej ust. Były miękkie i ciepłe, uległe i delikatne. Szukały jej warg, odkrywały, domagały się ich. Drżącymi palcami kreślił zagłębienia policzków, nos i płatki uszu. Nie skrywana rozkosz kazała jej otworzyć usta. Kiedy wsunął do nich język, plecy przeszył dreszcz ekscytacji. Pomyślała rozmarzona, że smakuje jak cukier. Z prawie niekontrolowaną pasją wynajdywał najbardziej zmysłowe i delikatne zakamarki. To sprawiało, że drżała w jego ramionach.

Koniec jednego pocałunku. Potem następny i jeszcze jeden. Oddech. Claire, która przylgnęła do Jacka, prawie w ogóle nie była świadoma, że powolnym ruchem zatapiał się w wielkim łożu.

Delikatnie pociągnął ją do dołu. Niemalże zniknęli, zagłębiając się w miękkościach materaca. Claire szybowała i płonęła. Wygiętymi palcami i głową dotknęła narzuty. Jack przycisnął pierś do jej piersi. Kiedy kład się na niej, poczuła fałdy i guziki jego koszuli.

Rozbudzone piersi Claire były tak widoczne, jak gdyby była naga.

Leżała przytłoczona ciężarem jego ciała. Rozłączył jej nogi, zwijając cienką tkaninę spódnicy. Nie miała halki, tylko jasne bikini. Ogień jego żądz rozpałił jej kobiecą istotę. Żar dotarł do wnętrza.

Wydała lekki okrzyk.

— Jack. Och, Jack! — jęknęła. — Proszę przestań, nie chcę tego. Zaśmiał się.

— Tak, jeszcze tego by brakowało.

— Proszę, moja siostra...

Położył rękę na jej piersi. Claire przesunęła się pod nim, zagłębiając palce w plecach Jacka.

— Co za ogień pod tym lodem — zamruczał, kładąc rękę na jej łonie. — Pragniesz mnie tak samo mocno, jak ja ciebie. Myślę, że już od momentu, kiedy po raz pierwszy się ujrzeliśmy. — Wolnym ruchem dłoni pieścił krągłości piersi, otaczając je palcami i ugniatając. — Nie wiem, jak ty to wszystko w sobie tłumisz, ja nie mogę już dłużej czekać.

— Jack...

Położył rękę na drugiej piersi, potem przeciągnął palcami po brzuchu, przyciskając delikatnie. Skupiony w tym miejscu dreszcz rozkoszy erotycznej rozniecił ogień w całym ciele. Zniknęły wszelkie bariery i lęk. Tańczące promienie rozpałały jej krew. Pożądała go dziko, bez opamiętania.

Oboje z trudem łapali oddech. Błyszczące krople potu, skupiały się nad jej brwiami i oblewały całe ciało. „Szybko — błagała w myślach — ostudź mnie, zaspokój.”

Nie odczuła żadnej ulgi. Jack dalej ją pieścił i całował. Delikatnie podnosząc spódnicę Claire, szukał skarbu jej kobiecości.

— Mój kwiatuszku — wyszeptał. — Piękna orchideo. Płytki oddech unosił jej piersi. Kiedy Jack dotykał ją zręczną dłonią, myślała, że zemdleje z rozkoszy. Była otwarta i gotowa. Rozkwitła dla niego, była jego damą, miłością, kimkolwiek chciał, żeby była.

Jack podniósł głowę, spoglądając na nią. Oddychał ciężko. Jego nozdrza rozszerzały się z wysiłku. Przypominał wielkiego ogiera przygotowującego się do tego, by ją posiąść.

Zauważyła, że zbiera myśli. Potem zapytał głosem pełnym rozwagi.

— Brałaś pigułkę? — Skrzywiła się. W pochłaniającej pasji

zapomniał, że nie była zabezpieczona. Ucieszyła się, że w ogóle wziął to pod uwagę. — Claire?

Potrząsnęła głową, odwracając twarz. Nabrał powietrza w płuca i westchnął głęboko. — W porządku, będę o tym pamiętał. — Otworzył szafkę nocną i zaczął ją przetrząsać. Mignął jej przed oczyma kawałek różowej koronki („Jakaś damska bielizna?” — pomyślała) i srebrna folia.

— Nie — zawołała podnosząc się. — Nie, zbyt daleko się posuwamy. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam!

Pocałował ją w usta.

— Uwierz w nas — powiedział. — Claire, uwierz. Nie martw się. Amy poszła gdzieś z Daveyem.

Zmarszczyła brwi.

— Przestań wykorzystywać Amy, żeby przez nią dotrzeć do mnie. Jeśli się zakocha w tym chłopaku, to będzie wyjeżdżać ze złamanym sercem.

Ucichł na chwilę, najwyraźniej walcząc z sobą. Potem podciągnął jej bluzkę i zanim zorientowała się, co robi, zręcznie odpiął koronkowy stanik.

Opuszczając głowę do piersi, zaczął lizać różowe sutki. Ssał niczym dziecko, przytrzymując jej ramiona, kiedy próbowała się bronić. Poczwała jego miękkie jak jedwab włosy.

— Gdybyśmy zrobili dzidziusia, zostałabyś? Popatrzył wzburzony. Spojrzała na niego zaszokowana.

— Bo może ja po prostu powinnam... — Spódnica zwinięta była wokół bioder. Niecierpliwie przeszukiwał fałdy cienkiej materii, próbując znaleźć gumkę bikini. Kiedy znalazł, supłał palcami, jak gdyby miał ochotę rozerwać.

— Jack — wyszeptała wzdychając, zaskoczona jego pasją.

Ton jej głosu powstrzymał go na chwilę. Przeciągnęła dłonią po włosach.

— Cholera. — Dotknął jej policzka. — Nie chcę się kontrolować, zwłaszcza, że ty tu jesteś. — Uśmiechnął się zawadiacko. — Zdaje się, że za bardzo się przyzwyczailem do tego rozkielznanego życia w



stadninie. Chciałem i mam wszystko inne... — machnął ręką, nie mając ochoty na dokończenie myśli.

Popsuł się nastrój. Znów zamknęła się w sobie. Przerzuciła nogi na drugą stronę łóżka, doprowadziła do porządku ubranie i chwiejnym krokiem zbliżyła się do drzwi.

Jack podskoczył.

— Claire, poczekaj. Nie zrozumiałaś, o co mi chodzi. Chodzi o to, że...

— Nie obchodzi mnie to — zawołała, przemierzając szybko jego gabinet.

„Znowu uciekasz, Claire — oskarżyła się. — Czy całe życie będziesz uciekać?”

„Tak, jeżeli zajdzie potrzeba” — usłyszała cichą odpowiedź.

Świat cały przemierzyła moja wierna miłość. Niejedną doliną i niejedną górą. Tarcza ze złota chroni moją wieczną miłość, Bo on to mężów jest królem.

Świat cały przemierzyła moja wierna miłość. Niejeden ocean i niejedno morze. Któż wiatrem napełni piękny żagiel jego, I wrócić mu do mnie pomoże.

— Och, jakie to piękne! — zawołała Karen, klaszcząc w dłonie, kiedy ucichły głosy Amy i Claire i ostatnie akordy gitary. — I to jest z siedemnastego wieku, tak?

— Uhm — przytaknęła Amy. — Nauczyliśmy się tego na Rhode Island.

— Wszędzie byliście — wtrącił Tom, mąż Karen.

— Prawie wszędzie — zgodziła się Amy. Podniosła głowę i dodała. — Ciągle jeszcze są miejsca, które musimy zobaczyć, prawda Cunky?

Siedzieli w dużym pokoju wokół kominka zrobionego z cegły. Jack otworzył kilka okien, wpuszczając do wnętrza chłodne, nocne powietrze.

Karen i Tom rozłożyli się na fotelach wypchanych końskim włosiem, pociągając wino jabłkowe, Claire zaś usadowiła się na wielkiej poduszce. Fałdy szerokiej spódnicy układały się wokół jej

smukłej postaci. Obok, na takiej samej poduszce, ulokowała się młodsza siostra z plikiem saszetek na łonie. Jack przycupnął na biegunie kołyski bliżej ognia. Uśmiechał się do spoczywającej w jego ramionach Megan.

— No i proszę, poskutkowało — powiedział z satysfakcją.

— Nie każdej nocy słucha kołysanki na dwa głosy — odrzekła Karen.

— Za to znacznie częściej częstuje nas swoim płaczem — dodał ponuro Tom.

— Dobra, zejdźcie z mojej siostrzenicy. — Jack odłożył butelkę, grzechotkę i wypchanego pudła. Podniósł się. — Położę ją w drugim pokoju. Claire, pomożesz mi?

Kiedy przytaknęła i wstała, wszyscy spojrzeli znacząco. Jack objął ją wolnym ramieniem. W drugim kołysał małą. Wyszli z pokoju.

— Jaki to piękny widok — podsłuchiwała, jak mówi Karen. — Wyglądają jak mała rodzina. Jack kocha dzieciaki.

— Tak jak moja siostra — rzekła Amy swoim cienkim głosem.

— Już plotkują — wyszeptał Jack. Otworzył drzwi i przepuścił Claire. — Na kredensie stoi lampka nocna — dodał.

Zapaliła ją. Znajdowali się w pokoju dzieciennym. Pastelowe konie galopowały wśród tęczy. Rozświetlało je światło słońca i księżyców. Duży napis umieszczony na suficie wśród klaunów i balonów informował, że to pokój Megan.

Rzeczą, która najbardziej ją wzruszyła, była stara drewniana kołyska, świeżo pomalowana, z napisem „Megan” na biegunie. Wyobraziła sobie, że rzeźbił ją przed laty farmer, uśmiechając się do swej ciężarnej żony. W zadumie dotknęła gładkiej krzywizny deski, wprawiając kołyskę w ruch.

— Do diabła — zaklął pod nosem Jack. — Zapomniałem zmienić pościel. — Westchnął. — Claire, nie mogłabyś jej przez chwilę potrzymać? Pójdę po świeżą.

— Z przyjemnością.

Objęła ramieniem śpiące maleństwo. W momencie, kiedy dziecko dotknęło swoją delikatną twarzyczką do jej piersi, coś w niej

zadrgało. Serce napełnił spokój. Przepelniona była miłością do małego ufnego dziecka spoczywającego w jej uścisku. Kiedy dotykała maleńkich paluszków, przypomniła sobie słowa Jacka: „Gdybyśmy zrobili dzidziusia...”

Jack opuścił pokój w poszukiwaniu pościeli. Po jej policzkach spłynęło kilka łez. Była wzruszona. Dziecko. Budziła się w niej ogromna tęsknota, by je mieć. Dziecko Jacka.

Po chwili usłyszała z sąsiedniego pokoju głos Amy opowiadającej Karen i Tomowi o ich podróżach.

— Potem jedziemy do Anaheim, a później do San Francisco. Wspaniale Claire jest przyzwyczajona do takiego życia. Musiałyśmy czekać i czekać, aż ja urosnę. Za to teraz świetnie się bawimy!

— I nigdy nie chciałaś mieć prawdziwej rodziny?

— Koniec nauki w szesnastym roku życia? Taka bystra, młoda panna jak ty powinna się dalej kształcić.

— Och, może do tego wrócę! Dopiero zaczęłyśmy. Nie możecie sobie wyobrazić, jak długo o tym marzyłyśmy. Hej, Karen! Nauczysz mnie robić takie pliski?

— Jasne. Szybko to pojmiesz. Taka pojętna krawcowa jak ty.

— Dzięki. Uwielbiam szyć. Szczególnie jeśli są zamówienia na kostiumy. To moja ulubiona rzecz.

Dwie kolejne łzy spłynęły po policzkach Claire. Marzyła głupio. Znała przecież swoje miejsce i obowiązki. Uśmiechając się smutno, ucałowała puszystą główkę Megan, przyciskając ją do siebie.

Po chwili wrócił Jack.

— Misja spełniona! — zawołał, trzymając świeży komplet bielizny pościelowej.

Zabrał się do pracy, ściągając brudne prześcieradła i owijając mały materac w świeże. Claire przyglądała się mięśniom grzbietu i ramion poruszającym się w słabym świetle, słyszała ciche pogwizdywanie znamionujące przyjemność, jaką sprawiała mu wykonywana praca.

„Gdybyśmy zrobili dzidziusia...”

— Musimy wrócić do obozowiska — wyszeptała. — Robi się

późno.

Przerwał pracę, podnosząc na nią wzrok. Zgadywała jego myśli. Miał nadzieję, że tego wieczoru będą się kochać pomimo protestów Claire dzisiejszego popołudnia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym przygryzł wargi i skończył przygotowywać łóżeczko.

Megan poruszyła się, kiedy Claire kładła ją do kołyski. Dziecko zacisnęło rączkę wokół jej małego palca i zaczęło go ssać. Wyzwoliła się delikatnie, naciągając pod brodę małej puszysty, różowy kocyk. Wyprostowała się, po czym schylając się raz jeszcze, odgarnęła z czoła Megan miękkie loki.

— Dobranoc, kochanie — zamruczała, ściskając rękę dziecka.

Kiedy podniosła głowę, ujrzała stojącego w drzwiach Jacka. Obserwował ją.

— Jeżeli by ci to cokolwiek pomogło, zamknąłbym cię tutaj razem z nią — rzekł.

„Zrób to” — chciała odpowiedzieć, ale po chwili uświadomiła sobie, co by to znaczyło.

Nie tylko ona nie mogłaby się wydostać. Także Amy nie mogłaby wejść.

## Rozdział piąty

Claire rozcierała ukradkiem kostkę lodu między piersiami.

— Pachnąca lawenda i tymianek — wołała. — Do komnaty każdej damy. Atłasy i pączki róż!

Była bardzo podniecona. Jarmark otwarty od ponad godziny wypełniony był ludźmi. Biegali we wszystkie strony po bajkowej wiosce, oglądając stragany znajdujące się w obrębie wysokiej drewnianej palisady. Ponad głowami powiewały białe i jasnozielone proporce z herbem królewskim: trzema krukami, trzema smokami i mottem: „Radujmy się!”

Wokół budki z żywnością i rzemiosłem tłoczyli się ludzie oglądający i, dzięki Bogu, kupujący — jak zauważyła Claire. Tłum gapiów okrążył scenę, oczekując nadejścia Ich Królewskich Mości wraz z dworem.

Żar był nie do wytrzymania. Mówiąc o tutejszym klimacie, Davey Bohanon zapomniał wspomnieć o ciepłym prądzie Santa Ana. Gorące wiatry z północy rozwiały wczorajsze chmury, przynosząc upalny dzień. Dla Claire i Amy jedyną ochroną przed siekotą były słomkowe kapelusze, kostki lodu i mokre ręczniki do ocierania twarzy.

— Dzięki Bogu, że zdecydowaliśmy się na te wiejskie ciuchy — rzekła Claire do siostry podczas krótkiej przerwy w sprzedaży. Obydwie miały na sobie ubrania wiejskich dziewczyn. Przewiewna brązowo-niebiesko-biała spódnica Claire unosiła się prawie do kolan pod pomarańczowym fartuchem. Falbaniasta bluzka przylegała do spoconego ciała. Pod rzemykami skórzanej kamizelki znajdowały się kostki lodu. Siostry miały na głowach słomkowe kapelusze wielkości koła od wozu przybrane kwiatami i udrapowane kwadratami białej materii, która opadając na plecy, ochraniała kark i ramiona. Chociaż wołałyby stać boso, zmuszone były nosić sandały.

— W istocie rada jestem, iż tak się odziałyśmy — odrzekła Amy starą angielszczyzną, preferowaną przez Lorda Petita Sirraha.

Zielonkawy strój Amy był bardzo podobny do stroju siostry.

— Lawenda i tymianek! — zawołała Claire, trzymając w ręku dwie saszetki.

— Och, panno Claire, zemdlec chyba przyjdzie z tej spiekoty!

Przycupnęła na brzegu stołu uginającego się pod masą towaru i ochładzała siebie i siostrę dużym drewnianym wachlarzem w kształcie wiosła.

— Też bym zemdląła, ale wiesz, co mówią?

— Cóż mówią?

— Nie mdlej, bo zapłacisz i dużo na tym stracisz. Zachichotały.

— Modlę się, by konie milorda Jacka wytrzymały ten żar — rzekła Amy.

— Modlę się o to tak samo jak i ty. Karmiłyście je dzisiejszego ranka?

Jack przyniósł siano i wodę. Chłopcy z jego stajni zbudowali dla Nevie i Pajaro zagrodę. Petit Sirrah był zachwycony tą dodatkową ozdobą wioski i obiecał zaopiekować się końmi, kiedy Amy i Claire będą pracowały przy swoim straganie.

— Tak, ja to zrobiłam.

Jakaś kobieta wyrażała chęć kupna poduszczeni, jednej z tych, nad którymi tak długo ślęczały. Claire odcięła kartkę z ceną, a młodsza siostra zainkasowała pieniądze, wydając resztę. Kiedy kobieta odchodziła, ukłoniły się dziękując.

— Dzisiejszą pracą zasłużyłyśmy sobie na tydzień lenistwa — skonstatowała Amy, przerzucając pieniądze w wiklinowym koszyku.

— Rzecz to zaiste wspaniała — przytaknęła Claire. — Szczęście nasze zawdzięczamy zręczności naszych igieł.

— I dobrym głosem, bo później będziemy musiały śpiewać, kłaniając się przed dworem. — Przesunęła się do Claire i uścisnęła jej dłoń. — Tak fajnie się bawię — wyszeptała. — Dzięki, że robisz to wszystko dla mnie.

Claire odpowiedziała uściskiem.

— Dla nas — poprawiła siostrę. — Bawię się równie dobrze, a może nawet lepiej od ciebie.

— Niemożliwe!

— Hej, ile za te wianki — chciał wiedzieć jakiś mężczyzna. Claire podbiegła, by go obsłużyć.

— Jedyne pięć koron, panie.

— Pięć dolców za to?

— To świetny interes! — Claire rozpoznała za sobą zachrypnięty męski głos. Zadrżała słysząc jego niski ton. — Na straganie obok są po osiem.

Mężczyzna spojrzał na Jacka.

— Naprawdę?

— Jasne. Moja siostra już chciała kupić tuzin do swojego sklepu ze starociami. Dobrze, że się powstrzymała. Przyślę ją tutaj.

Tego ranka Jack wyglądał imponująco, zupełnie nie jak właściciel rancho, pomyślała Claire. Pierś opinała błękitna koszulka do gry w rugby. Białe drelichowe spodnie obciskały uda. Na gołych stopach miał trampki. Biel kontrastowała z opaloną skórą. Pastelowa barwa podkoszulka łagodziła ostre rysy jego twarzy. Patrząc na niego, Claire poczuła, że ostatnia kostka lodu spływa po jej ciele. Zrobiło jej się gorąco.

— No to wobec tego wezmę jeden — rzekł mężczyzna najwyraźniej dumny z tego, że robi dobry interes.

— Szybko się rozchodzą — przestrzegł go Jack. — Kiedy otwierały, miały ich dwa razy więcej.

— No to dwa. Claire ukłoniła się.

— Dziękuję panu — dygnęła, spoglądając na Jacka. — Pan chce zapłacić czekiem?

— Sprzedajecie na karty kredytowe?

— Niestety, nie!

— Nie szkodzi. Proszę, dziesięć dolarów. Skłoniła się głęboko.

— Jestem panu wdzięczna.

— Wszystko to bardzo dziwaczne, ale zabawne. W każdym bądź razie bije na głowę takie przyjemności jak koszenie trawnika.

Odszedł. Claire odwróciła się w stronę Jacka, podnosząc rękę.

— Hej, ty kłamczuchu! W żadnej innej budce nie sprzedają

wianków.

Wzruszył ramionami.

— Powiedzmy, że trochę przesadziłem.

— Zdobywanie forsy to twoja specjalność

— Moja specjalność to dobry interes. Obydwe dziś wyglądacie jak słodziutki pastereczki.

Amy zamrugła oczami.

— A ty wyglądasz jak Magnum, P.I.

— Czyżby młoda damo? — Jack przybrał odpowiednią pozę, wypinając pierś i zahaczając kciukiem o szlufkę paska.

Amy zaśmiała się.

— Na litość! Dziś nie jesteśmy damami tylko dziewczynami z ludu.

— To jak mam was nazywać?

— Panna Amy i panna Claire, do pańskich usług.

— Hej, po ile te wianki? — spytała rudowłosa dziewczyna z wytatuowanym na czole krzyżem.

Amy zwróciła głowę w stronę dziewczyny. Jack uśmiechnął się przebiegle i rzekł.

— A więc dzisiaj jesteś moją panną Claire?

Claire zaczęła przekładać saszetki i poduszeczki na stole.

— Niezupełnie twoją, tylko do twoich usług.

— To bardzo wykrętne słowa, szczególnie w mojej branży — wymówił przeciągle. Zmarszczyła brwi zakłopotana. — Do usług. A propos, dzisiejszego ranka przyszła na świat klacz baronowej.

— Gratulacje.

— Bardzo dzika. Amy zwariowałaby na jej punkcie. Claire próbowała ukryć uśmiech.

— Amy jest bardzo ciekawa z natury.

— Jestem esencją natury. — Oparł się ramieniem o stojak z wytwornymi kostiumami zrobionymi z welwetu i ozdobionymi brokatem. Stał tak w pozycji przynoszącej mu ulgę.

— Jesteś zbyt zuchwały, panie! — Odsunęła się, porządkując saszetki.

Przygryzł wargi.



— Czasem się zastanawiam, czy jestem wystarczająco zuchwały.

— Więc się nie zastanawiaj.

— Cóż zjemy dziś na kolację?

Claire przeniosła pudełko na drugi koniec stołu.

— Dzisiaj powinniśmy ją zjeść tutaj. To pierwsza noc po otwarciu i Lord Petit Sirrah będzie się chciał dowiedzieć, jak nam poszło.

Nagle, jak gdyby na zawołanie, ukazał się karzeł, grożąc jej.

— Wstydz się, panno! Wszyscy członkowie naszej grupy winni mówić poprawną angielszczyzną.

Pochyliła głowę.

— Och, przebacz milordzie! Zapomniałam.

— Przestroga na przyszłość. — Podniósł wzrok, zauważając Jacka i uśmiechnął się pogodnie. — Ooo! dobrego dnia, milordzie. Dobrze się pan bawi?

— I owszem — odrzekł Jack. Lord P.S. skłonił się głęboko.

— Wobec tego nie śmiem przeszkadzać. — Pożegnał ich, wywijając aksamitną peleryną i oddalił się.

— Myślę, że ten facet trzyma moją stronę — zażartował Jack.

— Rzecz to wielce możliwa. Jest mi pan winien dziesięć koron za mówienie niewłaściwą angielszczyzną.

— Dziesięć dolców?

— Tak, milordzie. Tutaj należy mówić tak jak za dawnych czasów.

— Czy to był warunek zatrudnienia? Gdzie się tego nauczyłaś?

Zachichotała.

— Ba! Lord Petit Sirrah nas nauczył.

— On jest naprawdę niesamowity.

— Jakżeby inaczej, panie.

— Cóż, jeśli nie przyjdziecie na kolację, to może chociaż wpadniecie na deser?

— Nie sędzę, panie. Musimy wypocząć.

— Będziemy mieć boskie ciasto, wprost rozpływające się w ustach.

Westchnęła.

— Och! Jack. Proszę, nie mogę... — Przetarła czoło wilgotnym

ręcznikiem. — Muszę...

Przerwała. Jack odwrócił głowę z niepokojem, spoglądając na Amy. Przebiegł na drugi koniec stołu, chwytając ją za rękę.

— Źle się czujesz? — domagał się odpowiedzi. Usunął z drogi wytatuowaną dziewczynę. Wianek spadł z rudych włosów na ziemię.

Claire podbiegła do bladej jak ściana siostry.

— To przez ten upał. Usiądź tutaj — rzekła.

— Nie, Cunky. Wszystko w porządku — jęknęła Amy. Uśmiechając się na siłę, rozcierała skronie. — Przepraszam, odjęło mi mowę.

— Usiądź — nakazał jej Jack. Amy oparła się o jego ramię.

— W porządku, Jack. Po prostu wydawało mi się, że zobaczyłam kogoś znajomego.

Jack i Claire wymienili spojrzenia. Próbował rozszyfrować o kogo chodzi.

— Ciotkę Normę? — spytał półgłosem. Amy przytaknęła.

— Ale to nie ona — zapewniała Amy — tylko ktoś do niej podobny. Ooo!... Petit Sirrah nadchodzi. Musimy mówić poprawnie.

Zwrócił się ponownie w stronę rudowłosej dziewczyny. Claire stojąca obok Jacka ze skrzyżowanymi na piersiach rękami nie bardzo wiedziała, co zrobić.

— Mój Boże, Norma naprawdę musiała być straszna. Claire wzruszyła ramionami.

— Amy miewała koszmarne sny. Bała się, że Norma mi ją zabierze. Dla niej życie z ciotką było o wiele gorsze niż dla mnie. Ja miałam wspomnienia... — urwała. Jack potrząsnął głową. — Norma przekonała ją, że jest niegodną dziewczynką zasługującą na pogardę. Amy tłumaczyła się ze wszystkiego, co zrobiła i czego nie zrobiła. No a potem jeszcze ta klasa specjalna. — Claire przełknęła ślinę. — Ale wiesz, bardziej żał mi Normy. Nie chciała mieć dzieci. Wzięła nas tylko dlatego, że ojciec o to prosił.

Jack zamknął dłonie Claire w swoich. Podniósł je do ust i ucałował.

— Jeśli kiedykolwiek natknę się na tę kobietę, rzucę ją na pożarcie lwom — przyrzekł solennie. — Znęcanie się nad dziećmi nikomu nie

powinno ujść płazem.

— Ale Jack, ona nigdy nas nie biła.

— Ale znęcała się nad wami psychicznie i będę obstawał przy swoim. Zawsze. — Dotknął jej policzka. — Zawsze.

Popatrzyła na niego zamglonymi oczami. Poczowała ogromną wdzięczność. Przypadek Amy uświadomił jej, na czym powinna polegać jej lojalność względem siostry. Taki mężczyzna jak Jack mógłby się pojawić później. Na dzień dzisiejszy musiała się poświęcić Amy, tak jak obiecywała.

— Gdybym mógł cię chronić, nikt by cię więcej nie zranił.

Ścisnęło ją w gardle. Zmusiła się do powiedzenia tego, co trzeba było powiedzieć.

— Wobec tego musisz się trzymać z dala ode mnie. Otworzył usta zaskoczony.

— Claire...

— Proszę, tak chcę. — Podniosła brodę, przechylając do tyłu głowę. Popatrzyła mu w oczy. Ujrzała w nich ból i cierpienie. Chciała mu zarzucić na szyję ręce i poprosić, by na nią poczekał. Za rok, dwa, może trzy lata wróci... — Jestem dla niej wszystkim.

— Panno Claire! Czy mamy jeszcze szkarłatne poduszeczki? — zawołała Amy.

Jack chwycił ją za ramię.

— Do diabła! To bez sensu! Nie możecie się siebie trzymać tak kurczowo, jak pozostali przy życiu rozbitkowie.

Łzy stanęły jej w oczach.

— Proszę, Jack. Tak będzie lepiej. I tak za daleko za-szliśmy. Nie czyn tego cięższym.

— Panienko? Mamy jeszcze poduszeczki?

— Tak, pod stołem — odrzekła Claire zduszonym głosem, kucając w poszukiwaniu pudełka zakrytego obrusem. Trzęsącymi rękoma przeszukiwała jego zawartość.

„Nie chciałam tego. Nie chciałam — pomyślała zrozpaczona. — Nie chcę, by mnie zostawiał samą, chcę, by był przy mnie cały czas.”

Podniosła się.

— Jack... — zaczęła, łapiąc oddech. Nie było go.

Amy trąciła siostrę w żebro.

— Zawsze się zastanawiałam nad tym, skąd się wzięło słowo „stadnina” — wyszeptała.

Claire zamrugła oczami w zdenerwowaniu.

— Spróbuj się uspokoić. To zupełnie normalna rzecz. Amy parsknęła.

— Nie widzę w tym nic normalnego.

Szczerze mówiąc, dla Claire także nie było to normalne. Jej rodzice zapładniali kiedyś rasowe konie w Kentucky, ale to zupełnie inna rzecz widzieć to wszystko na własne oczy. Była raczej zaszokowana tym, co ujrzała tutaj. W małej zagrodzie stała klacz przywiązana tak krótko, że mogła tylko kręcić głową. Zabezpieczono ją na wypadek, gdyby koń chciał ją uszkodzić. W tym momencie doprowadzono do niej ogiera „rozpłodnika”. Jego rola sprowadzała się do pobudzenia klaczy i przygotowania jej do zapłodnienia. Potem „rozpłodnik” był odprowadzany do klaczy nie przeznaczonej na sprzedaż.

— W porządku, przysuń się z nim, dobrze, teraz — mówił Jack do mężczyzny trzymającego konia. Klacz zarżała. — Zdaje się, że zaczyna kapować, o co nam chodzi — dodał. Mężczyzna zaczął się śmiać.

— Proszę, proszę! — rzekła Amy. — Zaczynam się czuć nieswojo.

— Ja też — wyznała Claire. Miała ochotę pociągnąć za wodze i uciec.

Trzy długie dni upłynęły od momentu, kiedy ostatnio widziała Jacka. Wziął sobie do serca słowa wypowiedziane przez nią pierwszego dnia jarmarku i starał się nie pokazywać.

Była zaskoczona tym, jak bardzo za nim tęskniła. Wszystko wewnątrz mówiło jej, że skoro teraz jest to takie bolesne, potem będzie jeszcze gorzej. Nie mogła spać. Obcisłe niegdyś sukienki wisały na niej. Nie mogła jeść. Nawet Amy, która nigdy jej nie krytykowała, zaczęła robić uwagi na temat jej mizernego wyglądu.

Wreszcie pewnego popołudnia, nie mogąc znieść tego dłużej, pomogła Amy zamknąć ich budkę i ubrana w błękitną elżbietańską

suknię dosiadła Nieve. Mówiła sobie, że wystarczyłoby jej ujrzeć go chociaż z daleka. Nie musiałby z nią rozmawiać, nie widziałby jej. Patrzyłaby tylko, jak porusza się w świetle zmierzchu. Pan na swoich włościach, w nie uświadomiony sposób królewski, niewiarygodnie przystojny. To by ją zadowoliło.

Amy pokrzyżowała jej plany. Kiedy Claire opuściła obozowisko, siostra jechała za nią. Obie siedziały w siodłach, jadąc obok siebie, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

— Może powinnyśmy wrócić później? — zasugerowała Amy, ciesząc się, że Jack ich jeszcze nie dostrzegł.

— Skoro już przyjechałyśmy — upierała się Amy. — Poza tym powiedziałam Lordowi P.S., że nie wrócimy na obiad.

— Amy! Przecież Jack nas nie zapraszał! Mała uśmiechnęła się chytrze.

— No to nas zaprosi. Claire chwyciła wodze.

— Nawet nie zamierzałam mu na to...

— Hej, Jack! — krzyknęła Amy wymachując radośnie. — To my!

Jack podniósł głowę na to radosne powitanie. Zdziwiony poruszył ramionami. W swojej pięknej sukni Claire błyszczała jak rzadki klejnot. Mimo że zdawał sobie sprawę, iż obok niej jechała Amy, jego wzrok był przykuty do starszej siostry, a serce uczepliło się myśli, że oto wróciła do niego.

Karen poradziła mu, by dostosować się do życzenia Claire.

— Daj jej odetchnąć — mówiła. — Kiedy będzie gotowa, by być z tobą, da ci znać.

„Czy jesteś gotowa, kochanie?” — pytał w duchu, kiedy wolno zbliżała się do niego.

Amy przygalopowała pierwsza. Zeskakując z konia, wepchnęła w rękę Jacka wodze.

— Cześć — powiedziała uśmiechając się. — Przeszkadzamy?

— Oczywiście, że nie. — Ponad jej głową obserwował zbliżającą się Claire.

Wreszcie była na tyle blisko, by móc go powitać.

— Cześć. — Jej głos był tak słodki i subtelny, że zaparkowało mu

dech w piersiach.

— Niech Bóg ześle ci dobry wieczór. Skłoniła głowę.

— I tobie również, o panie.

Wyciągnął ramiona. Zeskoczyła z konia, rzucając się w nie.

Zamknął oczy, poddając się fali wszechogarniającego wzruszenia, jakie go porwało w momencie, gdy dotykał Cla-ire. Poczuł jej oddech na swojej piersi. Wdychał jej różany zapach.

— Moja słodka — wyszeptał jej do ucha. Jego ręce na włosach Claire były tak lekkie, jak gdyby w ogóle ich nie dotykały. Bliższa mu była nie tyle przez fizyczną obecność ile przez przepływającą przez nią energię. Poczuł pragnienie, ulgę i żądzę.

Pożądanie.

„Dzięki Bogu, wróciłaś” — pomyślał, ale radość ponownego spotkania przesłonił strach, że znów umknie, zniknie z ostatnim promieniem słońca niczym zaczarowana księżniczka. Poczuł, jak drży w jego uścisku. Wiedział, że to ją ekscytuje. „Gdyby nie Amy” — pomyślał i przez chwilę poczuł do niej niechęć.

— Przepraszam Jack, ale ta starsza pani zbiera się do wyjścia.

Claire oddaliła się raptownie. Na twarzy malowała się radość, ale zarazem smutek.

— Nie sądzę, by to długo potrwało — powiedział. Przywołał jednego z mężczyzn. — George, powiedz Consuelo, że mamy dwie dodatkowe osoby na obiedzie.

— Ja to zrobię — przerwała Amy. Była czerwona jak burak. Stała ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

— Dzięki — wyraził swoją wdzięczność Jack, ukrywając rozbawienie spowodowane skromnością Amy. Jak on mógł czuć niechęć do takiego kochanego dzieciaka.

Amy pobiegła co tchu. Jack spytał z lekkim odcieniem ironii:

— Czy ktoś jeszcze dzisiaj opuści statek?

Claire go nie słuchała. Trzymając się siodła przesuwiała ręką po grzywie kłaczy.

Todd McGregor, kowboj, wyciągnął rękę.

— Przepraszam, ale pani nie powinna stać tak blisko. To się może

źle skończyć.

— Przepraszam — odpowiedziała cichutko, stosując się do jego rady.

— Pani jest z tego jarmarku, prawda? — kontynuował, mierząc ją wzrokiem wyrażającym uznanie.

Jack zmarszczył brwi i wtrącił.

— Dobra chłopaki, skończmy to.

— To był dla niego zbyt gorący dzień. To znaczy dla ogiera... — tłumaczył Todd McGregor. Claire przytaknęła. — Teraz jest wystarczająco chłodno.

— McGregor, ty gaduło — warknął Jack. Wprowadzili kasztanowego ogiera. Jack poczuł nagły przypływ dumy, kiedy wspaniały koń, rzucając łbem, zarżał radośnie. Jego ciemna grzywa zjeżyła się. Dużymi, ciężkimi kopytami ugniatał ziemię. Pomimo wyściółki i lin klacz walczyła, wyczuwając za sobą obecność ogiera. Parskając koń stawał na tylnych kopytach ponad głowami kowbojów, którzy próbowali go utrzymać.

Ogier był niecierpliwy, klacz nieustępliwa. Setki kilogramów końskiego ciała, mocnego i wyprężonego, wypełniało powietrze.

W końcu poradzili sobie z nią. Jack hołdował przesądowi, że im bardziej klacz się szarpie, tym bardziej maleją szanse pomyślnego zapłodnienia. Choć jego przekonanie nie było fachowe, istniało bowiem mnóstwo literatury, która temu zaprzeczała, wiedział, że takie metody zapładniania dają wyśmienite efekty w postaci nagradzanych źrebaków. Nie widział potrzeby, by je zmieniać.

— Może powinniśmy poczekać — powiedział niechętnie. — Moglibyśmy spróbować...

Nagle klacz przestała się szarpać. Stała posłuszna i ujarzmiona, jak gdyby wyczuwając siłę i piękno konia, z którym miała spółdzić źrebaka. Linia ciała wskazywała na szlachetną krew, która w niej płynęła. Machała ogonem. Czekwała czujnie.

Ogier podtrzymywany z dwóch stron przez pracowników Jacka uniósł się nad klaczą, zapładniając ją. Kłęby koni zatrzęsły się. Cofały pyski niczym ludzie przeszyci bólem pierwszej miłości.

Dla Jacka był to piękny widok. Dwa szlachetne konie łączące się, by spłodzić trzeciego. Dla niego cud tworzenia przepelniony był głębią. Nagle zdał sobie sprawę, że najważniejszym zdarzeniem jego życia będzie danie swojego nasienia uwielbianej kobiecie w nadziei spłodzenia dziecka.

„Claire — zakrzyknął bezgłośnie. — Och, Claire!”

Ona, jak gdyby wrosła w ziemię. Jakby w transie obserwowała zapłodnienie. Zacisnęła palce. Oddech unosił jej pierś. Myślał, że odczuje wstręt, tymczasem Claire objawiała tę samą radość, jaka wezbrała w nim. Zrozumiała.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Słońce kryjące się za górami nadawało jej włosom kolor brązu. Różowy zmierzch zabarwił czoło i policzki. Była najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział, wspanialszą niż jego konie, cenniejszą niż cokolwiek lub ktokolwiek, kogo mógł sobie wyobrazić.

Nic nie mówiąc, przysunął się do niej. Chwycił małą dłoń. Uścisnął ją. Ona odwzajemniła uścisk.

Ich wzrok się spotkał. Jack wyraził w nim swoją myśl.

„Dziś wieczorem” — dał jej do zrozumienia.

„Tak” — brzmiała jej niema odpowiedź.

Po zapłodnieniu klaczy ogier został odprowadzony do stajni. Claire pełna obaw i pragnień pozwoliła Jackowi zaprowadzić się do domu.

— Tęskniłem za tobą — przyznał. — Tyle razy chciałem cię odwiedzić.

— Ja... — zająknęła się. „Nie wiem, co tu robię” — pomyślała. Ale przecież tak naprawdę wiedziała.

Otoczył ją ramieniem.

— Później porozmawiamy.

Po chwili znaleźli się w chłodnym białym holu. Amy wpadła szczebiocząc:

— Masz gości!

Jack pstryknął palcami.

— Tak jest, Hawthornowie. Zaprosiłem ich wcześniej. — Spojrzał



na Claire. — Tego poranka, kiedy zaczął się jarmark. Pomyślałem, że chętnie byście ich poznały.

— On jest profesorem historii. Wie wszystko o Anglii! Byli tam pięć razy!

— Coś takiego! — odrzekła nieśmiało Claire.

— Powiedział, że mam bardzo wiernie zrobioną suknię. — Skłoniła się głęboko.

— To miło, ale trochę głupio się czuję w tym stroju w takich sytuacjach.

— W nich poznałyśmy Jacka — przypomniała Amy. — Doktor Hawthorn chce też zobaczyć naszego jednoroźca.

Claire westchnęła.

— Tak naprawdę to tylko koza.

Obydwoje z Jackiem spojrzeli na nią, jak gdyby powiedziała coś niestosownego. Po chwili ciszy ich uwaga zwróciła się w stronę wkraczających do salonu Hawthornów.

Profesor był łagodnym, pulchnym panem z fajką.

— Proszę, proszę — powitał Claire. — Oto młoda Mary królowa Szkotów. Inna sprawa, że tamta dama miała sześć stóp wzrostu.

— Istotnie, przypomina ją pani — potwierdziła pani Hawthorn. — Jack zaciekał nas opowiadaniem o obu paniach.

— Uśmiechnęła się najpierw do Jacka, potem do Claire. — W rzeczy samej prowadzą panie ciekawe życie.

— Najwspanialsze — wtrąciła Amy. — Nie mogłybyśmy robić nic innego, prawda Claire?

— Oczywiście, że nie — przytaknęła siostra, siląc się na uśmiech. Usatysfakcjonowana Amy kiwnęła głową. Hawthornowie również się uśmiechnęli. Jack popatrzył groźnie.

Wszyscy usiedli, obserwując zachód słońca i pociągając koktajl. Pomimo obiekcji Claire Amy także piła, choć najwyraźniej niezbyt jej smakował, więc zlizywała ze szklanki sól. Przypominała kociątko wylizujące miskę z mlekiem.

— Jakie to niestosowne siedzieć w domu urządzonego w stylu meksykańskim, popijając tequilę z dwiema elżbietańskimi damami

— powiedział doktor Hawthorn, pykając fajkę. — Mógłbym dodać, z bardzo pięknymi damami.

— Twe słowa pełne są przekory, o panie — powiedziała Amy.

— Przekorne może, lecz prawdziwe. — Doktor Hawthorn potrząsnął głową.

— Czy same zrobiłyście swoje kostiumy? — zagadnęła pani Hawthorn.

— Amy je zaprojektowała. Jest w tym doskonała — przyznała Claire.

Pani Hawthorn dotknęła ramienia męża.

— Dick, powinniśmy panie zabrać na wystawę. Przytaknął.

— Wykładam w San Diego State. Wydział teatralny zorganizował wystawę, na której prezentowane są kostiumy z przedstawień studenckich z ostatnich czterdziestu lat. Nie chciałybyście pójść?

— No jasne! — krzyknęła Amy. — Kiedy? Gdzie? Teraz?

Profesor uśmiechnął się.

— Cóż, może po obiedzie.

— Wspaniale! — Zwróciła się do siostry. — Myślę, że możemy pójść, prawda Claire?

Claire poczuła na sobie wzrok Jacka oczekującego, że odmówi.

— Tak — odpowiedziała z trudem. — To brzmi bardzo obiecująco.

W drzwiach pojawiła się Consuelo.

— Senor, obiad gotowy.

— Pani? — rzekł Jack chwytając i podnosząc dłoń Claire.

— Będziemy się musiały przebrać — powiedziała Amy do pani Hawthorn.

— Myślę, że Karen ma jakieś rzeczy, które będą na was pasowały — odrzekł Jack. Pogładził Claire po policzku. — Ty nie pójdziesz — wyszeptał. Nie odpowiedziała, zagłębiając się w fotelu, z którego Jack pomógł jej wstać.

Wodził za nią oczami podczas obiadu, na który podano mnóstwo przekąsek, placków z mięsem i ostrą papryką i innych meksykańsko-kalifornijskich smakołyków. Nikt się nie odzywał.

Amy ratowała sytuację pytaniami zadawanymi gościom.

— A jaki jest Londyn latem?

— Och, cudowny! — odparła wzdychając pani Hawthorn. —

Wiesz, w Bath mają wspaniałe zbiory kostiumów. Jest tam też piękne muzeum. Posiadają nawet ślubną suknię nieszczęśliwej żony Lorda Byrona.

— Naprawdę?

— Mało jesz. — Jack położył dłoń na ręku Claire. — Chciałabyś coś jeszcze?

Potrząsając głową, podniosła do ust kieliszek burgunda. Popijała małymi łykami.

— Nie denerwuj się, kochanie — zamruczał. Pewnym ruchem postawiła kieliszek na stole.

— Czym niby miałabym się denerwować?

— Nie idź z nimi.

— Claire i ja wierzymy, że żyłyśmy kiedyś w epoce elżbietańskiej — opowiadała Amy. — To znaczy, tak bardzo się wczułyśmy. Jesteśmy sobie bardzo bliskie. Niemalże odgadujemy swoje myśli.

— To musi być niesamowite móc się tak rozumieć — skonstatowała pani Hawthorn.

— O tak! — zapewniała Amy śmiejąc się. — Nie sądzę, żeby można było być sobie bliższym.

Zjedli obiad i deser. Nikt nie zauważył, że Jack i Claire kompletnie zamilkli.

— To było wyśmienite — podsumował doktor Hawthorn zapalając fajkę. — No, ale jak mamy obejrzeć wystawę, to musimy się pośpieszyć.

— Jack, gdzie możemy się przebrać? — zapytała z błyszczącymi oczami podekscytowana Amy.

Zamilkł. Claire poczuła, jak mocne było jego pragnienie. Nie myślała, że tak się sprawy ułożą. Chciała go tylko zobaczyć z daleka, potem oddalić się z Amy i wrócić do swojego życia.

Bezpieczna. Taka była jej miłość do Amy. Wszystko inne to niebezpieczeństwo, nic nie znaczący epizod. Odkrywając świat, była

pozostawiona samej sobie.

Nie.

Jack podniósł się i rzekł:

— Jasne, Amy. Karen ma mnóstwo ciuchów w pokoju dzieciennym. Chodź. — Odsunął krzesło, zbierając się do opuszczenia pokoju.

— Cunk, chodźmy! — zawołała śpiewnie Amy. Claire przełknęła następny łyk wina. Kręcąc w palcach kieliszek, podniosła brodę i powiedziała:

— Kochanie, idź beze mnie. Trochę mnie boli głowa.

Jack odwrócił się w drzwiach, spoglądając na nią. W jego oczach błyskały płomienie. Rozchylił usta. Claire stanął przed oczami obraz kom w całej swej ekspresji. Na twarzy poczuła falę gorąca. Nie chciała, by jej wzrok spotkał się z jego spojrzeniem.

— Ojej! Nie mogę iść bez ciebie! — zaprotestowała Amy. — Czy jesteś chora?

— Nie, nie, dojdę do siebie — odparła niepewnie. — Amy proszę, idź beze mnie. Ja mogę pójść innego dnia. „O Boże — pomyślała — kłamię, oszukuję ją, by zostać z Jackiem...”

— Zaprowadzę cię — powiedział Jack, wskazując Amy drogę.

„Zaprowadzę cię.” — Słyszac słowa Jacka, zatrzęsa się z mieszanym uczuciem pragnienia i strachu. Potem odetchnęła głęboko i odsuwając krzesło wstała.

— Tak, dobrze — wyszeptała.

## Rozdział szósty

Amy ubrana w luźną dżinsową spódnicę i o wiele za duży podkoszulek w turkusowo-czarne pasy stała niezdecydowana obok volvo państwa Hawthornów.

— Jesteś pewna, że ci przejdzie? — spytała siostrę. Claire przytaknęła.

— Jack odprowadzi konie do obozu — powiedziała, czując na sobie jego cień, kiedy stał w blasku zachodzącego słońca.

— Przejadę... przejadę się z nim.

— Obyś się tylko lepiej poczuła.

Claire poklepała siostrę po ramieniu.

— Nic mi nie będzie. Po prostu jestem zmęczona.

— Wiem dlaczego. Ostatnio nie sypiałaś zbyt dużo. Skrzywiła się.

— Przepraszam, że nie daję ci spać.

— Nie ma sprawy — pocieszyła młodsza siostra. Zmrużyła brązowe oczy. — W końcu jestem młodsza, nie potrzebuję tyle snu.

Claire uderzyła ją żartobliwie pięścią.

— To niedobrze, mała. Im jesteś starsza, tym mniej potrzebujesz.

— To jest właśnie to, Cunky. Ty dorastałaś w nocy.

— Dobra, leć, mała. — Mrużąc oczy i przybierając teatralną minę Claire wskazała na volvo. — Okrutniejszym od ukąszenia węża jest mieć niewdzięczną siostrę!

Amy dygnęła chichocząc.

— Jak sobie życzysz, stara wiedźmo.

— Kiedy wróćcie? — spytał Jack.

Amy najwyraźniej nie okazywała zdziwienia, że to on, a nie siostra zadał to pytanie.

Pani Hawthorn opuściła szybę.

— Właśnie myślimy o tym, by wziąć Amy na noc. Rozumiem, że nie mają w woze takich rzeczy, jak łazienka czy prysznic.

— Mamy umywalkę — powiedziała z naciskiem Claire.

— Świetny pomysł — wtrącił Jack. — Jeśli Amy zechce.

— O kurczę! — zawołała. — O rany! Dzięki.

— Wobec tego ustalone. Odwieziemy ją jutro przed otwarciem jarmarku.

Odjechali. Pozostawiona na łasce losu Claire obserwowała znikający samochód. Została z nim sama. Odetchnęła głęboko i odwróciła się.

— Jack, nie do ciebie należy pozwalanie Amy na różne rzeczy.

Jego oczy pozostały spokojne, choć miał stanowczy wyraz twarzy.

— To nie Amy dałem pozwolenie, tylko tobie — odrzekł, zamykając ją w ramionach. Powiewna, błękitna królewska suknia udrapowała się wokół Jacka, podobna do ogona egzotycznego pawia. Otaczając jej plecy jednym ramieniem, drugim zaś kolana, wniósł ją do domu.

— Jack — dyszała — Jack, proszę.

Niewygodny stanik podnosił się i uciskał jej pierś. Kremowe krągłości wymykały się spod materii. Jego oddech był niczym gorące wiatry Santa Ana, jak pochodnia podsycająca ogień. Gorąca fala wypełniała pierś i brzuch, rozniecając gorączkę, która towarzyszyła im od pierwszego spotkania, od złudnego pocałunku w ogrodzie Karen. Zobaczył wtedy jej ciało, poznał każdy jego najdrobniejszy szczegół, wziął ją w posiadanie na długo przed tą nocą, przed którą tak bardzo się broniła.

— Jack, Consuelo...

— Wszyscy poszli — rzekł, przestępując próg. — Consuelo wróci dopiero na śniadanie.

Nie zatrzymując się zamknął drzwi obcasem. Jego uścisk podobny był do zacisku imadła, stukanie obcasów wolne, równomierne. Wspinał się po schodach.

— Jack...

Niósł ją do sypialni. W wyobraźni ujrzała wielkie mosiężne łoże, światło nieba nad głową i obejmujące ją, obnażone ramiona Jacka. Opierała się.

— Proszę... „Boję się” — chciała dodać, ale słowa, które zdążyła wypowiedzieć zagłuszył odgłos kroków na drewnianej podłodze

jego biura.

Otworzył na oścież drzwi sypialni i stanął w nich.

Była taka, jaką ją zapamiętała. Jaśniała w świetle zachodzącego słońca. Jasny szkarłat i oranż pokryły smugami ściany, odbijając się płomieniami w lustrach nad kredensem i umywalką. Zobaczyła siebie ze zbyt dużymi, błękitnymi oczami, bladą twarzą otoczoną potarganymi włosami, spadającymi na ramiona niczym zasłona. Łóżko jarzyło się jak latarnia morska. Złapała oddech na wspomnienie uczuć jakie w niej rozbudził, kiedy po raz pierwszy na nim leżeli. Delirium. Osamotnienie.

Jack nie wszedł do pokoju. Spojrzał na nią z bezgraniczną czułością i rzekł.

— Claire, nigdy w życiu nie chciałem cię zranić.

— Wiem — wyszeptała.

Przycisnął nos do jej policzka, pomrukując łagodnie i zagłębiając w jej ciele palce.

— Tak bardzo cię zraniono? — zapytał. — Czy zostało na świecie wystarczająco dużo miłości, która mogłaby naprawić zło, które ci wyrządzono? Wszystkie nieprawości. — Miękkimi ustami całował kąciki jej warg. — Nie mogę pojąć tragedii twojego dzieciństwa, bo nigdy mi się nie przytrafiło nic złego, nic naprawdę złego.

— Dzięki Bogu — powiedziała łamiącym się głosem. Próbowwała dotknąć twarzy, badając gładkość skóry.

Pod zarostem wyczuła napięte mięśnie. Wszystko, każda jego najdrobniejsza cząstka, było jej drogim.

Przeczesał palcami jej włosy, mrużąc „szszsz”, jak gdyby była zapłakaną dziewczynką, która przycisnęła policzek do piersi mężczyzny. Twardy zarost poślaskotał ją w czoło. Uszy wypełnił odgłos bijącego jak młot serca. Zamknęła oczy, trzymając się go kurczowo.

Po kilku sekundach zaczął ją kołysać, otaczając czułością i opiekuńczością. Gdy otworzyła oczy, zauważyła, że ponownie przeniósł ją przez biuro, kierując się do innej części domu. Zatrzymał się na chwilę przed pokojem muzycznym, jak gdyby szukając czegoś,

potem potrząsnął głową i zszedł ze schodów. Posadził ją i podniósł do ust jej dłoń, całując każdy palec z osobna. Później udali się do kuchni.

Z wyłożonej kafelkami spizarni wyjął zakurzoną butelkę brandy, dwie duże szklanki i małe pudełko owinięte w złoty papier. Włożył to do torby razem z zapałkami i świecą w błękitnoniebieskim świeczniku. Potem przeszedł do pokoju z bielizną, wybierając spośród jasnych koców jeden utkany z soczystozielonej i stalowoszarej wełny. Przewieszając go przez ramię, ponownie splótł dłoń z dłonią Claire. Wyszli z domu.

W oddali słyhać było świerszcze. Kiedy zbliżali się do stajni, usłyszała żałobne zawodzenie kojota i łagodne rzenie koni. Zapadała spokojna noc. Księżyc otoczony chmurami wyglądał jak perła oprawiona w srebro.

— Potrzymsz na chwilę torbę, kochanie? — spytał. Otworzył dwuskrzydłowe drzwi stajni i zapalił światło.

Zdjął uprząż ze ściany. Z pierwszej przegrody powiało zapachem siana. Nieve stała, czekając na nich. Pochyliła głowę, trącąc pyskiem kieszeń Jacka, kiedy nakładał jej uzdę.

Potem wziął torbę i posadził Claire na końskim grzbiecie.

Przez moment przypatrywał się uważnie, obejmując wzrokiem całą jej sylwetkę.

— Wprost nie mogę się nadziwić, jaka jesteś piękna. W świetle księżycy twoje oczy są takie błękitne, a włosy...

— Pociągnął za wodze okręcone wokół swego nadgarstka.

— Idziemy, Nieve — rozkazał.

Claire, choć była zaskoczona, nie zapytała dokąd jadą. Koń szedł stępą, poddała się rytmowi końskich kopyt, obserwując cienie na falujących włosach Jacka. Szedł obok niej z jedną ręką spoczywającą na grzbiecie zwierzęcia. Od czasu do czasu głaskał grzywę klaczy. Przyglądała się jego rękom wędrującym po grzywie, blisko jej uda.

Jechali dość długo i choć jechała tędy po raz pierwszy, krajobraz wydał się jej znajomy. Pachnące sosny, łagodne pagórki i intensywna woń dojrzałych owoców. Pomyślała, że choć była tutaj tak krótko, to



wszystko wydawało się bliskie, jak gdyby mieszkała w Julian całe życie.

Podniosła głowę, patrząc na gwiazdne konstelacje.

„Jak to wszystko mogło się zdarzyć tak szybko? — pytała samą siebie. — Nie rozumiem tego. Nie mogłam się przecież zakochać w mężczyźnie, którego prawie nie znam. I moje stosunki z Amy. Tak szybko nauczyłam się nie mówić jej wszystkiego. Z jego powodu oddaliłam się od niej.”

Do jej uszu dotarł słaby, łagodny szmer. Po chwili zdała sobie sprawę, że to dźwięk płynącej wody. Kiedy Jack odsuwał gałęzie krzewów dzikich jabłek, pochyliła się pochłonięta bajecznym krajobrazem, jaki się ukazał.

Z granitowej skały wytryskiwał wodospad spadający kaskadami do rozlewiska w dole. Wokół niego wiotkie drzewa podobne wierzbom osłaniały wysokie trzciny od światła księżyca. Z bujnej trawy wychylały się kępy kwiatów.

— Och, Jack, jak tu pięknie! Pomógł jej zsiąść.

— Alkowa pięknej królowej — powiedział z błyszczącymi oczami. — Chodź.

Przywiązał Nieve do drzewa, potem pomógł Claire zejść po stromym obniżeniu kończącym się tuż przed jeziorem. Balsamiczny powiew nocy unosił opar znad wodospadu, roztopiającego w poświacie księżyca.

Ściągnął z ramienia koc i rozłożył go na ziemi. Wyciągając rękę powtórzył.

— Chodź.

Kiedy Claire podała mu dłoń, przyciągnął ją do siebie. Siedzieli, patrząc na siebie, trzymając się za ręce, pełni najróżniejszych myśli. Uśmiechając się Jack wyjął z torby świecę, postawił ją na skale i zapalił. Promień padał na jego twarz, wysubtelniając rysy i nadając blask złotym cętkom źrenic.

Claire zastanawiała się, o czym myślał, czego oczekiwał, co było dla mego ważne.

Czy ją kocha?

— Zaśpiewaj dla mnie — poprosił. Popatrzyła na niego. — Proszę, tak lubię dźwięk twojego głosu.

Normalnie odmówiłaby, czując się dziwnie i nieswojo, ale ta noc była nadzwyczajna, a on był nadzwyczajnym mężczyzną.

Świętego Walentego jutro. Nim rankiem cienie odpłyną... Kiedy śpiewała, nalał dwie szklaneczki brandy, pociągając z jednej. Oparł się o skałę, na której stała świeca. Już czekam u okna twojego, Twoją chcę być Walentyną. Kiedy skończyła, usiadł, wyciągając w jej stronę rękę ze swoją szklanką.

— Dzięki, moja miłości. Zaczerwieniła się.

— Proszę. To był Shakespeare.

— Tak. Wiem. Pieśń Ofelii z Hamleta.

— Tak. — Była zaskoczona, że wiedział, zwłaszcza że tak go śmieszyła stara angielszczyzna, którą posługiwali się na jarmarku. Może mówili niewłaściwie i Jack ich przedrzeźniał. Ale nie, on nie należy do tego typu ludzi. Mógł się przekomarzać, ale nigdy nie kpił.

Zadumana sączyła likier, wdychając jego zapach.

— Wyśmienity.

— Bardzo stary. Mój ojciec kupił go, kiedy się urodziłem. Za trzy butelki dał nagradzanego ogiera.

Uśmiechnęła się.

— Musi cię bardzo kochać.

— Tak, rzeczywiście. Najbardziej zależy mu na szczęściu moim i Karen — powiedział z prostotą i przekonaniem i Claire zaczęła sobie wyobrażać cudownego człowieka, jakim musiał być jego ojciec.

— Nasi rodzice też nas kochali, ale trudno im było poradzić sobie z dziećmi. Byli przyzwyczajeni do robienia wszystkiego, na co mieli ochotę. — Przełknęła jeszcze jeden łyk cudownego trunku. — Trudno to razem, pogodzić, kiedy się ma dzieci.

Jack nie odpowiedział. Schylił głowę, bawiąc się swoim brandy. Kiedy wreszcie podniósł ją, ujrzała jego zmienioną twarz. Był wściekły.

— Ale byli dla nas dobrzy — dodała pośpiesznie. — Kochali nas.

— Mmm. — Postawił swoją szklankę, otaczając twarz Claire

dłońmi. Przysunął ją do światła świecy. Jego oczy pociemniały. Świat zawirował jak podczas huraganu, podczas którego jego wzrok był jedyną bezpieczną przystanią.

— Zdaje mi się — rzekł — że nikt cię nigdy wystarczająco nie kochał.

Przełknęła, z trudem patrząc mu w oczy. Słyszała jak nadchodzi magiczna noc wzajemnego oddania. Słyszała kroki jak galop końskich kopyt. Słyszała krzyki namiętności tak wyraźnie, jak gdyby już w tym momencie się kochali, słyszała też Jacka wymawiającego jej imię w rozkosznym bólu. „Claire, och, Claire, moja kochana!”

— Amy mnie kocha — powiedziała drżącym głosem.

— Wiesz, o co mi chodzi. Nigdy nie zatroszczył się o ciebie wystarczająco żaden mężczyzna...

— Nie. — Potrząsnęła głową, próbując odsunąć od siebie jego słowa i echo wyobrażonych krzyków. — Nie, Jack, mylisz się. — Podniosła szklankę, powstrzymując ją w dłoniach. — Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który się pojawił, no wiesz... — ciągnęła. Zaśmiała się gorzko. — To znaczy ja niezupełnie jestem...

— Czyż się mylę? — Wyjął szklankę z jej kurczowego uścisku i postawił na skale. — Uprawiałaś wcześniej seks, ale czy uprawiałaś miłość? Jakiś facet cię pożądał, ale czy cię kochał? — Głos Jacka zmienił się w ochrypły szept. — Czy ubóstwiał cię tak jak ja?

Zamilkł, jak gdyby czekając na jej odpowiedź. Nic nie odrzekła. Schwycił jej rękę, kładąc je na swoim pasie. Potem położył jedną dłoń z tyłu głowy, a drugą zaś na karku i pocałował ją.

Pocałunek podobny był do elektrowstrząsu. Westchnęła, chwytając się paska Jacka. W zdziwieniu rozchyliła usta. Za każdym razem było inaczej. „On był inny” — pomyślała. Wszystkie słowa zlały się w jedno, kiedy dotknął jej warg. Ciało zadrżało, jak gdyby dotykał jej całej. Jej piersi, uda, plecy wstrząsnęło pożądanie.

Jack zagłębiał się w jej usta. Ich języki się połączyły. Poczuła w ustach jego brandy. Była przepełniona wonią sosen, skóry i mężczyzny, delikatnością jego szorstkich dłoni na swoim karku, siłą jego mięśni, kiedy przygniótł ją swoim ciałem. Ścisnął ją w wirze

emocji.

Skończył pocałunek, obsypując tuzinem następnych jej odwróconą twarz. Gładząc brodę, wzdychał „Claire, och, Claire!” Całował włosy, uszy, nos, wracając za każdym razem do warg. Ręce mu drżały, głos stał się głęboki i ochryply, przepełniony pasją, która powodowała, że płomień, jaki w niej rozpałił, płonął coraz jaśniej.

Garście napełnił jej włosami. Odrzuciła do tyłu głowę i wydała z siebie jęk rozkoszy, kiedy poczuła jak przesuwa, językiem wzdłuż szyi. Potem zatopił twarz w piersiach. Wygięła kręgosłup w łuk podobny do łuku księżyca. Napęczniałe piersi prawie wyskakiwały ze stanika. Jack ucałował je przesuwając językiem wzdłuż nabrzmiątych krągłości. Mruczał. Potem pieścił ręką białe ciało, szukając sutek schowanych w staniku sukni.

— Och, Claire, moja kochana — zamruczał powtarzając to, co sobie wcześniej wyobraziła. — Pomóż mi cię rozebrać i ujrzeć naga, leżącą w moich ramionach w świetle gwiazd.

Wszystko potoczyło się, tak jak sobie wcześniej wyobraziła. Wszelkie bariery ustąpiły. Pozostała niepewna, nie mogąc się zdecydować, czy otworzyć się dla niego.

„Gdybyśmy się kochali, nigdy tego nie zapomnę — pomyślała. — Zostanie w moim sercu na resztę życia.”

Magia nocy zbliżała się galopem...

— Jack, przestań — wyszeptała dysząc, ale on albo nie usłyszał, albo zignorował jej prośbę. Drżącymi rękami zaczął uwalniać ją z sukni, poczuła na swojej nagiej skórze nagły powiew powietrza.

— Jack, nie. — Położyła mu ręce na piersi. — Zmieniłam zdanie.

— Ależ skąd. Widzę w twoich oczach. Pragniesz mnie, moja maleńka, tak bardzo jak ja ciebie. Chcesz na mnie patrzeć, dotykać i poczuć w sobie, tylko się boisz. — Ściągnął jedwab z jej ramion. Materiał łaskotał piersi, zbierając się wokół nich. — Nie bój się, Claire.

— Boję się — wyznała szczerze.

— Wiem, ale to nie jest prawdziwy strach. Oboje o tym wiemy. Jeśli pozwolisz, zwalczymy go. Nie będziemy się spieszyć. Jeśli to

zajmie całą noc, będziemy to robić całą noc. — Długimi palcami dotknął jej piersi. — Twoje serce bije tak szybko, jak serduszko kolibra.

Pochylając głowę, całował ją w kark, ramiona i zagłębienia obojczyków. Miał włosy miękkie jak futerko królika. Nie mogła się powstrzymać, by nie odwzajemnić pieścizot. Wargi zwiotczały, zamknęła oczy. To była prawda. Pożądała go. Pragnęła dotyku rąk i warg. Chciała poczuć, że ją posiadał.

Zrobił to, co przewidywała, że uczyni. Ściągnął sukienkę do talii. Zacerwieniła się, ale nie zrobiła nic, by mu przeszkodzić. Nie dotknął jej. Patrzył na nią siedzącą z obnażonymi piersiami w świetle księżycy. Na przedramionach ciągle jeszcze miała rękawy. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby się okryć.

— Mają kolor róż — wyszeptał. — Zastanawiam się, czy są tak miękkie jak płatki różane.

Pociągnął łyk brandy, potem wyciągnął szklaneczkę w jej stronę.

— Nie mogę ruszyć ręką — odrzekła nieśmiało.

— Pomimo to napij się. — Przystawił szklanekę do jej ust. Łokciem, niemalże dotykał biustu. Claire zdała sobie sprawę, że chce, aby ją dotknął.

Postawił szklanekę i wyjął jej rękę z rękawów. Uwalniając je, podniósł do ust.

— Moja kochana panno Claire. Niezwykła i najdroższa. — Uśmiechnął się do niej. Spojrzał na piersi. — Więc są takie miękkie jak płatki kwiatów? — spytał, biorąc je w dłonie.

— Och! — krzyknęła, kiedy dotykał brodawek. Otaczając delikatne miękkości, natrafił na najwrażliwsze miejsce.

— Są jędrne i gładkie jak jedwab...

— Jack, jestem zawstydzona — przerwała, zakrywając się.

— Ależ nie bądź, kochanie — uspokajał ją, biorąc w ramiona. — To co robimy, jest częścią natury, życia. Częścią miłości. — Przycisnął ją do piersi, chroniąc przed własnym dotykiem i rozmasowywał plecy. — Jesteś taka spięta — zauważył. Spróbował ją rozluźnić masując i ugniatając ciało. Trzy dni tęsknoty za nim

zrobiło swoje. Wprawnymi palcami rozcierał naprężone mięśnie ciała. Zajął się ramionami.

— Ciągłe boli? — spytał, dochodząc do miejsca, w które się zraniła wtedy w ogrodzie.

Potrząsnęła głową wzdychając, podczas gdy on kontynuował masaż. Jej ciało zaczęło się odprężyć. Silne mięśnie Jacka kontrastowały z łagodnością jej kobiecych kształtów. Hipnotyczne znużenie spłotło się z wzrastającym płomieniem niczym nie wstrzymywanego pożądania, które przeszło jej ciało. Położyła ręce na jego karku, całując pod brodą.

— Och, kochanie — zamruczał, ściskając ją. Pocałowała go płomiennie.

— Już dobrze — wyszeptała.

Jej śmiech był ciepły i wdzięczny.

— Mamy przed sobą długie godziny, Claire. Nie będę cię pospieszał.

Jeszcze raz ją uściskał, potem posadził z drugiej strony gładząc pierś i delikatną płaszczyznę brzucha.

— Wyglądasz jak rusałka — stwierdził Jack, wskazując na fałdy błękitnego aksamitu pokrywającego dolną część ciała. — Jak syrena o długich jasnych włosach, śpiewająca pośród fal.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Kusząca marynarzy i gubiąca ich.

Zagłębił nos w jej policzku, układając włosy tak, aby opadając kaskadami, zakrywały pierś.

— Cóż, niewątpliwie mnie kusisz, moja panno. — Pieścił jej skórę lśnięcymi lokami. Claire zadrżała z rozkoszy.

— I ty mnie kusisz, mój panie.

— Jestem ci za to wdzięczny, kochana. — Ucałował ręce, potem każdy palec ż osobna. Poczowała lekkie mrowienie na ramieniu, uczucie podobne do przepływu prądu. Kiedy Jack podnosił do ust najmniejszy palec, księżyc zaświecił na jego włosach i Claire po raz pierwszy zauważyła siwe pasma.

„Poznaję go — pomyślała. — Poznaję wszystkie szczegóły. To, że

ma słabość do słodyczy, że kocha rodzinę, poznaję jego cierpliwość i oddanie. Ale tak wiele muszę poznać."

Miała tak mało czasu.

— Cóż za smutny widok! — powiedział Jack z wyrzutem.

— Czy ja jestem tego przyczyną? Położyła mu na ramieniu głowę.

— Nie, na chwilę się zamyśliłam, to wszystko.

— Musimy coś zrobić, by to się już nie zdarzyło. Jego dłoń powędrowała wzdłuż jej brzucha. Próbowwała przedostać się niżej. Kiedy końcami palców dotknął bikini, poczuła dreszcz przeszywający krzyż. Prawie nieświadomie rozsunęła trochę nogi, pragnąc, by dotknął jej ciała w tym miejscu.

Sukienka jednak była zbyt wąska. Wyjął dłoń wzdychając. Okalając kciukiem pępek, spytał:

— Więc gdzie jest suwak?

— Na Boga, milordzie! Nigdy bym się nie odważyła użyć takiej rzeczy do wykończenia moich szat! — krzyknęła z udawaną szczerością. — Lord Petit Sirrah skróciłby mnie o głowę. — Podniosła się, odplątując drugą warstwę wiązań schowaną pod złotym pasem nabitym perłami.

Odpinając koszulę, Jack pokiwał głową z uznaniem. Z każdym ruchem odsłaniali coraz bardziej swoje ciała; jej śnieżne, krągłe uda, jego brązową, muskularną pierś. Claire zafascynowana była męskim pięknem Jacka. Pragnęła zbadać falujące mięśnie, dotknąć włosów porastających jego tors. Kiedy zdjął koszulę przycisnęła dłoń do bicepsów zadziwiona ciepłem skóry.

— Uwielbiam twój dotyk — powiedział Jack, łaskocząc ją w ramię. — Jestem tak podniecony, że ledwie mogę wytrzymać.

— No to zrobmy... — odważyła się zaproponować. Nie miała zbyt wiele doświadczeń z mężczyznami, niemniej jednak ten jako pierwszy był w stosunku do niej tak czuły i cierpliwy. Chciała mu sprawić przyjemność, zarówno z potrzeby, jak i z wdzięczności.

— Och nie, jeszcze nie teraz! — zbeształ ją. — Poczekajmy, kiedy będziesz gotowa.

Zaróżowiła się. Rumieniec oblał pierś, kark i policzki.

— Nie jestem pewna, czy w ogóle będę gotowa. Odgarnął włosy z jej czoła. Twarz rozjaśniła czułość.

— Och, kochanie, wcale się nie myliłem. Nie byłaś traktowana właściwie. — Dotykał palcem do jej ust. — Nie ma znaczenia, ile czasu nam to zabierze. Obiecuję ci, że dzisiejszego wieczoru będziesz gotowa.

Opuściła głowę.

— Nie znudzisz się?

Zaśmiał się łagodnie, sadowiąc ją na swoim łonie. Stwardniał mu penis.

— Myślisz, że mógłbym się znudzić?

— Nie, nie teraz, ale...

— Spójrz, co przyniosłem — powiedział, podtrzymując ją, kiedy przechylał się w bok, wyciągając złote pudełko.

Kiedy je otworzył, napawała się zmysłową wonią.

— Czekoladki! Powinnaś była się domyśleć, że to coś słodkiego.

— Słodkie czekoladki dla słodkiej kobietki — zamruczał, wybierając najsmakowitszą i przesuwając jej do ust. — Są absolutnie najlepsze na świecie. Moja matka kupuje je w małej francuskiej restauracyjce pod Tuscon. Dostałem od niej jedno opakowanie jakiś miesiąc temu.

Zrozumiała, o co chodzi. Zmienił temat chcąc, by się odprężyła. Chciał jej dać znać, że naprawdę ma mnóstwo czasu na to, aby ich pierwszy raz był jak najwspanialszy.

— Dziękuję. — Dała sobie wsunąć do ust smakołyk. Był miękki. W nadzieniu wyczuła mokkę. Czekoladka była tak wyśmienita, że nawet nie musiała jej gryźć. Rozpuściła się, gdy tylko zamknęła usta.

— Wspaniała — rzekła, zakrywając je dłonią. Przytaknął po chłopięcemu.

— Nie mówiłem? — Pochłonał jedną. — Delicje. Masz jeszcze jedną. Podzielę się z tobą wszystkim, co mam.

— O kurczę! Naprawdę mnie musisz lubić — zażartowała, przyjmując kolejny smaczny kęs, tym razem z orzechami laskowymi.



— O kurczę, droga damo, naprawdę cię lubię. — Pociągnął łyk brandy. Zrobiła to samo. Wzdychając sięgnął po trzecią. — Czyż to nie wspaniałe życie zajadać całe bombonierki czekoladek, popijając starą brandy z nagim aniołem na kolanach?

Objęła go śmiejąc się.

— Naprawdę wiesz, jak żyć!

— No jasne. — Spowaźniał. — I wiem, że życie nie jest po to, by być nieszczęśliwym lub niepotrzebnie się poświęcać. — Zmarszczyła brwi. Zamilkł na chwilę, oddychając głęboko. — Jeszcze czekoladkę, kochanie?

Ignorując jego spostrzeżenia, wyjęła z pudełka czekoladkę. Złapał ją za podbródek, odchylając do tyłu głowę i zmuszając, by na niego spojrzała.

— Hej — powiedział łagodnie — wróć. Nie złość się. Jej błękitne oczy zabłyśły.

— Nie jestem zła.

— Nie mam zamiaru cię pouczać, co masz robić ze swoim życiem.

— Weź czekoladkę — nalegała.

Zjedli jeszcze kilka, patrząc na siebie i popijając. Claire rozpaczliwie usiłowała dojść do siebie, zmartwiona zepsuciem nastroju.

— Hej — powtórzył Jack tym samym tonem — muszę ci coś pokazać.

Na jej twarzy zamajaczył smutny uśmiech.

— Co?

— To.

Położył ją na plecach i ucałował namiętnie. To był pocałunek nie znoszący sprzeciwu. Pełne wargi rozciągnęły się, kiedy przywarł nimi do jej ust. Oddychał szybko. Jego wielka pierś zmiażdżyła ją, otaczające ramiona były twarde jak skała i nieustępliwe.

Zadrzała pod wpływem dzikości tego czynu, który pozwolił zapomnieć o przykrej rozmowie. Zniknęły urazy, chęć obrony i wizje zbyt wcześnie opłakiwanego rozstania. Zrobił to pośpiesznie, niemalże brutalnie. Poddała się, zapominając o wszystkim. Jej

napięte plecy przypominały łuk. Objęła go za szyję. Dłonie Jacka zagłębiały się w jej bokach, kiedy całował plecy, ramiona, sztywne sutki.

— Claire, kochana — szeptał, ściągając suknię, całując pępek, górę ud i kładąc dłoń na łonie. — Claire, rozkwitnij dla mnie.

Dla niego przeistoczyła się w szklarniowy kwiat, wilgotny, dojrzały i giętki. Ciało błyszczało od potu. Otworzyła się niczym lilia o jedwabnych płatkach. Jack dotknął najwrażliwszego miejsca.

— Och, Jack! — krzyknęła.

Wzdrygnęła się, odczuwając ogarniającą ją falę rozkoszy, nagłe przypiływy wzruszenia. Pieścił ją całą, na początku wolno, jęcząc z zadowoleniem, kiedy odwzajemniała jego pieszczoty.

— To właśnie to, maleńka. Po prostu się temu poddaj. Pozwól mi cię trzymać i sprawiać ci przyjemność. Ta noc jest tylko dla ciebie.

Przyśpieszył nieco i Claire wiała się pod jego dotykiem.

— Jestem gotowa, jestem gotowa — zamruczała. Czowała jak jej ciało się przygotowuje. Mięśnie napinały się, krew zahuczała w uszach. Dziwne, rozkoszne doznania, jakich nigdy jeszcze z taką intensywnością nie doświadczyła, przeszyły ją niczym spadająca gwiazda. Pomyślała, że nie mogłoby być lepiej. To było najcudowniejsze odczucie.

— Szszsz... Claire — wyszeptał Jack. — W ogóle o mnie nie myśl. Nie martw się o moją przyjemność. Jeśli chcesz mnie uszczęśliwić, leż spokojnie, znajdując przyjemność w tym, co robię. Powiedz, co ci się podoba, a co nie. — Rozłączył jej nogi i całował, pieszcząc dłońmi. Usta dotykały wrażliwych miejsc. — Podoba ci się?

— Ooo tak! — jęknęła zwinięta na kocu.

Unosząc głowę, pieścił językiem każde wzniesienie jej ciała. Uniesienie, którego był przyczyną, pochłonęło ją bez reszty. Palce Claire przesuwaly się po jedwabistych włosach Jacka.

— Proszę, teraz — zachrypiała. — Tak bardzo cię pragnę.

Usiadł rozpinając dzinsy. Miał oczy zwężone jak kojot badający swoją ofiarę. Rozbierał się wolno, z aroganckim niemal namysłem, najwyraźniej rozkoszując się uniesieniem Claire.

Ściągnął spodnie wraz ze slipami opuszczając je do kolan. Zwijał je wzdłuż potężnych ud i długich, muskularnych łydek. Wreszcie uwolnił się od nich. Górujący nad Claire, wydał się jej bóstwem. Wkrótce jego doskonałe ciało przytłoczy ją i wypełni. Wykonanie przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Była wypełniona zgrozą i bezbrzeżną tęsknotą. Łzy stanęły jej w oczach. Ramiona miała otwarte na jego przyjęcie.

— Jack, jestem twoja — wypowiedziała gardłowym głosem.

Zatopił się w jej udach. Światło księżyca oświetliło wilgotne kącki oczu, kiedy się jej przypatrywał. Jego twarz promieniowała.

— Jesteś moja?

— Och, tak!

— Zrobisz wszystko, o co cię poproszę? Przytaknęła, wyciągając dłoń, by go dotknąć, ale Jack usunął się poza zasięg jej ręki i schwycił ją za nadgarstki.

— Więc leż jak najspokojniej, potrafisz jeszcze przez chwilę. — Uśmiechnął się. — Może myślisz, że jesteś w ostatnim stadium ekscytacji, ale ja wiem, że jest inaczej. Jesteś kobietą rzadkiego rodzaju, skarbem, jak dobre wino, które musi dojrzeć przed wypiciem.

Zaśmiała się na wpół łkając.

— Zdaje mi się, że płonę. Jego oczy zamgliły się.

— Już wkrótce zapłoniesz.

„Czym jest miłość? Czymże?” — zastanawiała się Claire. Potem nie myślała już o niczym. Jack leżał na niej, podtrzymując na dłoniach ciężar swojego ciała. Falował, pozostawiając na ramionach miłosne ukąszenia. Między udami poczuła jego członek i rozsunęła je, próbując mu pomóc wprowadzić go do środka.

— Jeszcze nie — wyszeptał.

Pocałował ją. Szeroko otworzyła oczy, wpatrując się w księżyc spoza nagiego ramienia. Ciało Jacka było gładkie jak marmur, palące jak lawa. Chciała je poznać, sprawić, by poruszało się na skutek jej dotyku.

Nie mogła się nazachwycać jego pięknem. Podniosła głowę,

obserwując kształt karku, mięśnie wzdłuż kręgosłupa aż do jędrnych, mocnych pośladków. Jego nozdrza rozszerzyły się przy oddechu, a zęby zacisnęły. Nagle potrzeba posiadania go przepłynęła przez Claire jak strumień płynnej stali.

„Och, Boże, muszę go mieć! — zażądała. — Błagam, błagam...”

Z krzykiem położyła ręce na jego ciele. Czuła płaski brzuch, położyła dłonie na pośladkach. Przesuwając się pod nim, znalazła brodawki piersi i zaczęła je ssać. Trzymała go kurczowo, kiedy próbował się poruszyć. Jęki rozkoszy Jacka wprawiały ją w drżenie. Potem dotknęła jego członka. Spoczywając w uścisku, ogłuszyła go tryumfalnym jękiem radości.

— Ach! — zakrzyczał. Krzyk odbił się echem, zanim został pochłonięty przez szum wodospadu. Jego ciało trzęsło się w ekstazie. Claire była dumna, że doprowadziła go do takiego podekscytowania.

„Jest mój, jest mój, — pomyślała bliska obłędu. — Chcę być dla niego wszystkim. Chcę, chcę...”

Jack oderwał się i uklęknął, patrząc na nią. Podniósł ramiona, dysząc ciężko. Po jego twarzy popłynęły łzy, oczy zrobiły się czyste, zamglone, zagubione w marzeniach.

— Teraz — wyrzekł łamiącym się głosem. — Kochana. Nadszedł czas. Claire odrzuciła głowę. Rozchyliła uda oddając się mu.

Przeszył ją z taką siłą, że myślała, iż rozerwie się na dwie części. Był przytłaczający. Zawołała płaczącym głosem w zaskoczeniu i nieukrywanej pasji.

Nie było więcej słów ani myśli. Jack stał się światem wtapiającym się w nią z żarem słońca i pięknem księżyca. Porwana przedwiekową pasją poruszała się w rytm jego ciała. Tańczyli pradawny taniec, śpiewali starą pieśń. Kochali się.

— Och, Claire, moja najdroższa — wyszeptał chrapliwym głosem. — Och, kochana...

Skrzywił twarz w grymasie agonii.

— Claire! — krzyknął, dzieląc się z nią swoją ekstazą.

Pulsujące białe światło wyrzuciło ją na nieboskłon. Zatraciła się, zdobywając wszystko. Była jedyna we wszechświecie. Pędziła w

zapomnienie. Roztapiała się. Była tak wzruszona, że zaczęła płakać.

— Szszsz... — uspokajał Jack, całując ją. Ustami dotknął jej włosów.

Objęła go, przyciągając bliżej. Czy to była naprawdę ona, czy naprawdę krzyczała w uniesieniu? Kto rozpałił tego mężczyznę tak bardzo, że zaczął płakać z radości?

Przewrócił się na drugą stronę, tuląc ją do piersi. Serce na którym położyła rękę, waliło jak młot.

Claire zamknęła oczy, wdychając zapach czekoladek, brandy, trawy i ich miłości. Z tyłu szumiał wodospad i ćwierkały ptaki. W oddali rżała Nieve.

„To najcudowniejsza chwila mego życia — pomyślała. — Nigdy nie przeżyłam czegoś cudowniejszego.”

Zamknęła oczy, przytulając się do Jacka.

— Wygodnie ci, kochanie? — spytał, przesuwając dłonią po jej plecach.

Przytaknęła.

— Dziękuję.

— Och, najdroższa, dziękuję ci. — Sięgnął za głowę i zerwał kwiatek lawendy. Łaskocząc nim Claire w policzek, uśmiechnął się.

— Odpocznij teraz — powiedział. — Za chwilę pojedziemy.

— Jestem wykończona, ale czuję się tak cudownie. Uścisnął ją.

— Już zawsze tak będzie Claire, zawsze.

## Rozdział siódmy

Coś ją załaskotało. Westchnęła przez sen, drapiąc się za uchem. Znów łaskotanie. Otworzyła oczy ziewając.

Leżała z głową na łonie Jacka. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o skałę. Wplatał w jej włosy kremowe stokrotki. Kiedy zobaczył, że się obudziła, uśmiechnął się.

— Witaj, aniołku.

Był nagi. Okrył ją swoją koszulą, chroniąc przed chłodem nocy. Przytrzymując koszulę na piersiach, usiadła zdezorientowana.

— Cześć. — Przetarła oczy. Jedna ze stokrotek upadła na jego łono przykrywając je tak, jak dębowy listek rodem z klasycznej rzeźby. — Wcale nie miałam zamiaru spać. Która godzina?

— Czy to ma znaczenie?

— Przypuszczam, że nie — stwierdziła po namyśle.

— Czas się dla nas zatrzymał. — Zdjął z niej koszulę, dotykając lewej piersi. — Uwielbiam cię dotykać.

Skromnie schyliła głowę.

— Ja też cię lubię dotykać.

— Tak, zauważyłem. — Mrugnął okiem.

— Miałam bardzo dziwny sen o koniach i ogniu. Latałam.

— Byłabyś niezłym obiektem badań dla Freuda. — Zerwał kwiatek i zasypał jej łono garścią chłodnych, jedwabnych płatków. Zadrzała, przygryzając wargę. Oparła się o jego pierś. — Tak jak i dla mnie — dodał. Ułożył kwiat między jej nogami. — Czy ja ci się przyśniłem?

— Być może — odrzekła cichutko. Był wielkim rumakiem o ognistych oczach. Nawet we śnie go rozpoznała.

— Wierzysz w reinkarnację? — spytała. Wzruszył ramionami.

— Nie myślałem o tym zbyt wiele. Interesuje mnie raczej, to co tu i teraz. Te sprawy to... Nie można tego w taki czy inny sposób udowodnić, więc ludzie mogą wierzyć w to, co przynosi im szczęście.

— Cóż, jeżeli byłoby to prawdą, to musiałeś być kiedyś koniem.

— Starym siwkiem Jackiem.

— Ależ nie. Mogłeś należeć do jakiegoś krzyżowca, albo nawet do faworyta Elżbiety, hrabiego Leicesteru.

Zamrugnął oczami.

— Mówią, że Katarzyna Wielka miała niejednoznaczny przygodę z koniem. Może to byłem ja.

— Jack! Zaśmiał się.

— Nigdy nie mogłem pojąć, jak ludzie, którzy wierzą, że żyli już kiedyś, wyobrażają sobie, że byli albo królami, albo królowymi. Nikt nie był chłopem ani aptekarzem.

— To nieprawda. Wiele ludzi wierzy, że żyło kiedyś zwykłym spokojnym życiem.

— I pewnie żadne z nich nie poszło do piekła. Coś mi się zdaje, że to twój czuły punkt. Amy mówiła, że jesteście tym bardzo pochłonięte.

Wzruszyła ramionami.

— Dużo czytałyśmy.

— Opowiedz mi.

— Nie teraz. To delikatna sprawa. — „I zbyt osobista” — dodała w myśli. To było coś między nią i Amy i byłoby niełojalnie opowiadać mu o tym. Już rozluźniła więzy łączące ją z siostrą. Mogła się przyznać Amy, że zostanie, bo chce być z Jackiem. Po co ten wykręt?

Pogłaskała ją po brzuchu.

— Dobrze, zostawmy to. Naprawdę nie chciałem cię obrazić, kochanie. — Podniósł się. Pomógł jej wstać. — Wracajmy do domu.

— Do mnie?

Zaczął coś mówić, potem podniósł oczy i rzekł:

— Miałem na myśli mój dom. Nie chciałabyś tam spędzić nocy? — Zanim odrzekła, dodał: — Odwiozę cię wcześniej. — Wiedziała, że pomyślał po cichu: „Amy się nigdy nie dowie”.

— Niezły pomysł. — Wsunęła swoją dłoń w jego. — Pod warunkiem, że nie będziesz chrapać.

Otworzył szeroko oczy, udając oburzenie.

— Ja? Panno Claire, ależ jak mógłbym być tak grubiański!

— Nie jestem taka pewna.

— Na twoim miejscu też bym nie był. Kilka minut temu złapałem cię na chrapaniu.

— Niemożliwe, panie Youngblood. Mam niezbite dowody na to, że jestem doskonałym towarzyszem snu.

Otworzył usta ze zdziwienia.

— Co?

Popatrzyła na niego krzywo.

— Chcę, abyś wiedział, że to Amy chrapie, nie ja. Pociągnął ją za nos.

— Ależ chrapiasz.

— Nie.

— Pewnej nocy cię nagram i zobaczymy, kto miał rację.

— Czyżby?

— Tak!

Dla żartu połaskotał ją w pośladek. Odskokczyła śmiejąc się i zacisnęła pięści.

— Widzę, że ostro zaczynasz, przyjacielu. Chodź no tutaj. Zmierzymy się!

— A fe! Damie nie przystoi się tak zachowywać. Co by powiedziała królowa Elżbieta?

Claire pozostała w tej samej pozycji.

— Kochana królowa Elżbieta prześcigała w tańcu, picu i przekleństwach większość swoich dworzan. Ciebie zapewne także by prześcignęła.

— Tak, ale czy mogłaby mi się oprzeć? — Wyszczrzył zęby w filuternym uśmiechu, rozstawiając nogi i kładąc ręce na udach. Dumny ze swej nagości pysznił się jak kogut. Claire kochała go za to, że jest taki pewny siebie.

— Podobno umarła jako dziewica.

— To ci na szczęście nie grozi. — Zbliżył się do niej. — Chodź kochanie, pokażę ci coś.

— Aha! Już ja to widzę.

— Nie, naprawdę, to prawie tutaj. — Zaczął się oddalać. W



momencie, kiedy Claire opuściła ręce, okręcił się szybko i zaczął ją bezlitośnie łaskotać.

— Przestań! Przestań! — piszczała, okładając go pięściami, kiedy atakował. — Jack, uspokój się!

Osunęli się na ziemię. Usiadł na niej okrakiem trzymając nadgarstki za głowę Claire.

Powietrze wypełnił jej wysoki, srebrzysty śmiech.

— Dosyć! — krzyczała, broniąc się. Wierzgała nogami, ale on unikał ciosów, podnosząc się do klęku.

— Oddam ci, zobaczysz! — obiecywała. Ostatnie słowo zamieniło się w crescendo śmiechów. — Pożałujesz!

— Aha! — Uwalniając pogłaskał ją pod brodą. Odrzucił ramiona za głowę jak kowboj po rzucie lassem.

Claire chciała usiąść, ale była zbyt wyczerpana. Mięśnie brzucha bolały ją od śmiechu.

Popatrzyła na niego zamyślona. W jego towarzystwie była jak Amy. Stawała się kokieteryjna, głupiutka i rozkoszna. Ona, Claire, poważna siostra.

Jack musiał odgadnąć te myśli.

— Lubię cię taką — powiedział, pomagając jej wstać. — Wiesz, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, pomyślałem, że w ogóle nie umiesz się śmiać.

— Wielkie dzięki.

— Cóż, to prawda. — Przykucnął, przyglądając się jej spoza firanki gęstych rzęs. — Chodź, mała. Chcę iść do domu i przytulić się do ciebie.

„Dom.” Zamknęła oczy, kontemplując to słowo w całej jego gorzkiej słodyczy.

— Chodźmy.

Pomógł Claire włożyć sukienkę. Wcisnął do torby jej bikini wraz z pozostałościami uczyty. Potem ubrał się w dzinsy i koszulę. Włożył buty.

Koń był zadowolony, że znowu jedzie, tym bardziej, że zorientował się, iż wracają do domu. Kiedy przyjechali, Jack dołożył

Nieve siana, pogłaskał ją czule, po czym zamknął drzwi do stajni. Podniósł Claire.

— Uwodzenie Claire, część druga — wymówił przeciągle.

— Nie jesteś zmęczony noszeniem mnie? — spytała uradowana, widząc, że idą tą samą drogą, którą szedł wczesnym wieczorem, kierując się w stronę sypialni.

— Skądże. W końcu ważysz tylko dziesięć funtów więcej niż Amy.

— Pocałował ją w policzek. — I wiesz mi, te dziesięć funtów warte jest dodatkowego wysiłku.

— To komplement. Dziękuję.

Schylił głowę.

— Jack do usług.

Wkroczyli do sypialni. Tym razem skąpana była w hebanowych ciemnościach. Claire uśmiechnęła się, kiedy zagłębiali się w miękki materac.

Jack wsunął podobne do nóg pajęczych palce pod sukienkę Claire.

— Proszę o jeszcze, Claire — wyszeptał teatralnym tonem.

— Nie odmawiam — odrzekła.

Zaczął śpiewać: — Kiedy dotrę do nieba, ucałuję moją...

Dzwonek telefonu przestraszył Claire. Jack potoczył wzrokiem, nie przestając pieścić jej uda.

— Przeklęty telefon zza oceanu. Zapominają o różnicy czasu. — Głaskał ją. — Nie odbiorę. Niech odbierze automatyczna sekretarka z biura.

— Może to coś ważnego — rzekła, spoglądając na aparat.

— Nic ważniejszego od tego, co robię teraz.

Włączyła się maszyna. Ktoś wytłumaczył oficjalnym tonem (nie był to głos Jacka), że biuro Rancho Espejo jest chwilowo nieczynne i prosi się o zostawienie wiadomości.

— Mówi Barbara Hawthorn — brzmiała odpowiedź. — Jack, czy jesteś przez przypadek w domu? To nagły wypadek.

— Och, mój Boże! — krzyknęła Claire. Zerwała się, by odebrać telefon.

— Pani Hawthorn? Mówi Claire van Teiler. Czy coś się stało Amy?

Pani Hawthorn zamilkła.

— Cóż, tak moja droga. Obawiam się, że tak. Prosiła, bym nie dzwoniła, ale musiałam to zrobić. Przypuszczam, że Jacka nie było, bo dzwoniłam wcześniej, zostawiając wiadomość.

— Och nie! — Zbladła. Jack położył mocno dłoń na jej ramieniu. Chciał by oddać słuchawkę, ale Claire trzymała kurczowo, potrząsając przecząco głową.

Pani Hawthorn zawahała się.

— Nie wiem, jak to się stało. Na początku myśleliśmy, że to opona, że pękła, rozumiesz. — Zaśmiała się słabo.

— Twoja maleńka siostra ją wymieniła. Potem zostaliśmy z mężem, a ona machała, by ktoś nam pomógł. Wpadła do rowu i...

— Och, Amy!

Jack ścisnął ją mocniej.

— Co się stało?

Pani Hawthorn mówiła dalej: — Kochanie, tylko skrzyła nogę. Zaraz ją zwolnią. Jesteśmy w szpitalu. Mój mąż ma lekki wstrząs.

— Och, tak mi przykro, ale Amy... — Popatrzyła niepewnie na Jacka, który wziął od niej słuchawkę.

— Barbara? — Przytakiwał słuchając. — W porządku. Dobra. W gipsie? Cholera! Wstrząs? Jak się czuje? Biedny Dick. Nie, nie, już do was jedziemy.

Odłożył na widełki słuchawkę, biorąc Claire w ramiona.

— Najdroższa, wszystko w porządku. Tylko skrzyła kostkę.

— Tylko!

— Wszystko będzie dobrze. Prześwietlili ją i włożyli w gips.

Lekarz powiedział, że do wesela się zagoi.

Claire załamała rękę.

— Pani Hawthorn mówiła, że próbowali się z nami skontaktować.

— Cóż, tak, ale to nie było możliwe.

— Ale ona została zraniona! A ja... ja... — Odwróciła się od niego.

— A ty się ze mną kochałaś — powiedział. — Czy to takie straszne?

Przycisnęła dłoń do ust.

— Jest dla mnie wszystkim.

— Nie, do jasnej cholery! — krzyknął Jack. Furia z jaką to powiedział, zaszokowała ją tak bardzo, że podniosła się z łóżka. Jego oczy błyszczały. Stał sztywno, jak gdyby próbował się uspokoić. Nabrał w płuca powietrza, wstrzymał je — po chwili powiedział:

— Przykro mi, Claire. Zagalopowałem się. Chodź, poszukamy jakiegoś ubrania dla ciebie i pojedziemy do szpitala.

— Dziękuję — odrzekła smutno.

— Byłbym zapomniał. Amy nie miała z sobą portfela. W szpitalu potrzebują jakiegoś dokumentu.

Nie mogła mu spojrzeć w oczy. Zraniła go, a Jack przestraszył ją swoim gniewem. Pomyślała, że wie, co się z nią dzieje. Nie udawała swoich uczuć.

— Jej dokumenty są w wozie. Będziemy musieli wrócić do obozu. Przytaknął.

— Wobec tego przebierzesz się tam. Chodźmy. — Otarł się o jej ramię. — Claire, nie chciałem na ciebie krzyżeć. Przebac mi, proszę.

Zdobyła się na smutny uśmiech.

— Przebaczam, jeśli ty mi przebaczysz. Pogłaskał ją za uchem.

— Cunky, nie zrobiłaś nic, za co musiałabyś przeproszać.

„Och tak, zrobiłam — pomyślała. — Zakochałam się w tobie.”

Pojechali połyskującym, czarnym, półciężarowym mercedesem. Claire pośpiesznie włożyła na siebie błękitną spódnice i muślinową bluzkę, znalazła dokumenty siostry i wróciła do samochodu.

Był tam Keith Mandell. Na odgłos jej kroków obaj się odwrócili. Jack miał bladą twarz i oczy ciemne jak noc.

— Hej, Claire — powitał ją Keith. — Właśnie powtarzałem Jackowi najświeższe wiadomości.

Zmarszczyła brwi.

— Jakie?

— Nie było cię na wieczornym spotkaniu? Wcześniej wyjeżdżamy. Lord Petit Sirrah pokłócił się z radą miejską i skracamy nasz pobyt tutaj. Wyruszamy w przyszłym tygodniu. — Westchnął. — Fatalna

sprawa. Sue i ja mamy do wyniesienia tyle szkła!

Claire spojrzała na Jacka.

— Nie zmieni zdania? — spytała.

— Nie. Ustalił już nawet datę i znalazł miejsce w Los Angeles, obok jakiegoś idiotycznego centrum handlowego. Beznadzieja.

Ścisnęło się jej serce. Wyjazd! Tak szybko?

Zbyt szybko. Zakręciło jej się w głowie. Opuścić Jacka. Wiedziała, że to nastąpi. Na nic zdała się próba przeżycia jedynej życiowej miłości w ciągu czterech krótkich tygodni.

Jack podniósł brodę.

— Chodź Claire, musimy jechać.

Poruszając się z trudem, wsiadła do wozu. Jack zatrzasnął drzwi i przeszedł na drugą stronę. Zapalił silnik i szarpnięciem z wściekłością dźwignię, włączył wsteczny bieg.

Napięcie rosnęło, dławiając Claire, tak że ledwie mogła od-dychać.

Jack westchnął.

— Cóż, nieszczęścia chodzą parami, czyż nie? Nic nie odrzekła.

Przytaknęła tylko.

Kiedy zajechali na parking przed szpitalem, nie poczekała na niego, wyskoczyła z samochodu i pobiegła do izby przyjęć.

Jack wysiadł i zamknął drzwi. Wstydził się za to, że tak źle ją potraktował, ale, do diabła, jego uczucia też się liczyły. Czy ona sobie myśli, że to tak łatwo zakochać się po raz pierwszy, i to w kobiecie, która za tydzień odjedzie w siną dal?

Zaklął, kładąc rękę na klamce. Załamał się. Dlaczego ja musiała być akurat Claire ze wszystkimi swoimi problemami, przykrym dzieciństwem i silną więzią, jaka łączyła ją z siostrą? Odgarnął włosy z czoła. Znał odpowiedź. To musiała być Claire, bo nie mógł to być nikt inny. Nerwowo postukiwał w maskę samochodu. Po chwili wcisnął dłoń do kieszeni. Powtarzał sobie, że kiedy ona odjedzie, wróci do Jessie. Będzie się starał zapomnieć o niej w ramionach Jess i nigdy więcej się nie zakocha.

Nie zapomni o niej. Wiedział o tym. Nigdy się więcej nie zakocha,

bo nigdy nie przestanie kochać Claire.

— I me poddam się bez walki, księżniczko z bajki — mruknął pod nosem, kierując się w stronę izby przyjęć.

To co tam ujrzał, zaskoczyło go. Spodziewał się, że zobaczy czule obejmujące się siostry. Claire siedziała zaniepokojona, Amy zapłakana, choć starała się tego nie okazywać.

Obie wpatrywały się w siebie zdenerwowane. Atmosfera była tak napięta, jak w samochodzie.

— Przepraszam, Jacka nie było w domu i nie miał kto odebrać — rzekła Claire.

— Mówiłam, żeby do niego nie dzwoniли, ale nie chcieli o tym słyszeć. Już zawiadomili Karen.

— I mieli rację! Jak, do cholery, wróciłaś do domu?

— Karen i Tom powiedzieli, że mnie odwiozą. Za rogiem ukazała się pielęgniarka z kulami.

— Oto one — powiedziała pogodnie. — Możesz wstać? Amy usiłowała się podnieść, Claire pośpieszyła z pomocą, ona jednak odmówiła.

— Proszę, Cunky, sama to zrobię. Starsza siostra spojrzała na nią urażona.

Podszedł do nich Jack. By dodać Amy otuchy, położył dłoń na jej ramieniu mówiąc:

— Hej, mała, słyszałem, że nieźle wyrznęłaś. Uśmiechnęła się słabo.

— Jack, przykro mi, że cię wyciągnęli z łóżka.

— Nie ma sprawy. Od tego są starsi bracia. I siostry — dodał znacząco.

Westchnęła.

— Ale ze mnie zrzęda, prawda? Cunky, tak mi przykro. Chodzi o to, że... — urwała. — Teraz nie będę tańczyć na dworze królewskim. Lordowi Petitowi Sirrahowi nie będzie się to podobało.

— Zrozumie — zapewniała Claire. Jack był wzruszony wyrazem ulgi, jaki pojawił się na jej twarzy. Miłość siostry znaczyła dla niej tak dużo. Rozumiał, że tyle razem przeżyły. Rozumiał, ale ciągle... — To

dlatego tak się martwisz?

Amy zawahała się. Zadrgał jej policzek.

— Mmm.

— Ależ to nic takiego! Przyjemnie będzie mieć więcej czasu na szycie, nie sądzisz?

Jack popatrzył na siostry. Amy była przygnębiona. Claire jeszcze sobie tego całkowicie nie uświadomiła. Zdarzyło się coś jeszcze, o czym nie wiedziała, a czego Amy najwyraźniej nie zamierzała wyjawiać.

Wreszcie Jack przypomniał im o swojej obecności.

— Szanowne panie — zawołał pogodnie — wóz czeka. Czy mogę je odwieźć do ich cygańskiego obozu?

Amy prychnęła.

— Zaiste milordzie, nie chcę mieć do czynienia z Cyganami.

— Dobrze, wobec tego zostawmy Cyganów.

— Och, nie zaczynajcie znowu! — wtrąciła Claire. Otoczyła siostrę ramieniem. — Idziemy mała.

— Dobra.

— Chciałbym się na chwilę zobaczyć z Dickiem. Obiecałem Barbarze, że ją podwieziemy do domu.

— Jest w pokoju na dole — poinformowała Amy. — Idź z pielęgniarką.

— Dobrze, dobrze, dzięki. Wracam za minutę. — Ruszył korytarzem.

— Byłabym zapomniała — zawołała Amy. — Jest tam moja siostra! Pożegnaj ją ode mnie.

Jack podniósł rękę na znak, że usłyszał, po czym się oddalił.

Karen i pani Harthorn stały obok stołu, na którym siedział profesor z okrytą, zwisającą nogą. Miał na sobie zielony kitel.

— Wszystko w porządku, mówię wam — burknął. — To tylko stłuczenie.

— Dick — powiedziała pani Hawthorn — chcą cię obejrzeć.

— Phh! — profesor był najwyraźniej rozwścieczony.

— Witam — zawołał radośnie Jack. — Boże, czegoż to ludzie nie

wymyślą dla przyciągnięcia uwagi.

— Cześć, Jack — odpowiedziały zgodnie kobiety.

Musnął siostrę w policzek, po czym objął ramieniem panią Harthorn.

— Dobrze się czujesz?

— Jestem trochę wstrząśnięta. — Odgarnęła włosy. — Zdaje się, że straciłam nad sobą kontrolę, kiedy zobaczyłam zakrwawione czoło Dicka. Amy zapanowała nad sytuacją. Mówię ci, to chodząca odwaga. Wyglądała na taką drobnutką i bojaźliwą, ale jak przyjdzie co do czego, potrafi zadziałać.

— Amen — dopowiedział doktor Hawthorn. — Jest bardzo inteligentna. Mówiliśmy z nią nawet o pójściu do szkoły. Wyglądała na zainteresowaną, ale upierała się, że nie zrobi tego w ciągu najbliższych kilku lat.

— Przyznała, że wciągnęły ją te podróże — wtrąciła żona doktora. — Zastanawia mnie... Kiedy wracaliśmy z wystawy przed tą małą kraksą — ciągnęła ponuro — Amy z wielkim przejęciem studiowała stanowy katalog z San Diego, który jej dałam. — Westchnęła. — Odnoszę wrażenie, że się marnuje.

— Cóż, jeszcze jest młoda — stwierdził doktor.

— To prawda. — Pani Hathorn uśmiechnęła się do Jacka i Karen. — To bardzo miło z waszej strony, że przyjechaliście tu wszyscy w środku nocy. Tak bardzo nam pomogliście. Tom poszedł załatwić wszystkie formalności.

Karen przyjrzała się bratu.

— Co z tobą? Wyglądasz na zdruzgotanego. Wzruszył ramionami.

— W porządku.

Obrzuciła go niedowierzającym spojrzeniem i złapała pod ramię.

— Barbara, mówiłaś, że masz ochotę na kawę. Pójdziemy po nią z Jackiem.

— Także proszę o jedną — wtrącił profesor. Pani Harthorn pogłaskała męża po policzku.

— Lekarz powiedział „nie”.

— Phh!...



Jack wraz z Karen skierowali się w stronę holu, na końcu którego stała Claire z Amy. Jack spojrzał na obie siostry zajęte rozmową.

— To Claire, czyż nie?

— Tak bardzo chciałbym je obydwie mieć — odrzekł gorzko.

Uścisnęła go.

— O czym ty mówisz?

— Cóż, nie chciałbym rozdzielać żytego rodzeństwa.

— Jesteś pewien, że nie mógłbyś tego zrobić? To znaczy rozdzielić siostry?

Popatrzył na nią udręczony, potrząsając głową.

— Och, kochany — wyszeptała Karen, głaszcząc go po podbródku.

— Tak mi cię żal.

— Wyjeżdżają za tydzień. Ten ich obłąkany karzeł po-klócił się z radą miejską.

Karen westchnęła. Podeszli do automatu z kawą. Jack zaczął przeszukiwać kieszenie. Wyjął dwie dwudziestopięciocentówki. Wrzucając je, spytał:

— Z cukrem i śmietanką, tak?

— Tak. Jack... — zawahała się — wszystko to stało się tak szybko.

Wiesz... nigdy przedtem nie uganiałeś się specjalnie za kobietami.

Jesteś pewien, że to prawdziwe? Może to tylko zaślepienie. Minie. —

Przesuwała palcami po jego ramieniu. Z automatu lała się do

plastycznej filiżanki parująca ciecz. — Była dziś Jessi — wydusiła.

— Chciała się dowiedzieć, co się z tobą stało w ciągu tych kilku ostatnich dni. Fajna z niej dziewczyna.

— Ona chce tylko mojego kutasa — próbował żartować, ale jego głos był smutny.

— Nie jestem taka pewna. Myślę, że zawsze to powtarzała, bo nie chciała cię stracić. — Wzięła od niego filiżankę. Stała na palcach, by pocałować go w policzek. — Jesteś świetną partią — bogaty, przystojny, wspinały dla dzieci.

— O Jezu! Nie swataj mnie.

— Jack, tak mizernie wyglądasz. — Położyła głowę na jego piersi.

— Prosiłeś ją, żeby została?

— Mniej więcej. Zdecydowała się podróżować z Amy. Marzyły o tym przez lata i przypuszczam, że nic nie byłoby w stanie ich powstrzymać. Szlag by to trafił. — Odwrócił się. — Nie lubię oglądać wyrośniętych facetów zalanych łzami.

— Och, Jack wiem, że jej na tobie zależy. Nie poddawaj się. Przygryź dolną wargę.

— Jeszcze tego nie zrobiłem. W końcu mam jeszcze siedem pełnych dni, by przekonać ją, że warto dla mnie porzucić wszystko i wszystkich.

— Amy też mogłaby tu zostać.

— No i co? Poślubić Daveya? Zaśmiała się.

— Dlaczego by nie?

— Nie, bo jest nierozgarnięty. Zapomniał dziś zamknąć bramę i jakaś krowa przyszła nam złożyć wizytę.

— Mogłaby pójść do college'u. Wzruszył ramionami.

— Obie wciąż powtarzają, że chcą podróżować. Wrócili do pokoju doktora Hawthorna. Jack ciągle mówił zachrypniętym głosem.

— Nie, to nie jest życie dla nich. Chcą żyć jak w krainie baśni.

Przebieranki i królowe. Papierowe smoki. Wiesz, że nawet wierzą w reinkarnację? — Schylił głowę, wypowiadając te słowa z wyższością

— Widzisz mnie z taką kobietą? — Zanim zdążyła odpowiedzieć, spróbował kawę pani Hawthorn. — Jakież to ohydzstwo. Przecież Barbara wyląduje po tym w szpitalu.

Karen stanęła przodem do niego, kładąc mu rękę na piersi.

— Zawsze wiem, kiedy ci coś jest, bo zaczynasz w ten sposób żartować. Jeżeli będę ci mogła pomóc, mam nadzieję, że dasz mi znać, prawda?

Siląc się na uśmiech, dotknął jej policzka.

— Całkiem nieźle wybrnęłaś, niesforna siostrzyczko. — Pogrzebał w kieszeni. — Chcesz cukierka, Srebrna Gębo?

— A czy ty chcesz zarobić w gębę, słodki braciszku? Objęli się uśmiechnięci.

— Pamiętaj, że możesz na mnie liczyć — wyszeptała Karen. — I na każdego, kto cię kocha.

**Boże, chroń Ich Wysokości Panią i Pana Maja, Chroń ich od niepomyślności, Niech szczęście wypełni każdy dzień!**

**Chodźcie szlachetni i wy prości! Chodźcie biedni i bogaci! Niech za panowania naszego Pana i Pani Zawsze będzie maj!**

Claire zdawało się, że wie, dlaczego Amy siedząca na uboczu ze skrzyconą kostką jest taka nieszczęśliwa.

Była zazdrosna o Jacka. Mogła to zrozumieć. Przez długi czas żyły tylko dla siebie. Upojone wolnością marzyły o nowym, ekscytującym życiu z dala od ciotki Normy. Jack się nie mylił. Amy nie była wszystkim, co miała Claire, ale ona była wszystkim dla Amy.

Przygnębienie młodszej siostry można było zauważyć już tamtej nocy, kiedy zdarzył się wypadek. Okazało się, że Claire była u Jacka. Rzeczy pomiędzy nią i Jackiem zaszły tak daleko, że musi to być oczywiste dla wszystkich. Pani Hawthorn nawet nie była zaskoczona, kiedy Claire odebrała telefon.

„Amy musi się czuć bardzo zagrożona” — rozmyślała Claire, składając głęboki dworski ukłon. Jej szaty i korona świeciły oślepiającym blaskiem. Była ubrana w piękną aksamitną suknię w kolorze soboli, z czarno-białymi rękawami. Na krecie spoczywały brązowe „klejnoty”, sztywna koronka miała wycięcia w kształcie serduszek.

Amy sama to wszystko uszyła, od pierwszej fastrygi po wykończenie rękawiczek. Rozpoczęła ten kostium na trzy dni przed wypadkiem, a skończyła wczesnym rankiem dnia dzisiejszego, to jest dwa dni po tamtym wydarzeniu. Zazwyczaj, pracując nad nowymi projektami, była radosna i ożywiona, ale od momentu wypadku stała się posępna i małomówna. Zupełnie, jak gdyby zamieniły się z siostrą charakterami.

Claire raz jeszcze na nią spojrzała. Studiowała jakąś książkę. Była blada i wyglądała na zmęczoną. Od tamtej pory czytała prawie bez przerwy.

„Zamknęła się bardzo” — pomyślała Claire. Cóż, wkrótce odjadą i wszystko wróci do normy.

Jej serce zakołatało, ale stanowczo pohamowała panikę,

odsuwając od siebie myśl wyjazdu. „Jack, och, Jack! Jak ja to zniosę bez ciebie? — zapłakała skrycie. — Jak będę mogła żyć.”

— Niech za naszego panowania zawsze będzie Maj! — obwieścił król, opuszczając podium, na którym stał mieniący się w blasku sierpniowego słońca tron. — Niech nasi poddani żyją w radosnej harmonii!

— Hurra! — Claire wraz z innymi wznosiła okrzyki radości, powstrzymując łzy.

„Oto życie, które wybrałam” — mówiła sobie. Tego chciała. Pragnęła podróżować, by nigdy nie zostawać w jednym miejscu.

„Chcesz być bezpieczna — oskarżał ją wewnętrzny głos.

— Nie chcesz, by ktoś cię kiedyś znowu skrzywdził. To nie życie. To bajka, jak powiedział Jack. Przewidujesz to, co nieuchronne. Amy nie będzie cię zawsze potrzebować.”

— Ale potrzebuje mnie teraz — wypowiedziała głośniej.

— Niech miłość i radość przewodzą naszemu świętu — dodał król. — Cieszymy się łaskami szczodrego Bachusa i uśmiechem Wenus!

— Hurra!

— Niechaj rozpocznie się zabawa! — rozkazał Jego Królewska Wysokość.

Claire dołączyła do innych, stając w kręgu wokół ozdobnego słupa. Prześliznęła się spojrzeniem po zbolącej twarzy siostry. Kiedy ta uświadomiła sobie, że Claire ją obserwuje, rozchmurzyła się i pomachała.

„Moja siostrzyczka — pomyślała z czułością. — Moja kochana, mała siostrzyczka. Tak bardzo się stara.”

Do wysokiego słupa udekorowanego girlandami kwiatów przywiązane były kolorowe wstęgi. Claire chwyciła jedną, stając przodem do swojego partnera, Starego Tima Łatacza. Na ubranie miał on nałożony duży skórzany fartuch. Ukłonili się sobie. Zaczęto grać na bębnie i fujarce. Rozpoczęli majowy taniec.

Ocierała się ramionami o pozostałych, jej przyjaciół i kompanów w ciągu ostatniego cudownego roku. W prawo, w lewo, w prawo.

Krzyżowali wstęgi do momentu, dopóki wszystkie nie oplotły się wokół słupa. Keith i Sue, Stary Tim, Sir Goodwrench ze swoją żoną, właściciele Merlina. Znane twarze cygańskiej rodziny rozmazały się. Tak to jest moje życie, powiedziała sobie stanowczo, powoli się odprężając w kojącym rytmie tańca. Poradzę sobie bez mego.

I wtedy zobaczyła Jacka. Stał w tłumie wraz z innymi.

— Och! — wyjąkała, wpadając na osobę, którą właśnie miała ominąć. — Przepraszam — wyszeptła, znów wpadając na kogoś.

Wianek spadł jej z głowy. Chwyliła go niezgrabnie. Samo jego spojrzenie peszyło ją. Czuła się jak złapana w pułapkę, w którą chciała się dać złapać, jak jeleń w lesie bojący się koni i jeźdźców.

Chwała Bogu, taniec się skończył. Ukłoniła się Timo-wi, który spytał:

— Czy nie jesteś chora?

— Nie, dobry Łataczu, to ten upał.

— Oj tak, piekło jak w Hadesie. Radością będzie wyjechać na północ.

— O tak.

Tancerze rozeszli się, by powrócić do swoich straganów. Zniknęli w tłumie gości, w którym łatwo się było skryć przed Jackiem.

Usiadła obok Amy.

— A więc, siostrzyczko, jak minął dzień? Amy westchnęła.

— Dzięki. Zobacz, oto zbliża się Lord Petit SIRRACH z Merlinem.

— W samą porę.

Nadeszła ich kolej na pilnowanie Merlina. Pozowały turystom, którzy, za zrobienie zdjęcia płacili dolara. W czasie ich zmiany ktoś inny pilnował straganu

Lord P.S. prowadził kozę na sznurku, odpychając zwierzę, które dobierało się do jego welwetowej peleryny.

— Niech cię licho porwie ty nieokrzeszańcu! Ty rzezimieszku!

— Co więcej, milordzie, on jest wstrętnym żarłokiem — dodała Amy, biorąc sznurek od Petita — ale przysięgam, że sumiennie się nim zaopiekujemy.

— Ufam, że tak się stanie, moje panny — odrzekł. Uśmiechnął się.

— O proszę, milord Jack! Cóż za cudowny dzień, czyż nie? Twoja pani czeka. — Cmoknął oddalając się.

Amy spojrzała na siostrę.

— Jesteś jego panią? — spytała, kiedy Jack ciągle jeszcze był zbyt daleko, by usłyszeć.

— Oczywiście, że nie. — Zaśmiała się nerwowo. — Chciałam się tylko zabawić, tak jak mi radziłaś.

Amy zachowała kamienną twarz. Trąciła mały dzwoneczek na szyi Merlina, pogrążając nim, kiedy wkładała kozie wianek.

— Dałabym ćwierć pensa za ujawnienie twoich myśli

— wyszeptowała Claire, dotykając jej dłoni.

— Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjedziemy — odpowiedziała szybko. — Cieszę się, że jedziemy wcześniej.

— Och, nie wiedziałem, że ci się tu podoba! — Claire miała nadzieję, że ukryła zaskoczenie i ból, wypowiadając te słowa.

Amy wzruszyła ramionami.

— Ojej, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o to, że... — Podniosła smutny wzrok.

— Kochanie, co się stało? — Claire pochyliła się. — Czy coś nie tak? Skrzywdziłam cię?

Amy zaczerpnęła powietrza.

— Cunky, naprawdę chcę jechać...

— Cześć. — Usłyszały za sobą głos Jacka.

— Hej — odpowiedziała Amy. Claire milczała. Ukucnął koło Merlina, drapiąc go w skórę przy rogu.

— Jak się macie?

Amy posłała mu wdzięczny uśmiech.

— Wyśmienicie, a ty?

— Całkiem znośnie. Hej, Merlin! Spójrz, co przyniosłem. — Wsadził rękę do kieszeni.

— Tylko bez słodczy.

Wyjął czerwone jabłko. Kozą rzuciła się na nie, zagłębiając ostre, małe ząbki w błyszczącej skórcie.

— Nie widziałem was od wypadku — zauważył, patrząc na Claire.

— Nie wiń nas. Miałyśmy dużo pracy.  
— Czy jest coś, co mogłoby was zwabić do mnie?  
— Obawiam się, że jabłka nie wystarczą — zariposto-wała Amy.  
Jack nie spuszczał wzroku z Claire. Chciał ją wybadać. Czuła intensywność tego spojrzenia, nawet kiedy patrzyła w inną stronę.  
— Och, mam mnóstwo innych rzeczy oprócz jabłek —  
odpowiedział.  
— Nie sądzę, by jakakolwiek inteligentna kobieta mogłaby mnie spławić.  
— Kurczę, masz rację. To byłoby niepojęte. — Amy zamrugła oczami. — Prawda Claire?  
Oboje na nią spojrzeli. Amy śmiejąc się, a Jack maskując uśmiechem ból. Przełknęła ślinę.  
— Nie wiem, jak można by było cię spławić — wyszeptała.  
Spoważniał.  
— Miło mi to słyszeć.  
„Ale ja to będę musiała zrobić — dodała w myślach. — Och, kochany, muszę!”

## Rozdział ósmy

Claire i Amy pozowały z Merlinem. Jack rozmawiał z nimi. Dla Claire było to niczym łyk wody po dwóch dniach spędzonych na pustyni. Była go tak spragniona, a ta krótka godzina, przez którą był przy niej, nie wystarczała, by ugasić pragnienie. Patrzyła, jak gawędził i żartował z Amy. Widziała jego sąsiadów, którzy przyszli na jarmark. Wszyscy go lubili. Był ujmujący i wydawało się, że świetnie się we wszystkim orientuje. Przyjemnie było go obserwować, oglądać słońce, rzucające blask na jego włosy, czuć kipiącą w nim energię. Był tak pełen życia, że przekazywał to znajdującym się wokół osobom, zwłaszcza jej.

Wtedy pojawiła się Jessie Reynolds. Najbardziej uderzającą rzeczą była obfitość okalających małą, trójkątną twarz włosów. Miała zielone, przeszywające spojrzenie. Ubrana w obcisłe dzinsy, pastelową koszulę i buty ze skóry krokodyla była typową kowbojską dziewczyną. Kiedy podeszła do Jacka i stanowczym ruchem położyła mu na ramieniu dłoń, jakiś turysta zrobił jej zdjęcie.

— To tu się ukrywałeś! — zawołała. Miała chrapliwy prawie męski głos. Claire złapała się na tym, że ją do siebie porównywała. Jessie, bardziej przyziemna i zmysłowa była zdecydowanie zbliżona typem do Jacka.

Jack przedstawił je sobie.

— Jess jest właścicielką miniaturowych koni. — Mruknął do niej.  
— Weszliśmy na twój teren.

— Tych malutkich! — krzyknęła Amy. — Och, uwielbiam je! Są takie rozkoszne!

Jessie zareagowała śmiechem na entuzjazm Amy.

— Fajnie, że tak ci się podobają. Przyjęłabyś ode mnie jednego? Masz do wyboru ogromną ilość.

— Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

— Nawet nie miałybyśmy go gdzie trzymać — wtrąciła Claire.

— Jak najmniej z sobą wozimy — wyjaśniła Amy.



„Tak — dodała w myśli Claire — zostawiamy nawet po drodze nasze serca, jeśli za bardzo nam ciążyą.” Jessie zwróciła się w stronę Jacka.

— Wpadłbyś kiedyś na obiad. Zrobię twoją ulubioną szynkę.

Claire zaczerwieniła się z zazdrości. Wcale by za nią nie tęsknił, pomyślała rozgorączkowana. Nie wygląda na to, że był samotny przed jej przyjazdem.

— To by było miłe — odparł wymijająco Jack. Jessie od niechcienia zakreślała na jego dłoni duże koła.

— Pewnie jej ostatnio nie miałeś, to znaczy szynki. — Uśmiechnęła się, spoglądając na Claire. — Doskonale gotuję.

— Claire też — wtrąciła Amy, posyłając jej słodki uśmiech. — Tak bardzo chciałabym jeszcze raz zobaczyć te małe koniki!

Jessie wzruszyła ramionami.

— Czemu by nie? — Jej zaproszenie najwyraźniej dotyczyło także Jacka.

— Musimy zastąpić tych, którzy pracują na naszym straganie — przypomniała siostrze Claire.

— O jasny gwint! Masz rację — odparła zawiedziona Amy.

— Pomogę ci — zainteresował Jack. — Idź z Jessie, Amy.

— Dzięki! — Uśmiechnęła się do właścicielki małych toni. — Tylko się przebiorę, dobra?

Jessie zmierzyła wzrokiem Jacka.

— No dobra — powiedziała. Śmiejąc się i potrząsając głową, lekko uderzyła go pięścią. — Amy, spotkamy się za kilka minut przy wyjściu. — Westchnęła dobrodusznie. — Cóż Youngblood, jeszcze się spotkamy.

— Bywaj, Jess. — Schylił się, całując ją w policzek. Kiedy odchodziła, zegnały ją pełne podziwu spojrzenia.

Claire studiowała jej oddalającą się sylwetkę, zastanawiając się, kim była dla Jacka. Gdyby byli kiedyś z sobą w łóżku...

— To dobra znajoma — powiedział Jack.

— To jej raczej nie wystarcza — odrzekła Claire.

— Poprawka: me wystarczało. Dała sobie spokój. Nie zauważyłaś

tego?

— Ja...

— Panno Claire, już wróciłyśmy — przeszkodził jej jakiś głos z tyłu. To był sir Goodwrench z żoną. — Popilnujemy jednoroźca.

— Jak pan sobie życzy — odrzekła kłaniając się. Spojrzała na Jacka. — Naprawdę chcesz mi pomóc?

— Jasne.

Zabłysnęły jej oczy. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. — Więc musimy się pośpieszyć.

— Jak pani sobie życzy. — Złożył ukłon, którego mógłby pozazdrościć sam Petit Sirrah. Potem wziął ją za rękę i skierowali się w stronę budek.

Zatrzymała się. — O nie, mój panie. Najpierw musisz się przebrać.

— He?

— Chodź ze mną do naszego wozu — rozkazała. — Musisz odpowiednio wyglądać.

Pozwolił się zaprowadzić. Kiedy otwierała drzwi, stanął na progu i po chwili milczenia rzekł czule:

— Stęskniłem się za tobą. Nie patrzyła w jego stronę.

— Ja... też.

— To dlaczego mnie unikałaś? Przełykając ślinę, rozcierała nadgarstek.

— Nie pytaj, proszę. Za pięć dni wyjadę. Poprzestańmy na tym.

— W żadnym wypadku.

— Jack, Amy... — Westchnęła. — Amy czuje się przez ciebie zagrożona. Muszę odzyskać jej zaufanie.

— No tak! Najlepszym sposobem na to będzie zameczyć ją swoją troskliwością — odciął się. — Claire, ona już jest dorosła. Możesz przestać się o nią martwić.

Walczyła ze swoim gniewem. Nie mógł tego zrozumieć. Wyrósł w atmosferze bezpieczeństwa i szczęścia. Nie wiedział, co znaczy mieć za sobą takie dzieciństwo, jak Amy.

Nie chciał się stawiać na jej miejscu, był niecierpliwy, nie chciał zrozumieć, a jeszcze tego brakowało, żeby...

— Mam dzisiaj benefis — rzekł Jack, zmieniając temat. — Chciałbym, żebyś poszła ze mną. — Zawahała się. — Hawthornowie mają zamiar was poprosić, abyście u nich przenocowały, więc Amy miałyby gdzie zostać. — Odgarnął jej włosy z czoła. — Proszę, zrób to dla mnie.

Och, jak bardzo chciała, ale wiedziała, że lepiej tego nie robić.

— Idź z Jessie. Na pewno by miała ochotę. Uśmiechnął się.

— Widzę, że jesteś zazdrosna. To straszne.

— Nie jestem!

— Ach ty! Nie zaczynaj ze mną. — Zaśmiał się, całując ją w nos, kiedy próbowała odsunąć głowę. — Krew cię ze złości zalewa, kiedy myślisz o nas. A co? Może nie?

— Niezupełnie.

— Claire, Jessie to świetna babka. Wie, kiedy się wycofać.

— Wycofać? Za pięć dni cię odzyska i...

Wyskoczyła Amy ubrana w dżinsową spódnicę i muślinową bluzkę. Kręcone włosy wyglądały jak oświetlone słońcem chmurki. Do kul przywiązała dla ozdoby błękitne i białe wstążki.

— No to lecę! — oznajmiła. — jak wyglądam?

— Fantastycznie, kochana — powiedziała Claire.

— Hawthornowie chcą cię zaprosić na obiad — powiedział Jack. — Proszą też Claire, ale chciałbym, żeby wyszła gdzieś ze mną.

Claire posłała mu znaczące spojrzenie, które zignorował.

Obserwował Amy, próbując gestami do tego samego nakłonić jej siostrę.

Na twarzy Amy malowały się przeróżne uczucia, zamyślenie, smutek i podniecenie, wszystko na raz.

— Skorzystam z przyjemnością.

— Pójść z tobą? — spytała Claire.

Zanim odpowiedziała przyjrzała się jej uważnie.

— Nie, w porządku. Idź z Jackiem.

— Jeśli byś raczej wołała...

— Nie — odpowiedziała stanowczo. — Tak będzie lepiej. To znaczy... fajnie. — Uśmiechnęła się do siostry. — Muszę już lecieć.

Jessie czeka.

Popędziła najszybciej jak mogła. Kiedy Claire przyglądała się jej, Jack znowu pocałował ją w nos.

— Wszystko ustalone. Idziesz ze mną.

„Nie powinnam, nie powinnam — powtarzała sobie.

— To nie... nie co? Claire van Teiler? Niemądre? Niebezpieczne?"

Podniosła głowę.

— Dobrze, pójdę. — Zawadiacko unosząc podbródek, poklepała się po udach. — Pod jednym warunkiem.

Zmiał widząc, że się zgadza.

— Wymień go, kochanie.

— Ubierzesz się stosownie na jarmark. Podejrzliwie zmrużył oczy.

— Co?

— Zobaczymy. — Uśmiechnęła się do niego.

— Jesteś gotów? — spytała Claire, opierając się o wóz.

— To nie ma sensu. Wychodzę — odparł rozdrażniony.

— Nie.

— Więc będę sobie musiała znaleźć kogoś innego do pomocy.

— Przykro mi, ale chyba tak — zamamrotał. — Faceci nie mogą nosić takich rzeczy.

— Nieprawda — odparowała Claire — a jeśli ja będę sobie musiała znaleźć kogoś innego, to ty też.

— Claire!

— Właśnie tak, Jack.

— Dlaczego mi to robisz? — jęknął. Staną się pośmiewiskiem całego Julian.

Nie wiedziała, dlaczego to robi. Skryte zamiłowanie do żartów właśnie zaczęło się objawiać. Odczuwała niepohamowaną wesołość, drażniąc się z nim w ten sposób. Wprost nie mogła się powstrzymać. Przynajmniej łagodziło to myśl o rozstaniu, odsuwało moment, w którym wypowiedziane zostaną słowa pożegnania. A poza tym nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy jego wspaniałe uda obciążone czarną materią.

— Wychodź, wyłaź, gdziekolwiek jesteś! — Zawołała śpiewnie. —

**Nie możemy dłużej zwlekać!**

— **Do cholery! Nie wyjdę!**

— **Więc ja też nie, mój drogi.**

— **Claire!**

— **Jack! Zapanowała cisza.**

— **I co, nie ustąpisz mi? Postaw się na moim miejscu. Dorosły facet nie może się tak pokazać.**

— **Wobec tego myślę, że Jessie będzie się świetnie bawić na benefisie — odpaliła.**

— **No dobra, do diabła z tym! — Jack otworzył gwałtownie drzwi wozu.**

**Zamarła z wrażenia, kiedy zeskoczył i znalazł się obok niej. Wyglądał oszałamiająco.**

— **Och! — westchnęła, przyglądając mu się. Wyglądał jak dworzanin żywcem z epoki elżbietańskiej. Nie mogła uwierzyć, że był facetem z dwudziestego wieku, kowbojem noszącym zazwyczaj stare dzinsy i zwykłe bawełniane podkoszulki. Kiedy przeglądały z siostrą renesansowe portrety męskie, Amy postanowiła spróbować swoich sił, szyjąc męski kostium, który tak cudownie leżał na Jacku. Z łatwością wyobraziła sobie jego sylwetkę na tle pałacu w otoczeniu świty królewskiej, widziała go przechadzającego się po sali obrad, kłócącego się z królową Elżbietą.**

— **Och, wyglądasz... wyglądasz precudownie!**

— **Strasznie głupio się czuję — zaczął utyskiwać, poprawiając ciężki aksamitny płaszcz w kolorze brązowym. Podszyty skórą i przez to cięższy, podkreślał imponującą szerokość jego ramion. Jack górował nad nią niczym potężny Szkot przygnany do Londynu przez gwałtowne północne wiatry na rozkaz swojej zwierzchniczki, Marii, królowej Szkotów, by pertraktować ze śmiertelnym wrogiem, angielską monarchinią.**

— **Jeśli Karen mnie zobaczy w takim czymś, to na pewno mi nie przepuści — rzekł, poprawiając kubrak zrobiony ze zbyt kowbojowej, brązowożłotej materii, starannie ozdobiony wstążkami. Opinając się na piersi, zaznaczał wysmukłą linę pasa. Falbanki i ozdobne**

świecidełka mocno kontrastowały z jego dumną męskością.

Górna część ciała tworzyła doskonałą trójkąt, dolna uzupełniała ten wizerunek. Krótkie spodnie opinały uda, zaś czarne rajstopy uwidaczniały każdy mięsień nóg. Złota podwiązka na lewej łydce podkreślała piękny kształt kostek i stóp, tak ceniony przez ówczesnych.

— Doprawdy, panie, wyglądasz wyśmienicie — rzekła półgłosem Claire. Stojąc na palcach zawiązywała tasiemki płaszcza. — Schył się, to ułożę dobrze fałdy.

Usłuchał jej z rozpalonymi policzkami. Przytrzymując pod prawym ramieniem połę płaszcza zawiązywała tasiemki kubraka. Ramiona Jacka obleczone były piękną białą materią, haftowaną czarną i złotą nitką. Z trudem się powstrzymywała, by nie przesunąć palcami po wypukłościach bicepsów.

— Och, Jack! — powiedziała. — Wyglądasz wspaniale. Zdjął przyozdobiony białym piórem, czarny filcowy kapelusz.

— Też coś!

— Pamiętaj, panie, że od teraz musimy mówić poprawną angielszczyzną — rzekła. — Gotowy?

Zawahał się.

— Zrób mi dwie przysługi, o pani. Pierwsza to maska. Przystała na to, nie chcąc, by czuł się zbyt skrępowany.

— Załatwione — rzekła. Odetchnął.

— Teraz druga.

— Jaka?

Pocałował ją z całej siły, zmuszając do otwarcia ust. Zamknął ją w uścisku, przyciągając do siebie.

Początkowo broniła się, pomna tego, gdzie się znajdują i kim są — mężczyzna i kobietą lgnącymi do siebie w złym miejscu i w nieodpowiednim czasie. Jack nie skończył pocałunku i nie pozwolił jej tego zrobić, dopóki nie poczuł, że Claire go odwzajemnia. Zarzuciła mu ręce na szyję. Prostując się, podniósł ją. — Tak bardzo cię pragnę, że chętnie w tej chwili wniósłbym cię do wozu — wyszeptał, pozostawiając gorący oddech na jej szyi. — Mógłbym się

z tobą kochać nawet w obecności tysiąca gapiów.

— Jack...

Uściskał ją z całej siły, po czym postawił na ziemi.

— Do roboty — powiedział wesoło. Ledwie łapiąc oddech, przytaknęła:

— A więc, milordzie, do roboty.

— Czuję się jak gnojek na pierwszej randce — powiedział Jack do swojego odbicia w tylnym lusterku wozu.

Po raz dziesięciotysięczny poprawiał włosy. Nie wiadomo, dlaczego właśnie dzisiejszego wieczoru sterczały na wszystkie strony i nic nie mógł z nimi zrobić. Zniżył się nawet do tego, że pozwolił, by Karen przyszła mu na ratunek ze swoją suszarką. Zrezygnowała jednak, mówiąc, że całkiem nieźle" wygląda.

— Hmm — powiedział uruchamiając samochód. Nie mógł się doczekać spotkania. Wtedy zauważył Claire. Stała nie opodal zagrody, w której Nieve i Pajaro skubały trawę.

Zwolnił i zatrzymał samochód. Rozprostowując poły smokingu, wyszedł z samochodu i stanął, nie wierząc własnym oczom.

To była nowa Claire, Claire jakiej nie znał. Nie miała ani książęcych szatek, ani dziecinnej korony z kwiatów. Na jej miejscu stała elegancka, wyrafinowana kobieta, ubrana jak paryżanka. Jej prosta suknia z bladoszarego jedwabiu opadała na pierś zakładkami i spływając do ziemi obciskała biodra i uda. Miała rozcięcie sięgające kolana, co podkreślało jej seksowny charakter. Suknia wybitnie nadawała się do uwodzenia, na wieczór przed rozkoszą nocy z szampanem ochłodzonym w srebrnym wiaderku i dwojgiem ludzi istniejących tylko dla siebie.

Nawet włosy Claire wyglądały inaczej. Były zebrane w gładki kok. Pojedyncze pasemka spływały po karku. Jedyłą jej biżuterią były kolczyki, srebrne koła.

— Claire, jak pięknie — powiedział wreszcie oszołomiony.

Schyliła głowę.

— Nosieś dziś rzeczy z mojego wieku. Pomyślałam, że powinnam ci się za to odwdziaczyć.

— Wyprzedzasz czasy. Bóg nie uczynił jeszcze kobiet tak pięknymi.

Otworzył drzwiczki lotusa i pomógł jej wsiąść. Poczuł skurcz w żołądku, kiedy rozcięcie w sukni odsłoniło opaloną nogę i srebrny pantofel na wysokim obcasie. Wyglądała gustownie i pociągająco. Wybiegł myślą naprzód, wyobrażając sobie magiczną północ, kiedy zdejmie z niej tę suknię i pantofle i będzie się kochał z tą nową Claire.

Wsiadł i zapalił silnik. Gawędzili, dopóki Jack nie wyjechał na autostradę. Tutaj puścił się pędem, jak gdyby galopował na koniu.

Potem, zwracając się do Claire, rzekł:

— Muszę przyznać, że w tej sukni wyglądasz bardzo podniecająco. Czyżbyś mnie chciała uwieść?

Miała długą szyję. Nie zauważył tego wcześniej. W porównaniu z nią głowa wydawała się mała, oczy ogromne.

— Nie, Jack. Wiedziałam, co robię.

Zawrzała w nim krew. Pragnęła go! Poczuł ulgę i rozkosz.

— Ale... — zaczął. Zamknął usta. Był ogromnie zmieszany. Zawsze była taka chłodna, a teraz taka zmiana. Co sprawiło, że znów go zapragnęła? Nie wiedział, ale obawiał się zapytać o to wprost. Mogłaby zmienić zdanie.

— Miałyśmy dziś z Amy miłe popołudnie — rzekła w końcu. — Nie sądzę, by były jeszcze między nami jakieś... nieporozumienia.

— Z mojego powodu?

— Tak. Uścisnął jej dłoń.

— Cieszę się.

Claire usiadła wygodnie.

— Nigdy nie wychodziłam z facetem w smokingu — powiedziała.

— Nigdy? A koncert na promenadzie?

— Nie poszłam. Amy miała grypę, więc musiałam zostać w domu.

— Co? Czy ciotka nie mogła... ?

Dotykając palcami do jego ust, uśmiechnęła się słabo.

— Jack, nie musisz tego wiedzieć. Nie psujmy tego wieczoru. To benefis muzyczny, czyż nie?



— Tak. Symfoniczny. Zagra kwartet muzyki dawnej. Zaklaskała z radością. Rozpoznał w niej znaną mu na co dzień Claire.

— Och, jak cudownie, jak dobrze, że mnie zaprosiłeś!

Uśmiechnął się krzywo. Wszystkie jego intencje względem Claire można by określić mianem „dobrych”, co więcej, były one śmiertelnie poważne.

— Nigdy przedtem nie jechałam lotusem — rzekła, dotykając tablicy rozdzielczej.

Przyśpieszył.

— Widać obydwoje doświadczyliśmy dzisiaj czegoś nowego. Nigdy przedtem nie miałem na sobie renesansowego kostiumu. — Mrużąc oczy, dodał: — I przy odrobinie szczęścia już nigdy go nie włożę.

Szturchnęła go żartobliwie.

— Och, przestań! Podobało ci się, że kobiety zwracały na ciebie taką uwagę. Poza tym i tak nikt cię nie rozpoznał.

Machnął ręką.

— Tak czy owak kobiety zwracają na mnie uwagę — odrzekł niewinnie.

— No proszę, jaki skromniś!

— Ty zwróciłaś.

— Bo jestem spostrzegawcza.

— Ja też. — Wiedział, że go kocha. Wiedział to, do cholery! Więc dlaczego nie zostanie? Dlaczego musi uciekać?

— Co masz na myśli? — spytała podejrzliwie. Westchnął, powstrzymując się przed wypowiedzeniem myśli zaprzatających mu umysł. „Nie próbuj wywierać na niej presji — strofował siebie. — Nie rozpoczynaj kłótni po to, by wszystko zniszczyć.”

— Nic, Claire. — Uśmiechnął się. — Poczekaj, aż zobaczysz dom, do którego jedziemy. Cudownie stamtąd widać ocean.

Istotnie, widok na ocean był cudowny. Piękno okazałej rezydencji stojącej na skalistym brzegu La Jolla, w jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic San Diego, przytłoczyło Claire. Myślała, że jadą na bankiet do hotelu, tymczasem zatrzymali się tutaj. Z

początku wyszukane kreacje kobiet onieśmiały ją i poczuła się nie na miejscu. One jednak zbierały się wokół, próbując się dowiedzieć czym dziełem była jej suknia. Nie powiedziała nikomu, że zaprojektowała i uszyła ją jej młodsza siostra.

Mężczyźni prześcigali się w zalotach. Zebrane wokół towarzystwo śledziło każdy jej krok. Mijając sofę w stylu Ludwika XIV, spotkała Jacka. Czekał na nią z dwoma kryształowymi szklankami szampana. Światło ozdobnych kandelabrow czyniło, że złote obwódki jego źrenic podobne były do tańczących płomieni. Claire poczuła przyływ dumy, bo Jack był najprzystojniejszym mężczyzną w salonie.

— Jesteś tutaj najpiękniejsza — powiedział dokładnie to, co ona myślała o nim. Jack wstał. Claire zagłębiła się w miękkiej sofie. Wręczył jej szampana i stuknęli się szklaneczkami.

— Za zdrowie Claire, która zasługuje na życie w luksusie.

Uśmiechnęła się kwaśno, myśląc o małym wozie, gulaszach z wołowiny i chili. Tak, miło by było żyć w takim luksusie.

Ale tak nie jest. Ocknęła się. To był tylko sen kopciuszka. Jej miejsce było gdzie indziej.

— Jack Youngblood! Czuję się zaszczycona! — wykrzyknęła starsza pani oddziana w ozdobny jedwabny kaftan. Jej szyję oplątywał fantazyjnie sznur szmaragdów. — Nigdy nie myślałam, że zobaczę cię na jednym z moich małych soirees! A oto dama, o której szepczą wszyscy mężczyźni! — dodała, chwytając Claire za rękę. — To się nosi w tym sezonie w Paryżu? Bardzo gustowne.

— Victorine Schwarzkopf, Claire van Teiler.

— Claire, jestem po prostu oczarowana — powiedziała ciepło. — Kobieta, której udało się wyciągnąć Jacka na benefis, musi być skarbem. — Mruknęła do Jacka. — Dla podkreślenia pozwól mi dodać, że dzięki tobie możemy sobie w tym sezonie pozwolić na Jamesa Levine'a.

— Claire też się zna na muzyce — stwierdził Jack. — Gra na lutni.

— Och, to cudowne, moja droga! Po obiedzie musisz się przyłączyć do kwartetu.

Claire zbladła.

— Och nie! Nie mogłabym... ja...

— Nonsens moja droga, nalegam — odrzekła z radością Victorine.

— Mes cheres, jest tutaj książę. Muszę sprawić, by czuł się jak u siebie. Claire, czekam kiedy zagrasz. — Musnęła policzek Claire, ucisnęła Jacka i odfrunęła.

Claire odprowadziła ją wzrokiem, potem spojrzała na Jacka.

Uniósł brwi, pociągając szampana.

— Ile bym dał za to, by wiedzieć, o czym myślisz. Oblizła wargi.

— Czyżbyś był protektorem sztuki? Nie znałam cię od tej strony.

— No, nie przesadzajmy. — Kiedy ponownie usiedli, przeciągnął dłonią po jedwabnej materii jej sukni. — Ja też nie znałem cię od tej strony. — Podniósł szklaneczkę.

Przyglądał się jej patrząc przez jasny przejrzysty płyn. — Musimy się jeszcze o sobie wiele dowiedzieć.

A zostało na to tak mało czasu, pomyślała, spuszczać wzrok.

Przeciągnęła palcem po krawędzi szklanki.

Zabrzmiał chiński gong, napełniając pokój łagodnym dźwiękiem.

Jack zachichotał.

— To u Vickie sygnał, że czas na obiad. Chodźmy.

Poprowadził ją wzduż zabytkowych, malowanych zasłon i aksamitnych draperii udekorowanych misternie szczypankami, do dużej ośmiokątnej sali wyłożonej lustrami.

— Och, mój... — Claire dała upust swojemu zachwytowi.

Gałęzie pomalowanych na biało i usianych światełkami drzewek rozciągały się nad czarnymi ośmiokątnymi stołami, które zastawione były tysiącem chińskich dań. Obok każdego stołu stał mężczyzna lub kobieta ubrani w szkarłatne stroje mandarynów.

Claire spojrzała na Jacka.

— Od czego zaczynamy?

Kobieta przy najbliższym stole zwróciła głowę w ich stronę.

— Powiedzcie mi państwo, na które z moich dań macie ochotę, a chętnie wam objaśnię, co to za danie.

Jack objął Claire.

— I co kochanie? Które ci się najbardziej podoba? Co to jest?

— To kurczak Jung pao, proszę pana. Bardzo pikantny. Uścisnął Claire, ukazując zęby w uśmiechu.

— Co o tym powiesz, kochanie? Dorównujesz mu pikanterią.

— Z chęcią spróbuję — odrzekła.

Błysk sztucznego światła oślepił ich na chwilę. Jack potarł nos, mrużąc oczy.

— Popisy towarzyskie, jeden z powodów, dla których nie przychodzi zbyt często na takie przyjęcia.

Kelnerka nałożyła po porcji kurczaka na dwa wielobarwne talerze i czekała na dalsze rozkazy.

— Może trochę ryżu z szafranem? — zaproponowała.

— Tak, proszę — odpowiedziała Claire. Zwróciła się do Jacka: — A inne powody?

— Lotus trochę nawala. Co powiesz na te zawijańce z jajek?

Kelnerka przytaknęła.

— Są nadziewane małymi węgorzami. Przybrał odpowiednią minę.

— No, Claire?

— Może nie. Dziękuję — odmówiła nieśmiało.

— Myślałem, że wy z epoki elżbietańskiej zajadacie się takimi rzeczami.

— Nie ja.

— Na stole po prawej stronie są dania z wieprzowiny — poinformowała kobieta. — Są jeszcze trzy stoły z wołowiną i drugi z kurczakami. Oczywiście mamy także kaczkę Peking.

— Dziękujemy. — Jack zabrał ich talerze. — Poszukamy czegoś mniej egzotycznego.

Claire szła za nim wśród stołów.

— Chciałabym się dowiedzieć jednej rzeczy.

— Tylko jednej, moja droga?

— Skoro ten benefis ma przynieść zyski, to dlaczego wydali tyle na jedzenie?

Zaśmiał się.

— Dziwaczne, czyż nie? To Victorine zajęła się jedzeniem i pićm. Z całą pewnością zamówiła specjalistę, który się zajął dekoracją. To bardzo modne w tych sferach, ale odpowiadając na twoje pytanie, tych ludzi musi skusić coś oryginalnego, wtedy przyjdą. Mają tyle zaproszeń, że nie wiedzą, co z nimi robić. Niektórzy przychodzą, by popatrzeć i być widzianym.

— Dlaczego tu jesteśmy?

— Żeby się pokazać. Nie każdego wieczoru zdarza mi się mieć u boku tak piękną kobietę.

Skłoniła głowę, przyjmując jego komplement.

— Czy ty wydajesz takie uczyty? Potrząsnął ramionami.

— Od czasu do czasu coś na kształt zabawy z potrawami meksykańskimi. Wybaczą mi, bo jestem kawalerem.

Kącikiem oka dostrzegła zazdrosne spojrzenia innych kobiet.

— Hej, ponuro wyglądasz — powiedział Jack. Na ich talerze nakładano kawałki wołowiny i małe cebulki. — Czy coś nie tak?

— Ależ nie. Po prostu myślałam.

— Więc przestań. Ma być wesoło. — Uśmiechnął się pogodnie. — Chyba dobrze się bawisz, czyż nie?

— Tak, oczywiście — zapewniła go. — A ty?

— Zawsze, kiedy jestem z tobą, świetnie się bawię.

— Zamrugął oczami. Gdy się uśmiechnęła, na jego twarzy pojawił się także uśmiech szczęścia. — Teraz jest o wiele lepiej. Zjedźmy coś. Te talerze są takie ciężkie, że wkrótce połamię ręce.

Jack znalazł ich wizytówki z imionami wypisanymi na porcelanowych kórkach na serwetki. Odsunął krzesło Claire.

Poprosił kelnera o wino, które wybrali, i spojrział na inne wizytówki.

— O, to dobrze. Mamy Kima Fergusona i państwo DeNollys — powiedział. — Kim jest straszną gadułą, a Patrick i Danielle grają w duecie muzycznym. — Pogłaskał jej dłoń.

— Polubisz ich.

Rzeczywiście. Smakowało jej wszystko — od homara w sosie z ostryg aż do kaczki i chilijskiego wina — ku uciesze towarzyszy obiadu, którzy najwyraźniej wielbili Jacka i byli wdzięczni, że z nią

przyjechał.

— Powinnaś go zmusić do częstszego przychodzenia — szepnęła konspiracyjnie Danielle. — Tak pięknie wygląda w smokingu, a twoja suknia jest precudna. Musisz mieć bardzo dobrego projektanta.

— Istotnie — odrzekła Claire, śmiejąc się w duszy z dowcipu.

— Za trzy tygodnie urządzamy przyjęcie przed rozpoczęciem roku szkolnego — kontynuowała Danielle. — Wiesz, chcemy uczcić koniec wakacji naszych maluchów.

— Zaśmiała się. — Teraz za nimi tęsknię, ale tak trudno pracować nad muzyką kiedy ciągle się płaczą pod nogami. Przyjdź, proszę, i weź z sobą Jacka. Claire przełknęła ślinę.

— Danielle, przyszedłabym z chęcią, — ale mnie nie...

— Przyjdziemy — wtrącił Jack, całując Claire w policzek.

— Och, to dobrze! — uradowała się. — Więc uzgodnione.

Danielle odwróciła się, by porozmawiać z mężem, Ki-mem, i jego narzeczoną, piękną Francuzką, która przysięgała, że widziała suknię Claire w paryskim salonie Diora. Kiedy tych czworo rozmawiało, Claire trąciła Jacka łokciem i szepnęła:

— Dlaczego jej to powiedziałaś? Przecież wiesz, że mnie tam nie będzie.

Uśmiechnął się.

— Tak było najprościej. Na przyjęciu przeproszę ich w twoim imieniu.

— Och! — odrzekła zmieszana. Zabolało ją to, że myślał o pójściu bez niej.

Ale czegoż właściwie oczekiwała? Że po jej wyjeździe przestanie żyć, że zamknie się w swoim rancho i będzie żył jak pustelnik?

Jasne, że nie. Jack był najbardziej pełen życia ze wszystkich facetów, których znała. Wyobrażała go sobie wywiązującego się ze wszystkich zobowiązań towarzyskich i świetnie się bawiącego niezależnie od tego, czy jest na rodeo, czy w operze. Widziała go w otoczeniu kobiet, z którymi flirtuje, sypia...

Widziała go z Jessie Reynolds.

— Claire? Kelner pyta, czy chcesz jeszcze wina — powiedział Jack, przerywając jej rozmyślenia.

— Tak proszę. — Wypiła szybko, mając nadzieję, że ukozi ból.

Smutek nie opuszczał jej jednak, nawet kiedy wszyscy przeszli do drugiej sali, by posłuchać renesansowej muzyki. Jack objął ją ramieniem. Siedzieli w milczeniu, słuchając schakespearowskich pieśni. Zamknęła oczy. Poczła silny ból w okolicy serca.

Zagrała wraz z kwartetem. Jej muzyka przesycona była melancholią. Kiedy zaintonowała smutną balladę przy akompaniamencie słodkich tonów lutni, kilka kobiet zaczęło pochlipywać.

Król pokochał biedne dziewczę,  
Bez zmayı była ona,  
Lecz zbyt niskiego urodzenia jak dla pana ziem,  
Biedna dziewczyna żebraczka,  
Biedny możny król...

Kiedy grała, do Jacka przysiadła się wysoka blondyna, ale on nie zwracał na nią uwagi. W napięciu wsłuchiwał się w słowa ballady.

„Wszystkie moje pieśni są dla ciebie — mówiła w sercu, grając na lutni. — Niekiedy się smuciliśmy, niekiedy byliśmy szczęśliwi. Zabiorę z sobą pamięć tych chwil gdziekolwiek się znajdę. Otworzyłeś mnie na świat, Jack. Znów zaczynam wierzyć, oczekiwać, że życie będzie lepsze. Zawsze będę ci za to wdzięczna. — Ponownie uderzyła w struny. — Zawsze cię będę kochać.”

Pieśń się skończyła. Goście na czele z księciem saudyjskim prosili o kolejną. Claire, ciągle jeszcze przeżywająca balladę zagrała pawanę, do której nie było słów. Wreszcie koncertmistrz ucisnął jej dłoń podniecony i powiedział:

— Pani pięknie gra. Może pani zechce przyłączyć się do naszej grupy?

— Przykro mi, ale to niemożliwe — szepnęła, wręczając mu lutnię. — W każdym razie dziękuję za propozycję.

— Cóż, jeśliby pani zmieniła zdanie, proszę o telefon. — Wręczył jej wizytówkę.

W pierwszej chwili chciała mu ją zwrócić, ale podziękowała tylko i włożyła do koperty.

Wyjechali niedługo po północy. Kiedy wyglądała przez okno lotusa, Jack przypatrywał się pięknym rysom jej twarzy. Była pochłonięta myślami, jak gdyby przygotowując odpowiedzi na jego pytania.

„Boże, mam nadzieję, że zaczyna się wahać — pomyślał nagle. — Mam nadzieję, że ma coraz więcej wątpliwości.”

Dokładał wszelkich starań, by tylko go nie opuściła. Kusił ją, malując najpiękniejszy obraz życia u jej boku. Jeżeliby tylko zapragnęła spokojnego rancha, miałyby je. Jeśli chciałaby błyszczeć w towarzystwie, też by to miała. Jeżeliby go kochała, och, gdyby go tylko kochała...

Milczała przez cały czas podróży. Nie był pewien, czy zdaje sobie sprawę z tego, że stanęli. Kiedy przeszedł na jej stronę, spojrzała mrużąc oczy, jak gdyby przebudziła się z długiego, koszmarnego snu.

— Wejdz do środka — rzekł, wyciągając dłoń. Sprzeciwiła się, ale on chwycił mocno jej rękę. — Claire, nie bądź dziś dla mnie taka chłodna. Nie uciekaj.

Westchnęła głęboko.

— Nie ucieknę, Jack. Jestem tu z tobą. Wydawało się, że to dla niej wielki wysiłek. Zwalczył niepokój i uśmiechnął się, jak gdyby nigdy nic.

— Więc chodź, kochanie.

Ponad nimi świeciły gwiazdy. Weszli do domu. Prowadząc ją do sypialni, Jack nie włączył żadnego światła. Poruszali się w ciemnościach. Księżyc zaszedł i witrażowy sufit nie rzucał blasków.

Rozebrał się przed nią mając nadzieję, że to ją podnieci, ale nie widział w ciemności jej twarzy. Słyszał lekki oddech, czuł zapach róż i zastanawiał się, o czym myśli, co czuje.

Nagi klęknął przed nią i położył jej dłonie na swoich ramionach.

— Claire, najdroższa — wyszeptał — pozwolisz mi cię rozebrać?

— Tak — odpowiedziała szeptem.

— Nie bój się mnie.



— Nie, nie boję się.

Pocałował ją, potem złapał fałdy lśniącego materiału i zdjął przez głowę. Miała na sobie ładną bieliznę. Pod koronką wyczuwał zarys piersi. Chciał kochać się z nią namiętnie, bez opamiętania, ale wiedział, że nie jest gotowa.

— Claire?

— Tak?

Zaśmiał się gardłowo.

— Nic. Po prostu lubię wymawiać twoje imię.

Pocałował ją w przedramię, ramię, zagięcie łokcia. Poczł ogromne napięcie. Musi spowodować, by go pokochała na tyle, żeby zostać. Musi ją kusić i omamić w jakikolwiek sposób, musi być kochankiem, o jakim zawsze marzyła.

Podniosła ręce do włosów i zaczęła wyjmować szpilki. Loki opadały na plecy niczym jedwab. Kiedy skończyła, objęła go za szyję i powiedziała.

— Weź mnie teraz, Jack. Nie mogę już dłużej czekać. Odkrywał jej ciało w zamroczeniu. Słodkie sutki piersi były naprężone, skóra gorąca. Była gotowa.

— Och, moja złota! — jęknął, kładąc ją na łóżku.

— Wącham twoją wodę kolońską — westchnęła — wiem, że jesteś nagi, och, Jack, chcę, żebyś mnie kochał.

— Tak, kochał. — Położył się na niej, zamknął oczy, delektując się chwilą.

Potem ich ciała połączyły się w jedno z desperacją, która go zaskoczyła. Jęczała z rozkoszy, rozdrapując mu paznokciami plecy. Próbował ją zadowolić czcząc jej ciało, sprawiając jej ból przy użyciu całej swej męskiej siły.

Był tak napięty, że nie mógł się skoncentrować. Claire pomogła mu dotykając, pieszcząc, szepcząc słowa miłości. Był zdumiony, zaspokojony.

Claire kołysała się w jego ramionach, przeżywając to spełnienie. Przyczepiona do niego wykrzykiwała jego imię.

Kiedy ochłonęli, Jack położył pod głowy poduszki i przykrył ich

**narzutą, choć ona wolała spoczywać w zagłębieniu jego ramienia.**

**Zapadł w sen. Obudził się później, słysząc, że ktoś się rusza.**

**Przy oknie stała Claire. Popatrzył jak przesuwa ręką po zasłonie, dotykając głową do szyby. Szlochając, przyciskała do piersi jego koszulę.**

**Wypłakała całą duszę. Chciał ją utulić, ale zamknął tylko oczy i zacisnął pięści.**

**„Dobrze — pomyślał, słuchając jej rozdzierającego serce płaczu.  
— Niech zaboli.”**

RS

## Rozdział dziewiąty

Było jeszcze ciemno, kiedy Claire obudziła się na dobre. Przetarła oczy i odeszła od okna. Postanowiła wziąć prysznic. Nie mogła znieść ciężkiej atmosfery, przesyconej smutkiem miłości. Kiedy przemierzała na palcach pokój, poczuła ciepły letni powiew, niosący zapach jabłek, który zmieszał się ze wspomnieniami nocy.

Jack spał, przewracając się niespokojnie z boku na bok. Jego długie rzęsy rzucały cień na policzki. Poruszały się jak skrzydła motyla, kiedy marszczył przez sen brwi. Ostrożnie odgarnęła mu zmierzwione włosy z czoła i złożyła na nim pocałunek. Spojrzała na niego uśmiechając się smutno, i przez głowę przebiegła myśl, że nieważne kto go jeszcze w życiu pokocha, bo nikt nie będzie kochać go bardziej niż ona.

— Mmm — zamruczał, jak gdyby ją zrozumiał. Odsunęła się, spoglądając nań w blasku nowego dnia. Za trzy dni już jej tu nie będzie.

Łazienka wykończona była marmurem i drewnem dębowym. Na białych kafelkach leżały porozrzucane dywaniki. Było tam tak dużo kwiatów, że wyglądała jak dżungla. Na blacie leżał pięknie oprawiony magazyn ukazujący dorodne sylwetki koni z całego świata wraz z adresami właścicieli. Na kilku stronach zamieszczono fotografie ogierów z Rancho Espejo.

Znalazła mydło, szampon i grube, puszyste ręczniki.

Kabina natryskowa była przeszklona. Myjąc się, widziała paprocie i palmy. Ciepła woda przynosiła ulgę oczom zapuchniętym od płaczu i szczypiącym z braku snu.

Ale nic, nie przynosiło ulgi sercu.

Wytarła się i włożyła o wiele za duży szlafrok Jacka. Był przesycony zapachem sosnowej wody kolońskiej. Ścisnęła się mocno paskiem, przesuważąc dłońią po miłym dla ciała welurze w kolorze piasku. Potem suszarką wysuszyła włosy.

Kiedy wróciła do sypialni, ciągle spał. Wyglądał na wyczerpanego

i pomyślała, że wyjdzie, nie budząc go. Wiedziała jednak, że to by mu się nie spodobało, więc gładząc go po ramieniu, wyszeptała:

— Jack, muszę iść.

Natychmiast się obudził. Podpierając się na łokciu przeciągnął dłonią po włosach.

— Mmm — ziewnął i uśmiechnął się do niej. — Dzień dobry, maleńka.

— Dzień dobry.

Otworzył ramiona. Nie zareagowała, więc przyciągnął ją do siebie.

— Rozkosznie wyglądasz owinięta w ten szlafrok i ładnie pachniesz. Brałaś prysznic?

Przytaknęła.

— Uhm, muszę zaraz iść. Potrząsnął głową, ponownie ziewając.

— Śniadanie.

— Zwykle nie jadam... Zmarszczył brwi.

— Śniadanie — nalegał. — Zresztą dziś niedziela. Otwieracie dopiero o dziesiątej. — Łaskocząc ją zarostem w policzek, spytał: — Dobrze się wczoraj bawiłaś? Mam na myśli przyjęcie. — Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

— Tak. Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

— Cały czas organizują jakieś benefisy. Gdybym chciał, mógłbym być na co najmniej jednym tygodniowo.

Przytaknęła, nie bardzo wiedząc, po co jej mówi.

— Ale lotus trochę nawala...

— Mimo wszystko lubię nim jeździć. — Podrapał się po piersi. — Consuelo nie pracuje w niedzielę. Mam nadzieję, że pomożesz mi trochę w kuchni.

— Starczy mi jedna grzanka.

— Bzdura. Nic dziwnego, że schudłaś, jeśli tak się odżywasz.

Ścisnęła się mocniej paskiem. „Czy to takie widoczne?” — pomyślała.

— Jestem spostrzegawczy — rzekł, jak gdyby odpowiadając na jej pytanie. — Wskoczę w dzinsy i zrobię ci świetne, kowbojskie śniadanko.

Była szynka, grzanki, jajka smażone, rumiane mięso i wreszcie naleśniki. Obnażony do pasa, na bosaka, ostentacyjnie przerzucał je na patelni pogwizdując. „Bawolico, bizonico, czy nadejdiesz dzisiaj w nocy.” Krzątał się niczym zawodowy kucharz.

— Przynieś sok kochanie, dobrze? — zawołał, układając na stole plecione podstawki pod naczynia.

— Tak jest, panie. — Otwierając lodówkę poczuła przeszywający ból. Iak było, kiedy była mała. Razem z rodzicami przyrządzali śniadania. Mieli nawet poprzyklejane na lodówce rodzinne zdjęcia, tak jak Jack. Ponieważ jednak przed urodzeniem Amy żadnego z rodziców nie pasjonowały specjalnie sprawy domu, skutki tych niedzielnych śniadań bywały niekiedy, łagodnie mówiąc, opłakane. Jednak pomimo zamieszania wszyscy się świetnie czuli. Amy śpiewała w swoim kojcu, Claire z poważną miną smarowała masłem grzanki, jej ojciec śpiewał piosenki ludowe, których nauczył się w Bułgarii, a mama rozkładała ręcznie haftowane peruwiańskie serwetki.

Zadumała się, patrząc na fotografię Megan w ramionach Jacka. Mogłaby to odzyskać, nie straciła tego bezpowrotnie. Mimo że ciotka Norma nie potrafiła im dać ciepła rodzinnego, Claire mogłaby założyć swoją własną rodzinę. Znała piosenki ludowe, kupiło by się obrusy...

Odpędziła od siebie tę myśl. „Nie, nie mogłabyś odtworzyć przeszłości i wrócić do domu.” To było tak dawno, kiedy była dzieckiem i zanim obrała inną drogę życia.

— Gotowe! — zawołał Jack, sunąc z tacą pełną naleśników. — Już słyszę: „O Chryste, taka sterta, a on jeszcze smaży...”

Uśmiechnęła się słabo. Napełniła sokiem dwie szklanki i postawiła je na stole. Jack rozłożył sztucce.

— No — powiedział, zacierając ręce. Przysunął jej krzesło i czekał do chwili, kiedy przełknie pierwszy kęs.

— Dobrze — pochwaliła. Rozpromieniony zaczął jeść.

— „Tylko jedna grzanka.” No, już dobrze. Możesz mi podać sól? Kiedy to zrobiła, ucałował ją w palce.

— Oto życie, czyż nie?

— Tak, tak mi się wydaje. — Spojrzała na swoje naleśniki i zachichotała rozbawiona. Miały kształt Myszki Miki. Jedno duże koło połączone z dwoma mniejszymi.

— Megan takie lubi. — Maczał swój naleśnik w syropie klonowym.

— Ooo! To ona już je takie rzeczy?

— Nie, ale szósty zmysł wujaszka w tych sprawach robi swoje. — Posmarował grzanek masłem i dżemem pomarańczowym.

— Nie mogę się doczekać chwili, kiedy ją zabiorę do Disneylandu. Oparł łokcie na stole i potrząsnął głową. — Karen każe mi czekać, aż mała skończy trzy lata. Chyba nie wytrzymam. Być może zauważyłaś, że cierpliwość nie jest moją zaletą.

Wypiła łyk kawy.

— Ostatnio byłeś bardzo cierpliwy — powiedziała cichutko.

Przestał jeść i odłożył swojego tosta. Spojrzał czule, pytając:

— Naprawdę, Cunky? Skinęła głową.

— Tak. Jest mi głupio, że...

Zadzwoił telefon. Pomyślała, że pozwoli na włączenie się automatu, ale on podskoczył i rzucając śpiesznie „przepraszam” pobiegł do kuchni.

— Tato! Hej. Wspaniale, Och, to straszne! Tak. Ucałuj ją mocno ode mnie. Do zobaczenia wieczorem.

Odłożył słuchawkę i wrócił do stołu bardzo zadowolony.

— Dzwonił mój ojciec. Przyjadą dziś wieczorem.

— To miło.

— Więc będziemy mieć jedną z tych wieczerzy z pieczenią z różną w ogrodzie, o których wspominałem. Oczywiście, ty i Amy przyjdziecie.

Zawahała się.

— Czy to nie będzie spotkanie rodzinne? To znaczy, nie chciałabym przeszkadzać.

Szturchnął ją lekko wzdychając.

— Claire, czy nie wiesz jeszcze o tym, że w żaden sposób nie

możesz przeszkadzać?

— Cóż, to bardzo mi pochlebne, ale...

— Pochlebne! Nie powiedziałem tego, żeby ci pochlebić na litość Boską! Powiedziałem to, bo... — Westchnął. — Więc myślisz, że byłem cierpliwy? Ale numer!

Dotknęła jego ramienia.

— Jack, proszę. Nie zaczynajmy kłótni. Przytaknął, nalewając sobie kawę.

— Przepraszam.

— Ja też — odpowiedziała wzruszona. — Jack, naprawdę mi przykro.

Przyglądali się sobie ze smutkiem. Jack ścisnął jej dłoń. Claire przylgnęła do niego gwałtownie. Próbowali się pocieszać w bolesnej ciszy, jaka zapanowała.

Jack odwiózł Claire do obozu zaraz po śniadaniu. Wrócił do domu dopiero wtedy, kiedy obiecała, że zjawi się wieczorem. Po powrocie zadzwonił do Karen. Przyszła natychmiast. Ułożyła do snu Megan i poszła do kuchni, by pomóc bratu.

— Próbowiałem wszystkiego — wyznał ponuro wsypując do rondla z gotowanym owsem trochę nie oczyszczonego cukru. — Karen, ja ją tracę.

Zakręciła kurek i wytarła mokre ręce.

— Nie mów tak. Nie wierzę w twój pesymizm. Nigdy się nie poddawałeś, jeżeli czegoś naprawdę chciałeś.

Posmakował i dodał więcej cukru.

— Claire nie jest „czymś”, tylko „kimś”.

— Sypiesz za dużo cukru. Tak czy owak fajnie, że zaprosiłeś rodziców. Zakocha się w naszym tatuśku i nie będzie chciała jechać.

— Miałem nadzieję, że to mogło by się stać, gdyby zakochała się we mnie. — Rozdrażniony dodał jeszcze cukru.

— Nie jesteś taki miły jak tato.

— Ale jestem bogatszy. Karen spojrzała zamyślona.

— Nie sądzę, żeby to ją obchodziło taką kobietę jak Claire. Ona jest naprawdę niezwykła.

— Już bym wolał, żeby taka nie była. W ogóle żałuję, że ją spotkałem.

— Wcale nie żałujesz. — Przyjrzała mu się z ukosa. — Czyż nie? Zwrócił w jej stronę zbolaną twarz.

— Och, Karen. — Po jego policzkach potoczyły się dwie łzy.

— Mój biedny braciszek — uspokajała go przytulając. Opadł, obejmując ją ramionami. — Biedny Jack — zawodziła, kiedy rozplakał się na dobre, szlochając jak Claire zeszłej nocy.

— Przykro mi, przepraszam — wymamrotał, ocierając twarz.

— Niech ci nie będzie przykro. W dzisiejszych czasach mężczyznom pozwala się płakać. To jest nawet bardzo modne.

— Nie tak mnie wychowywano, siostrzyczko. Pocałowała go w mokry policzek.

— Próbujesz zapomnieć żartując, Jack. Wiesz, że to na nic.

Westchnął ciężko.

— Cholera, nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić.

Wiatr rozwiewał włosy Claire, kiedy galopowała na Nieve, mijając obrzeża baśniowej wioski.

Czuła się jakoś trochę lepiej. Nie wiedziała dlaczego, ale śniadanie i perspektywa spotkania z rodzicami Jacka ekscytowała ją bardziej niż cokolwiek innego. Może była to tęsknota za domem albo symbolika spotkania z tymi, którzy dali życie Jackowi. Nie była pewna.

Mimo wszystko, jadąc, czuła się spokojniejsza.

Zbliżała się do rzędu przepelnionych pojemników na śmieci. Zastanawiała się, czy Lord Petit Sirrah pokłóci się z radą o złe warunki sanitarne. Gdyby opróżniono je częściej, co by się wtedy stało? Zostaliby na dłużej? Co wtedy? Czy ona by została?

— Uciekam — powiedziała głośno. — Płynę wiatrem. Jestem wolna, tak jak zawsze o tym marzyłam. Mam przed sobą całe życie. Nie chcę się teraz nigdzie zatrzymać — zaśmiała się nerwowo. — Śniadanka niedzielne? Chybabym zwariowała.

„Jesteś szalona — skarcił ją jakiś wewnętrzny głos. — Uciekać przed takim facetem do takiego życia?”



„Nie, to ze względu na Amy!” — broniła się. Rozwścieczona spięła klacz, by skręcić za śmietnikiem. Kiedy Nieve wykonała jej polecenie, plastikowa torba zaczęła się zsuwać ze szczytu piramidy śmieci i zniknęła rozgnieciona pod kopytami konia.

Claire usłyszała przeszywający pisk. Ściągnęła cugle i zeskoczyła wracając do miejsca, gdzie leżała torba.

Zbójckie oczy maleńkiego szopa przyglądały się jej badawczo. Zaskrzeczał próbując uciec, ale coś mu przeszkadzało.

— W porządku, malutki — powiedziała. — Nie zrobię ci krzywdy.

Zaczęła odgarniać śmiecie. Ścisnęło jej serce, kiedy na starych gazetach i papierowych talerzykach dostrzegła ślady krwi.

— Och, nie — jęknęła, odkrywając małą istotkę. Jego przednia łapka była we krwi. Wił się z bólu, gdy jej dotykała. Zanim podniosła, zawahała się na moment. Wyglądał na zdrowego, ale był taki mały, że obawiała się wyrządzić mu jeszcze większą krzywdę. Chcąc się wyzwolić z uścisku, drapał ją po rękach. Pomimo to trzymała go mocno.

— Tak bardzo mi przykro — powtórzyła, krzywiąc się, kiedy ostre pazurki zadawały jej ból.

Kiedy dwie godziny później Amy wpadła do przyczepy, Claire przytrzymała szopa, próbując go zmusić do wypicia wody.

— O rany! — wykrzyknęła. — Co mu się stało? Claire skrzywiła się.

— Przejechałam go.

Amy postawiła torbę podróżną, przyglądając się przestraszonemu zwierzątku.

— To ty go opatrzyłaś?

— Nie. Byłam u weterynarza. Powiedział, że za kilka dni wszystko będzie dobrze. Na szczęście to tylko łapka.

Amy parsknęła.

— Kiedy ty się zraniłaś, nie chciałaś, abym zadzwoniła do lekarza. To u ciebie normalne. Nie wahasz się nigdy, gdy komuś drugiemu coś się dzieje.

— Więc nazwij mnie Słowikiem Florenckim. Jak minęła noc?

Amy podniosła torbę.

— Było cudownie. Będę tęsknić za Hawthornami.

— Wyglądają na sympatycznych. Co z głową profesora?

— O wiele lepiej. Są bardzo fajni i dowcipni. Wiesz, że on studiował w Mordzie?

— Klasa!

Amy uśmiechnęła się z roziskrzonymi oczami.

— Tak, i...

— To musiało być drogie — powiedziała Claire. — Nie mogę sobie wyobrazić, jakie tam jest czesne. Jak kogoś może być na to stać?

Amy straciła wątek.

— Tak, cóż...

— Co chciałaś powiedzieć, kochanie? Przerwałam ci.

— Nic — bąknęła, rozpakowując torbę i układając swoją skromną garderobę.

Claire zmarszczyła brwi.

— Amy, nie wściekaj się. Nie chciałam ci przerywać.

— Wiem! — krzyknęła. Potarła czoło. — Przepraszam, Cunky. Boli mnie głowa. Wyjdę na trochę.

Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem. Claire popatrzyła zdezorientowana.

— Co ja zrobiłam? — spytała szopa. Zwierzę zaskrzeczało, ciągle się opierając.

— Proszę, chcę ci tylko pomóc — powiedziała zirytowana. — Chcę twojego dobra, wiesz?

Szop wił się, drapiąc jej i tak już podrapane ręce.

— Auu! — wykrzyknęła. — Dobra, wracamy do klatki. Przeniosła go do dużej, drucianej klatki, którą pożyczył jej weterynarz. Zabezpieczyła drzwiczki. Szop był najwyraźniej unieszczęśliwiony. Próbując stanąć na tylnych łapkach, obijał się o druty.

— Tylko dopóki nie wyzdrowiejesz — tłumaczyła. Westchnąwszy przetała zadraśnięcia środkiem antyseptycznym. Dobrze, że zeszłej wiosny wzięła zastrzyk przeciwko tężcowi. Próbowwała otworzyć drzwi wozu. Zacięły się jednak po tym, jak Amy je zatrzasnęła.

Przez kilka minut mocowała się z klamrą, potem zaczęła walić.  
— Hej! — krzyczała — Amy, wypuść mnie! Nie było jej jednak.  
Claire była zamknięta.

Po uwolnieniu siostry Amy unikała jej przez resztę dnia. Początkowo Claire nie była pewna, czy robi to celowo, bo były tak zajęte, że nie miały zbyt wiele okazji, aby porozmawiać. Nawet kiedy zostawały same młodsza siostra odwracała wzrok, udając, że ma coś do zrobienia po przeciwnej stronie straganu.

Zakończyły pracę i poszły się przebrać przed wieczornym spotkaniem, w ogóle nie rozmawiając. Gdy zajechał Jack, Amy usiadła z tyłu wozu, wyglądając przez okno.

Spojrzał pytająco. Claire wzruszyła ramionami, poprawiając paciorkowy pasek obciskający talię. Miała błękitną spódnicę z gazy. Włożyła też nową, ozdobioną wstążką bluzkę roboty Amy, mając nadzieję, że przyjmie to jako akt dobrej woli. Ona jednak nawet tego nie skomentowała.

— Zawsze rozmawialiśmy — powiedziała Jackowi, kiedy wysiedli z samochodu, a Amy poszła przodem. — Nigdy nie miałyśmy sekretów.

— Ludzie się zmieniają. Claire westchnęła.

— Jesteśmy sobie takie bliskie. Otoczył ją ramieniem.

— Jestem pewien, że wszystko się dobrze skończy. — Kiedy otwierał przed nią frontowe drzwi, zmarszczył brwi. — Nie chce wyjeżdżać?

— Powiedziała, że nie może się doczekać wyjazdu.

— Mmm. To nie ta sama siostrzyczka, którą poznałem. Zazwyczaj była taka pogodna. — Uniósł palec. — Co z biednym Daveyem? Ostatnio też chodzi osowiały.

— Zapomniała o nim. Wszystko, o czym mówi, jeśli się w ogóle odzywa, to twoi przyjaciele Hawthornowie. Byli w Anglii, wiesz.

Uśmiechnął się.

— Ach tak, twoja ojczyzna w poprzednim wcieleniu.

— Gdzież on się podziewa? — zagrzemiał basowy głos dochodzący z pokoju. Usłyszeli stapanie ciężkich butów po dywanie, potem ich

odgłos na drewnianej podłodze.

Claire wysunęła głowę i zobaczyła potężnego mężczyznę o rudosiwych włosach, pogodnej, opalanej twarzy i jasnych, błękitnych oczach. Ubrany był w białą koszulę z krawatem i luźne marynarskie spodnie. Kiedy zobaczył Claire, na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech.

— Claire, jak przypuszczam — rzekł, zbliżając się do niej. Wyciągnęła dłoń, ale jemu nawet nie przyszło przez myśl podać swoją. Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku i ucałował w policzek.

— Ogromnie się cieszę, że mogę cię poznać.

— Cześć tato — rzucił oschle Jack. — Ja też się cieszę, że cię widzę.

Mężczyzna poklepał go bez entuzjazmu.

— Och, już dobrze. Ty jesteś po prostu moim chłopakiem, ale ta dama tutaj, cóż... — Spoglądając na syna, przybrał przepraszającą minę, jak gdyby powiedział zbyt wiele.

— Miło pana poznać, panie Youngblood — rzekła Claire nieco zakłopotana tym ciepłym powitaniem. Teraz wiedziała po kim Jack odziedziczył swój urok.

— Pan Youngblood był moim ojcem — odparował ojciec Jacka z udawaną burkliwością, przynależną jego dobremu usposobieniu.

— Mów mi OJ. Wszyscy mnie tak nazywają. Skierowali się w stronę dużego pokoju.

— To skrót od soku pomarańczowego — wyjaśnił Jack.

— Tato wyznawał kiedyś teorię, że... — Zaczął się śmiać.

— Uważaj, żółtodziobie, i lepiej nie obgaduj bezbronnego starca.

— Otoczył Claire ramieniem. Z jego ogromnych rozmiarów skonstatowała, że co jak co, ale na pewno nie był bezbronny. — Mój syn nie potrafi utrzymać w tajemnicy rodzinnych sekretów. — Stwierdził zagadkowo. Zmrużył oczy i popatrzył znacząco. — Jesteś bardzo piękna — rzekł. — Twoja siostra bardzo cię przypomina, choć są oczywiście różnice.

— Claire ma twoje oczy, tato — wtrącił żartobliwie Jack. OJ przytaknął. — A nazywają go OJ...

— Jacku Williamie, zapewniam cię, że nie jesteś za stary na to, by

dostać w skórę, jeśli będziesz nieposłuszny.

— ... od czasu, jak przeczytał coś o witaminie C. Pamiętasz, kiedy zaczął się ten szal? Żywił wszystkie krowy...

— Spójrz, Claire! — krzyknęła Amy siedząca na skórzanej sofie przykrytej jasną meksykańską kapą. — Mama Jacka uszyła dla Megan kowbojskie ubranko!

Podtrzymywała małą ubraną w kraciastą, biało-czerwoną koszulkę, chusteczkę pod kolor i maleńkie džinsy z wypustkami czerwonych sztruksowych frędzli. Megan zaszcebiotała, widząc Jacka. Kiedy ją uniósł, zaczęła wierzgać nóżkami.

— Maleńka Megan Oakley — zawołał, sprawdzając pieluszkę. Skrzywił się. — Największa leja na całym Zachodzie!

— Ha, ha, Jack, znasz zasadę — powiedziała Karen. Siedziała wyciągnięta na sofie obok Amy i Toma. Po jej prawej stronie spoczęła urocza pani w średnim wieku, ubrana w meksykańską suknię. Miała oczy tak ciemne jak Karen. Powitała Claire uśmiechem przypominającym uśmiech Jacka.

— Jaką zasadę? — spytała Amy.

— Ostatnia osoba, która ją trzymała, zmienia pieluchę — odrzekła Karen ze śmiechem.

Jack wyglądał na rozdrażnionego.

— Wiem, nie musisz mi przypominać. Chodź Megan, czas na nową pieluchę.

Matka Jacka przedstawiła się, kiedy opuścił pokój.

— Witaj. Musisz być Claire. Jestem Ruth, a Jack i Karen to moje dzieciaki.

— Uszyła nawet suknię ślubną Karen — wtrąciła Amy. Claire się zaśmiała.

— Skąd ty to wszystko wiesz! Byłaś tu tylko pięć minut przede mną.

Amy zatrzepotała rzęsami.

— Jestem szybka.

Młodsza siostra nie była już nadąsana. Teraz była tą tryskającą życiem Amy, jaką Claire zawsze znała albo myślała, że zna. Znów

była niczym żywe srebro. Olśniewała wszystkich obecnych.

„Ja też mogłabym taka być — pomyślała Claire, podając rękę Ruth. — Myślałam, że żyję w cieniu, ale w moim życiu pojawiło się słońce i rozjaśniło je. A to są ludzie, którzy wydali go na świat.”

— Cieszę się, że panią widzę — rzekła wzruszona Claire. — Jack mi wiele o pani mówił.

— Nam też dużo o tobie opowiadał — wtrącił OJ.

— Cicho! — skarciła go pani Youngblood.

— Może ktoś chciałby się napić? — spytała Karen, podnosząc się. Przygotowaliśmy z Jackiem koktajl.

— Pycha! — krzyknęła Amy. Zamilkła pod karcącym spojrzeniem siostry. — To znaczy... proszę o colę.

— Pozwól jej na jedną szklaneczkę — nalegał OJ. — W końcu jesteśmy tu sami swoi. Nie będziesz jej miała za złe?

Zmilkła.

— No dobrze.

— I tak zazwyczaj zlizuję tylko sól — rzekła Amy.

— Więc po jednym dla każdego? — chciała wiedzieć Karen.

— Pomogę ci — zaoferowała Claire, opuszczając z nią pokój.

— Ja też — dodała Amy, śpiesząc za nimi. Oddalając się usłyszały ściszony głos OJ-a:

— O kurczę! Przyznać trzeba, że chłopak ma gust. Jest prawie tak piękna jak ty, Ruth.

Amy pociągnęła siostrę za bluzkę.

— Wydaje mi się, że myślą, że wyjdiesz za Jacka — wyszeptwała.

Claire spojrzała zaskoczona.

— Co?

— Wyjdiesz za niego? — jej głos zabrzmiał dziwnie niepokojąco.

— Oczywiście, że nie. Za trzy dni wyjeżdżamy.

— Och, tak — przytaknęła i zamilkła. Claire zagroziła siostrze drogę.

— Co ci się stało, mała? — spytała. — Jesteś zła, że za niego nie wychodzę?

Amy zmarszczyła brwi, wpatrując się w podłogę.

— Dlaczego miałabym być zła? To byłoby głupie.

— Nie jesteś szczęśliwa, że jest, tak jak jest? Myślę o podróży, którą planowałyśmy na następne sześć miesięcy. Pomyślałam, że mogłybyśmy trochę oszczędzić i wyjechać jakoś do Anglii.

Myślała, że Amy wpadnie w euforię, ale ona tylko westchnęła i powiedziała:

— W takim tempie to zabierze nam lata.

— Być może, ale zrobimy to, jeżeli tylko będziesz chciała.

Amy zaśmiała się perliście.

— Jasne, że chcę, Cunky. Zawsze o tym mówiłyśmy. Pamiętam, jak niecierpliwie czekałaś w zeszłym roku, kiedy skończę szkołę, abyśmy mogły rozpocząć podróż. — Spoważniała. — Jak się poświęcałaś, obarczając się zniecierpliwioną pracą, by mnie utrzymać. Za każdym razem, kiedy ciotka Norma groziła, że mnie zabierze, wygrywałaś z nią.

— Uścisnęła jej dłoń. — Czas, żebyś i ty zaznała trochę radości — dodała pośpiesznie. — Przepraszam za ten mój zły nastrój. Postaram się zmienić.

Claire pogładziła ją po włosach.

— Och, kochanie, bądź taka, jaka jesteś. Coś mi nie wyszło. Odniosłam wrażenie, że jesteś na mnie za coś wściekła. — „Za Jacka” — dodała w myśli.

Weszły do kuchni. Karen zajęta była oszranianiem szklanek.

— Nie zdążyłam ci powiedzieć — kontynuowała Claire — że wszyscy na przyjęciu pytali, kto uszył moją suknię. Myśleli że jest z Paryża!

Amy spojrzała.

— No jasne!

— Jesteś wspaniałą krawcową — dodała Karen, maczając brzegi szklanek w białku i rozlewając koktajl. — Twoje kostiumy mają wartość muzealną.

— Może powinnyśmy więcej za nie brać — zamyśliła się Claire.

— Otóż to — odrzekła Karen. — To źle, że ciągle jeździcie. Założę się, że mogłybyście zbić fortunę, sprzedając je sklepom.

— Faktycznie, mogłybyśmy to robić — wykrzyknęła Claire podniecona. — Mamy trasę na sześć miesięcy. W każdym mieście możemy im pokazywać próbki, a potem szyć w nocy. W ten sposób szybko wyjedziemy do Anglii.

Siostra znów ją zaskoczyła. Zamiast się ucieszyć, posłała tylko słaby uśmiech i powiedziała: „Brzmi wspaniale”, głosem zupełnie pozbawionym entuzjazmu.

— Oczywiście, nie musimy, jeśli nie chcesz — odrzekła niepewnie Claire.

Młodsza siostra wzruszyła ramionami.

— Porozmawiamy o tym później, dobrze? Teraz cieszymy się przyjęciem.

— Dobrze. — Claire była zdezorientowana. Znowu coś się popsło. Nie miała pojęcia dlaczego. Co zrobiła? Co powiedziała? Dlaczego Amy nie chce jej tego wyjaśnić?

— Ha znów przegrywasz, OJ! — zakrzyknęła triumfalnie Amy. Rzuciła raketkę pingpongową i przełknęła łyk swojego drugiego koktajlu.

OJ zmrużył oczy i zwrócił się w stronę Claire, która siedziała wraz z Jackiem na stojącej na werandzie huśtawce. Z jadalni wszyscy udali się do ogrodu wyposażonego w siatkę do gry w siatkówkę, stół pingpongowy, trawnik do krykieta i basen, w którym pluskał się Tom. Jack kazał też zainstalować ogromny podest i zbudować wiktoriański gmach teatralny z trzema salami dla Megan, kiedy „trochę podrośnie”.

— Chce pan jeszcze raz zagrać? — spytała Amy. Mężczyzna ciągle patrzył na Claire.

— Skąd ty wytrzasnęłaś takiego dzieciaka?

— Znalazłam na krzaczku różanym — odparła zrezygnowanym, lecz pełnym rodzicielskiej czułości tonem.

— Cunky! — zawołała Amy. Pomachała raketką. — Kto przyjmie moje wyzwanie? Czyżbyście wszyscy stchórzyli?

— Ja to zrobię! — zawołała Karen. Oddała Megan matce. — Mamo, potrzywasz ją? Muszę bronić honoru rodziny.



— Zagrajmy we czwórkę, Ruth — zaproponował OJ. — Oddaj brzdąca Jackowi i chodź mnie poratować.

— Już, kochanie. — Ruth podeszła do huśtawki i oddała małą Jackowi. — Pamiętasz, kiedy kupiliśmy pierwszy stół pingpongowy? — spytała śmiejąc się. — Po Karen to kompletnie spłynęło. Całe lato przesiedziała w pokoju, czytając magazyny dla nastolatków i słuchając płyt.

— Oraz wypychając sobie stanik — dodał Jack chichocząc.

— Pamiętasz, Tamtego lata Dayton Cook kupił sobie półciężarowy wóz wyścigowy.

Ruth syknęła.

— Widać, że synek pamięta co innego, a mama co innego. — Uśmiechnęła się do Claire. — Poczekajmy, aż będzie miał swoje dzieci.

— Ruth! — krzyknął OJ.

— Już idę OJ!

— Chciałabyś potrzymać Megan? — spytał Jack, oddając Claire gaworzące maleństwo, zanim zdążyła odpowiedzieć. — Hmm... „poczekajmy, aż będzie miał swoje dzieci”. Megan jest tu tak często, że właściwie jest moim dzieckiem.

Mała zamrugła oczami, wymachując malutkimi piąstkami.

— Mówią, że to coś zupełnie innego. Amy jest jak moja córka, ale gdzieś głęboko czuję, że tak nie jest.

Jack zamruczał coś pod nosem.

— Co mówiłeś?

— Nic, nic — odrzekł, obejmując ją ramieniem. Łaskocząc małą w nos, powiedział: — Zobaczymy jak grają i czy nie oszukują. Karen lubi oszukiwać.

— Jestem pewna, że nie oszukuje! — zawołała Claire.

— Bzdura, wszyscy to robimy. Nasza rodzina uwielbia wygrywać.

— Ale umie też kochać.

Przyglądali się wspólnie grze. Jack wstał, by komentować rzuty, o które sprzeczali się grający. Amy śmiała się z innych, potrząsając raketką, kiedy piłka przelatywała na jej stronę i obiecując OJ-owi, że

go „zbije na kwaśne jabłko”. Megan tuliła się do Claire, wdychając powietrze przez swoje maleńkie różowe usteczka. Wokół rosły drzewa i śpiewały ptaki. To był cudowny, letni wieczór. Wieczór rodzinny. Nagle Jack dotknął jej policzka i rzekł:

— Wyglądasz na zasmuconą. Ciekawe, o czym myślisz. ..

Ocknęła się, zdając sobie sprawę, że była zagubiona w myślach.

— Och, po prostu myślałam, jak wiele z tego straciła Amy. — Wpatrywał się w nią. Poczowała się nieswojo. — Czy coś chciałeś powiedzieć? — spytała łamiącym głosem.

Zawahał się.

— Właśnie myślałem, kochanie, jak wiele z tego ty straciłaś.

— Ależ nie — odrzekła szybko. — Kiedy byłam mała, tak świetnie żyliśmy.

Popatrzył z dobrocią, miłością.

— Claire, twoi rodzice zrzucili na ciebie prawie całą odpowiedzialność za Amy. Przez to tak wiele straciłaś.

— Niezupełnie. To Amy...

— Amy się świetnie bawi. Nie żyje przeszłością. Wzburzyło ją to.

— No cóż, wielkie dzięki! Megan zaczęła płakać.

— Nie chciałem cię urazić, kochanie — powiedział. —

Próbowałem tylko zaznaczyć, że...

Claire przytuliła Megan, głaszcząc ją. Mała się uciszyła.

— Więc nie próbuj. Stale mnie chcesz pouczać. Jeszcze nie zwariowałam, Jack.

— Nie próbowałem cię pouczać. Chciałem tylko... chcę...

— Ha! — wykrzyknęła triumfalnie Amy. — Wygraliśmy! Claire, jesteśmy mistrzami świata!

— Gratulacje — zawołała Claire, machając ręką.

— Powróciły — rzucił Jack ponuro. Claire spojrzała na niego.

— Co?

— Mury, które wznosisz wokół siebie. Wyrzuciłaś mnie poza nawias.

Poczowała się, jak gdyby wymierzył jej policzek. Czy naprawdę wyglądała na tak zimną, bezduszną?

— Cóż, być może ty robisz to samo — odpowiedziała broniąc się.  
Jack wstał.

— Tak, masz rację. Tak jest najlepiej. — Odszedł od huśtawki. —  
Czy ktoś jest chętny na następną partię?

OJ podał mu raketkę.

— Masz, zastąp staruszka, żółtodziobie.

— Czy Claire nie chciałaby zagrać?

— Nie — pochwycił Jack. — Woli patrzeć beczynnienie.

RS

## Rozdział dziesiąty

Koniec wieczoru był smutny. Claire nie była pewna, czy Jack zechce się z nią jeszcze spotkać. Jego krótkie pożegnanie, kiedy odwiózł je do obozowiska, było gorzkie i wyglądało na ostateczne.

— O kurczę, co go ugryzło? — spytała Amy, kiedy patrzyły, jak bierze zakręt i znika na szosie.

— Jest jakiś nieswój, nie sądzisz?

— Myślę, że się czymś martwi. Zazwyczaj jest taki pogodny. — Amy otworzyła drzwi w przyczepie. — To byłoby fajnie mieć brata, co nie? Mógłby mieć całą masę przyjaciół i... o rany!

— Co? — Claire próbowała coś dostrzec przez ramię siostry.

— Co się stało?

— Och, Cunky, ten głupi szop! — Amy wpadła do wozu i pobiegła w stronę klatki. — Wracaj, ty wstrętny szurze!

Claire weszła za nią.

— Och, nie!

Kwiaty, wstążki i ubrania — wszystko było poprzewracane do góry nogami. Torba z lawendą leżała rozerwana. Pachnące zioła wysypały się na podłogę. Wspaniałe tkaniny poplamione były kawą i rozlanym ketchupem. Na środku tego bałaganu siedział, skrzecząc, jak gdyby się śmiał, szop.

— Ty mały gremlinie! — krzyczała Claire, starając się go złapać. — Wstydź się!

Ciągle jeszcze był zbyt chory, by uciekać, więc po kilku próbach Claire udało się go złapać. Próbował ją ugryźć, szamocząc się w ramionach. Amy przyłożyła mu klapsa.

— Claire, wyrzuć go! — krzyczała.

Claire jednak nie słuchała jej. Zaciskała łapki szopa w dłoniach.

— Paskudo przestań! Jak on wyszedł z klatki? Amy, otwórz klatkę. Wsadzę go.

Amy ciągnęła go za zadek.

— Claire, oszalałaś? Znowu wyjdzie. Musimy go wypuścić.

— Auć! — Ostre pazury wbiły się w ramię Claire. — Amy, nie możemy tego zrobić, on jest chory.

— To jest dziki zwierz.

— Ale potrzebuje opieki.

Młodsza siostra mignęła w drzwiach przyczepy.

— Wygląda na całkiem zdrowego. — Zmiękła. — Cunky, był czas, żeby go trzymać, teraz trzeba go wypuścić. Nie ma sensu go tu zamykać. Poradzi sobie bez nas.

— Myślisz? — spytała płacziwie.

— Będzie nam tylko przeszkadzał. Musi żyć na swój sposób, a my na swój.

Claire westchnęła.

— Ale on nas potrzebuje. Nie możemy go wyrzucić.

— Nie wyrzucamy go. — Amy opadły ręce. — Na litość boską, Claire, przestań się nad nim uzalać.

Claire otworzyła usta zdziwiona.

— Myślisz, że ja to robię? Staram się nim zaopiekować. Amy zamilkła na chwilę.

— Czasami przesadzasz — powiedziała niepewnie. — Wiedz o tym, że nie jesteś za wszystkich odpowiedzialna.

— Mówisz jak Jack — odpowiedziała Claire.

— Naprawdę?

— Ale myślę, że masz rację — mruknęła, chcąc uniknąć jej pytania. — Weterynarz powiedział, by się nim zaopiekować dzień albo dwa, a potem wypuścić.

— Więc nie robimy niczego złego — dodała stanowczo Amy. — Natura go uzdrowi.

— W porządku, wygrałaś. — Claire wyniosła i wypuściła szopa. Natychmiast pierzchnął. — Nawet nie kuleje. Naprawdę nie potrzebował mojej pomocy.

— Na początku, tak — odrzekła Amy — ale teraz już nie. — Zrobiła teatralny gest. — Cudowna lekcja życia dla nas obu, milady. Przytaknęła z wolna.

— Istotnie. Zamknęła drzwi.

Claire ulżyło, kiedy następnego dnia zobaczyła, że przyjechał Jack, by zaprosić je na kolejny rodzinny obiad. Pojechały, ale dla Claire był to wieczór pełen napięcia. Jack był miły i przyjazny, choć nieco obojętny. Nie mieli ani chwili, by porozmawiać o swoich sprawach.

Nie mogła się zupełnie domyśleć, co myśli i czuje. Wywnioskowała, że jest na nią zły, ale nie była tego pewna. Jego oczy, które zawsze, gdy wzbierał w nim gniew, stawały się podobne do chmur burzowych, pozostały jasne i spokojne.

Kiedy usłyszała przez przypadek, jak mówi Karen, że powinien „przedyskutować kilka spraw z Jessie” zaczęła wierzyć, że między nimi wszystko skończone. Wziął sobie do serca jej słowa.

Wyjeżdżała, a on musiał jakoś dalej żyć. Wykreślił ją.

Właśnie miała mu powiedzieć, że muszą już' iść, kiedy OJ, klepiąc Ruth po kolanie, rzekł:

— Cóż, kobieto, czas już chyba spać.

— Tak. — Uśmiechnęła się do Claire. — Jutro wczesnym rankiem wyruszamy do Tuscon. Cieszę się, że mogłam zobaczyć ciebie i Amy.

— Ja także, pani Youngblood — odparła szczerze Claire.

Matka Jacka pogroziła jej palcem.

— Pamiętaj, mów mi Ruth. Mam nadzieję, że się wkrótce spotkamy.

Claire przytaknęła grzecznie, stwierdzając, że Ruth Youngblood musiała zapomnieć o ich wyjeździe.

Rozpoczęły się ceremonialne pożegnania. Amy uścisnęła matkę Jacka.

— Dziękuję za ścinki. Zrobię z nich dziecinne czapeczki na sprzedaż.

Claire właśnie miała wtrącić, że to świetny pomysł, kiedy OJ kiwnął na nią, prosząc, by udała się z nim do kuchni. Idąc zobaczyła, że Jack krzywo patrzy w ich stronę. Odwrócił uwagę, gdy matka poprosiła go o uśmiech do zdjęcia.

Kiedy weszli do kuchni, OJ oparł się o kontuar i rzekł:

— Wiesz, że złamałaś serce mojemu synowi, prawda? Otworzyła usta zdziwiona.

— Ja.. ja..

— Jest wystarczająco dorosły, by mówić za siebie, wiem, ale muszę coś dodać. Chłopak cierpi, więc jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy dobrze robisz wyjeżdżając, rozważ to wszystko jeszcze raz, proszę.

Skrzyżowała ramiona.

— OJ, ja... Podniósł rękę.

— Niczego nie tłumacz. To sprawa twoja i Jacka. — Uśmiechnął się, gładząc jej ramię. — I twoje serce, na Boga, dziewczyno, byłbym dumny, nazywając cię córką.

Opuścił kuchnię nie oglądając się. Claire stała wpatrzona w drzwi, chwiejąc się na nogach. Wpadła Amy.

— Karen i Tom nas podwiozą, Cunk. Chodźmy!

Przyłączyła się do pożegnań. Claire zachrypniętym głosem powiedziała Jackowi „dobranoc” i poszła wraz z innymi do samochodu. Siostra Jacka i jego szwagier wysadzili je przy obozowisku. Poszły spać.

Claire modliła się o sen, ale nie przychodził. Nadszedł ostatni dzień pobytu w Julian.

Czas włókł się niemiłosiernie. Jack myślał, że ten dzień nigdy się nie skończy. Dokładnie o piątej, kiedy zamknięto jarmark, wysłał Karen, by odwiozła Amy na noc do Hawthornów. Potem wziął prysznic, włożył świeże dżinsy i biało-czerwony podkoszulek do gry w rugby. Daveyowi kazał osiodłać konia.

Jego serce waliło jak młot. Nigdy w życiu nie był tak przerażony i zarazem zdecydowany.

Dosiadł Pioruna. Ogier przeleciał nad żywopłotem z orchidei. Przeciął do połowy przestrzeń między Jackiem i Claire, potem zawrócił. Minuty pełne tortur odliczały mroczne godziny.

„Do Claire, do Claire, do Claire” — kopyta końskie stukały jak wskazówki zegara.

„Na zawsze, na zawsze, na zawsze...”

Miliony złych rzeczy, miliony niesłusznych słów. To była jego ostatnia szansa.

Do Claire.

Spotkał ją niosącą do przyczepy wiklinowy koszyk pełen jedwabnych kwadratów. Miała na sobie kostium, którego przedtem nie widział, w kolorze zgniłej zieleni z białym i małymi akcentami szkarłatu na rękawach i staniku. Jasne włosy związała złotą siatką, która świeciła w słońcu. Światło upalnego popołudnia odbijało na jej ustach i policzkach różany blask dojrzałych jabłek z Julian.

„Och, moja słodka, moja słodka damo” — krzyknął w myśli, kiedy słysząc tętent konia, zatrzymała się, spoglądając w jego kierunku. Jej oczy były dwoma ogromnymi, błękitnymi światłami, które tak pragnął odkryć, zawojować. Blask słońca zarumienił jej twarz. Wydała się taka delikatna, że chciał ją otoczyć opieką, ukoić, uczynić jej życie pięknym i radosnym.

„Och, bądź moją damą, moją żoną...”

— Cześć — odezwała się pierwsza.

— Niech Bóg ześle ci dobry wieczór. — Jego głos był niski. Tłumił w sobie pasję.

— Tobie także.

Nie powiedział nic więcej. Postawiła koszyk, otworzyła drzwi wozu i wniosła go. Przyczepa załadowana była pudłami i stosami poduszek. Spakowały wszystko w przeddzień wyjazdu. Jarmark się skończył. Zatańczył ostatni tancerz, spakowano ostatni kufer. Sen się rozwiewał.

— Czy to był tylko sen? — spytał głośno Jack, zatapiając w niej wzrok. Była piękna, nieosiągalna. — Powiedz, Claire, czy tak było?

— Co? — Zakłopotana zamknęła drzwi. — Co masz na myśli?

— Wszystko spakowane? — Wygiął się do przodu w siodle.

Przytaknęła. — Dobrze.

Nadszedł czas, by zadziałać, zaryzykować ostatnią odmowę w życiu. Czas, by odważyć się na coś, czego — być może — więcej nie uczyni, coś, na co wyżyły się przed nim całe generacje mężczyzn.

Zanim Claire zorientowała się, co robi, chwycił ją pod ramię i posadził obok siebie na Piorunie. Potem złapał wodze i koń puścił się galopem.



— Co robisz? — krzyknęła, prawie spadając z przerażenia. Ręce Jacka niczym kleszcze zacisnęły się na jej talii. Schylił głowę do łba ogiera, ona zaś trzymała się go kurczowo.

Kopyta końskie uderzyły w ziemię z coraz większą siłą, w miarę jak oddalali się od obozowiska. Rumak pędził przez las, jak gdyby rozumiał zamiary swego pana. Pokonywał przeszkody i kiedy osiągnął pagórek, zarżał.

— Jack, co ty robisz? — spytała raz jeszcze, uczepiwszy się go ze strachu.

Nie odpowiedział. Niczym mężczyzna owładnięty namiętnością popędzał konia, zatapiając palce w jej ciele.

— Jack! — krzyknęła. — Proszę!

Był zmrok. Słońce oświetlało kopyta Pioruna i odbijało się smugami na pniach drzew. Dla Jacka czas się zatrzymał. Wiódł ją w szaleństwie przez las, zastanawiając się, czy dobrze zrobił i żałując, że nie może przewidzieć, jakie będą tego skutki. Kiedy poczuł przy sobie ciepłe ciało Claire, jego serce napełniła pewność i niepewność jednocześnie. Podziwiał zachodzące słońce. Jakby na zawsze zatrzymało się nad horyzontem. Zastanawiał się, czy bał się zmięczenia dnia, czy ich miłości.

Dojechali do rancho. Jack dał wszystkim wolną noc. Nie było nikogo w stajni. Kuchnia była pusta. Jedynym odgłosem był odgłos kopyt Pioruna na miękkiej ziemi i powtarzający się od czasu do czasu trel ptasi.

— Jack, co ty...

Zsiadł z konia, potem wziął ją w ramiona i niósł w stronę domu.

— Porywam cię — powiedział, otwierając frontowe drzwi.

— Nie możesz tego zrobić! — Zmieszana zaczęła się szarpać w jego ramionach.

Jego odpowiedzią był ponury uśmiech.

— Będę cię tu więził całą noc, Claire. Będę się z tobą kochał. Całą noc. Dopóki nie uświadomisz sobie, jak bardzo mnie kochasz i zostaniesz tutaj. — Błysnęły mu oczy. — Dopóki nie zgodzisz się za mnie wyjść.

Otworzyła usta.

— Wywyjść...

— Czyżbyś była zaskoczona? Czy nie wiedziałaś, że tego chcę? — Zatrzymał się na schodach, spoglądając na nią. — Czy dla ciebie stanowi to jakąś różnicę, kochanie?

Nie odpowiedziała. Jack przytulił ją mocniej, wchodząc dalej po schodach.

— Chcę się z tobą ożenić, Claire. Chcę być twoim mężem, stworzyć rodzinę, tutaj na rancho. Chcę być ojcem twoich dzieci.

— Ja... ja...

Zacisnął zęby nieświadom jej obaw i oszołomienia.

— Amy mogłaby zamieszkać z nami, na litość boską.

Mnie to nie przeszkadza. Lubię ją. Nie musisz poświęcać jednego z nas dla drugiego. — Zmarszczył brwi zdziwiony jej milczeniem.

— Nie musisz, Claire!

— Muszę! muszę! — krzyknęła. Po policzku spłynęła jej łza. — Muszę!

— Nie. Gdybyś kochała mnie dostatecznie, zobaczyłabyś, jak bardzo jesteś niesprawiedliwa. Udowodnię ci to.

Na górze skręcił w prawo, idąc w przeciwnym do sypialni kierunku. Przemierzył korytarz, którego nigdy wcześniej nie widziała, potem zatrzymał się przed drzwiami i pchnął je butem.

— Och, Jack — zaparło jej dech w piersi. — Jack, czy ty to zrobiłeś?

— Dla ciebie.

Wniósł ją do cudownie udekorowanej sypialni w stylu Tudorów z ciemnym rzeźbionym łóżem i cynowym świecznikiem. Ścianę obok łóżka pokrywała nadszarpnięta przez ząb czasu tapeta. Na pozostałych ścianach wisiały olejne portrety z rodzaju tych, które podziwiała Amy.

— Dzisiejszej nocy będziemy się kochać w twoim wieku — powiedział łagodnie, kładąc ją na łóżku. Spowijały ich draperie burgundzkich jedwabi. — Będziemy się kochać przez wieki. Gdybyś się urodziła wcześniej Claire, ja też musiałbym się wtedy narodzić.

Żyję, by cię kochać. Zawsze.

Próbowała się uśmiechnąć.

— Takie górnolotne słowa w ustach kowboja.

— Górnolotne, ale i przyziemne. Ty i ja jesteśmy ogniem i wodą. Płonę dla ciebie, spalam się, pożera mnie gorączka.

Pocałował ją, napełniając jej duszę ogniem. Jego miękkie usta parzyły aż po koniuszki włosów.

— Nie, nie — dyszała, próbując odwrócić głowę. — Sprawiasz mi jeszcze większy ból.

— Do cholery, sprawię, że będzie nie do wytrzymania — wyszeptał, podtrzymując jej głowę. Znow ją pocałował. Krzyknęła, kiedy ścisnął ramię, zmuszając, by leżała spokojnie.

Jego pierś falowała.

— Powiedz, powiedz, że mnie nie kochasz, Claire. Poruszyła ustami, nie wypowiadając żadnego słowa.

Jack przycisnął ją, patrząc w oczy.

— Powiedz, że chcesz wyjechać.

— Dlaczego to robisz? — wyszeptała. — Dlaczego mnie ranisz?

Zamknął oczy.

— Och, Claire, jak często chciałem ci zadać to samo pytanie. Tyle razy próbowałaś mnie od siebie oddalić i potem sama wracałaś. Widziałem, jak na mnie patrzysz spragniona, a potem widziałem, jak ode mnie uciekasz jak od trucizny.

— Tak mi przykro.

— Kochasz mnie. Wiem, że tak jest, do cholery jasnej! Jak długo będziesz się zastaniała Amy?

Złapała oddech. Jack schwycił ją za ramiona i zaczął nią potrząsać.

— Odpowiedz mi! Jak długo?

— Jak, proszę!

— Jak długo?

— To nie tylko przez Amy! — krzyknęła. — To nie tylko przez nią! Ja... ja... — Wybuchnęła płaczem.

— Och, maleńka, przepraszam — uspokajał ją Jack, sadzając i tuląc do siebie. — Nie chciałem cię przestraszyć. Przepraszam.

Kołysał ją szlochającą.

— Tak bardzo boję się ciebie pokochać — wyszeptała. —

Wszyscy, których kocham...

— Umierają.

Oparła głowę na jego piersi.

— I sama muszę się zmagać ze światem.

— Ale świat jest dobry — wyszeptał z ustami w jej włosach.

Głaskał ją po plecach. — Wszędzie są ludzie gotowi ci pomóc i zatroszczyć się o ciebie. Jeżeli cokolwiek by ci się stało, miałabyś przecież mamę, tatę i Karen. I twoją Amy. I całe mnóstwo innych osób, które by cię kochały, gdybyś im tylko na to pozwoliła.

— Och, Jack. — Po policzkach Claire spływały łzy. — Nie mogę się opanować. Nie... — Zamilkła na chwilę. Poczowała ulgę w sercu. — Tak mi smutno.

— Od kiedy pozwalasz sobie na taki upust uczuć? — oskarżał ją łagodnie. — Czy nie tłumilaś w sobie wszystkiego, by zachować twarz przy Amy?

Otworzyła usta.

— Nigdy nie opłakiwałam rodziców — powiedziała zadumana.

— Ani siebie.

— Nie, nigdy. Pocałował ją w czoło.

— Jak się nazywali?

— Richard i Diana.

— Więc... — Usadowił się na łóżku, opierając się na wezgłowie i przyciągając ją do siebie. Potem uścisnął dłoń Claire i położył na sercu. — Richardzie i Dianio — powiedział głośno — oboje pozwalamy wam odejść. Teraz Amy i jej siostra mają mnie i całą moją rodzinę. Nie ma więcej miejsca na smutki, które z waszego powodu ciągną się za Claire. Ona zawsze was będzie kochać. — Przytulił jej dłoń do swojego policzka. — I ja ją zawsze będę kochać. — Kiedy spojrział na nią, w kącie oka pojawiła się łza. — Zawsze cię będę kochać, troszczyć się o ciebie i wielbić do końca moich dni. I w następnym życiu i w jeszcze następnym — dodał, uśmiechając się czule.

— Jack, jestem przerażona — odparła łagodnie.

— Stoimy na moście — powiedział — pod nim jest wielki wąwóz. Jeśli złapiesz moją dłoń, pomogę ci przez niego przejść.

Wsunęła swoją dłoń w jego.

— Naprawdę mnie kochasz? Uścisnął ją.

— Tak, naprawdę.

— I naprawdę chcesz się ze mną ożenić?

Pokój zdawał się falować. Jego serce biło jak oszalałe.

— O tak, kochanie. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Westchnęła głęboko.

— I Amy może tu zostać? — Opadła z sił. — Och Jack, nie mogę.

— Możesz, możesz. Wszystko się ułoży. Musisz tylko trochę bardziej zaufać życiu, kochana. Musisz mi zaufać.

Podniosła jego dłoń i położyła sobie na piersi.

— Jack, kochaj mnie, proszę. Uspokoił się. Nie stracił jej.

— Och, kochana, wiesz, że tylko tego pragnę.

Zdjął z niej suknię. Na widok jej piękności ścisnęło mu się serce. Patrzyła płomiennym wzrokiem, zdejmując mu przez głowę podkoszulek i ściągając dzinsy.

Pieścili się, jak gdyby kochali się po raz pierwszy. Dla Claire było to najradośniejsze doświadczenie. Zupełnie spokojna dotykała naprężonego ciała ukochanego. Kompletnie zniknął ból i strach, zostawiając tak dojmującą euforię, że Claire poczuła się jak pijana. Śmiejąc się obejmowała go i całowała. Wiedziała, że zawsze go będzie kochać i że on będzie ją kochał. Wiedziała to, akceptowała i wyrażała w akcie miłosnym.

Kiedy ich ciała się połączyły, Jack szepnął:

— Witaj, zoneczko. — Wspólnie marzyli o przyszłości, o długich złotych latach pełnych przygód, odkryć i rozkoszy.

Później, kiedy leżeli spokojnie, Jack kreślił na jej brzuchu serduszka.

— Nie zabezpieczyliśmy się — powiedział. — Co byś powiedziała, gdyby się okazało, że właśnie założyliśmy rodzinę?

W odpowiedzi skryła głowę w jego piersi szlochając.

— Co się stało, najdroższa? — spytał zaniepokojony.

— Claire, przepraszam. Powiniennem sobie zdać sprawę...

Śmiejąc się przez łzy, Claire otarła oczy i potrząsnęła głową.

— Nic, kochany. Pomyślałam o urodzeniu ci dziecka.

— Westchnęła głęboko. — Myślę, że to by była najważniejsza rzecz w moim życiu.

Uścisnął jej dłoń, wracając myślą do dnia, w którym przyglądali się parzeniu koni. Myślał wtedy to samo.

— Jesteś damą mojego serca. Kocham cię — wyszeptał. Ukazała zęby w uśmiechu.

— Więc udowodnij to, milordzie.

— Jeszcze raz?

— Jeszcze raz.

Claire obudziło światło słońca. Na moment wpadła w panikę, że odjadą bez nich.

Przytuliła się do Jacka. Wyruszą bez Claire i Amy.

Przygryzła dolną wargę, obserwując wznoszące się słońce. Amy wkrótce wróci. Będą musiały porozmawiać. Jak przyjmie ten bieg wypadków? Poczuje się pewnie zdradzona.

— Będzie dobrze — uspakajał zaspany Jack, przytulając ją do siebie. — Zrozumie. Zobaczysz, wszystko się ułoży.

— Skąd wiesz, że o tym myślałam? — wyszeptała. Zachichotał zadowolony z siebie.

— Mężowie zawsze wiedzą. — Gładził ją palcami po piersiach. — Pojedźmy tam.

Przytaknęła, całując go w rękę. - Dzięki za zrozumienie. Nie spodziewałam się tego.

— Początkowo nie rozumiałem. Teraz cieszę się, że już to pojmuję. Kochanie, wiedz, że nigdy nie spróbuję zburzyć niezwyklej więzi łączącej cię z Amy.

Przytaknęła, modląc się, by Amy też to rozumiała.

Zajechali do obozu półciężarowym wozem. Wioska zniknęła. Na miejscu stały ciężarówki i samochody. Szykowano się w dalszą

drogę.

— Amy się pewnie zamartwia.

— Zaufaj mi. — To wszystko, co powiedział Jack. Wsunęła dłoń w jego rękę.

Jechali, torując drogę na zatłoczonej polanie. Claire zobaczyła Starego Tima, ładującego kartonowe pudła pełne butów. Sir Goodwrench popędzał wykręcającego się przed wejściem do wozu Merlina. Żegnała się ze wszystkimi. Dziękowała, że zapewnili im bezpieczną przystań, kiedy tego potrzebowali.

— Jest tam — powiedział Jack, wskazując przez szybę. — Są z nią Barbara i Dick.

Amy stała tyłem do nich, obejmując panią Hawthorn. Jack nacisnął klakson. Odwróciła się. Ku zdziwieniu Claire po jej policzkach spływały łzy.

— Zatrzymaj się — poprosiła Claire, wyskakując z Mercedesa, zanim zdążył spełnić jej prośbę.

— Amy! — krzyknęła, biegnąc do siostry.

— Och, Cunky! — Amy otoczyła ją ramionami szlochając.

— Nie... chcę... jechać! — wydusiła łkając.

— Ja też nie chcę! — zapłakała Claire.

— Chcę iść do college'u... co? Rozpromieniona Claire dodała:

— Chcę wyjść za Jacka!

Amy otworzyła usta ze zdziwienia. Spojrzała na Hawthornów.

Profesor uśmiechnął się uradowany.

— Claire, to cudowne!

Pani Hawthorn uścisnęła je obie.

— Och, Claire, podzielamy twoje szczęście.

— Dziękuję. — Spojrzała na Amy. — Myślałam, że będziesz zawiedziona, mała. Sądziłam, że jesteś o niego zazdrosna.

Amy zaczęła się śmiać.

— Obie bałyśmy się szczerości. Chciałam iść do college'u od momentu, kiedy ukończyłam Ravelle. Hawthornowie dużo mi o tym opowiadali. Im więcej mówili, tym bardziej wariowałam, bo wiedziałam, że wyjedziemy... Ty chcesz wyjść za Jacka?!!

— Właśnie tak! Zaśmiały się,  
— O kurczę! Ty szczęściaro! Cholera, Jack, świetny z ciebie facet!  
— Zatrzepotała rękami, kiedy podszedł, obejmując Claire w tali. —  
Cunky, włożysz prawdziwą ślubną suknię? Mogę pomóc ci uszyć? —  
Amy wydała okrzyk radości. — Jack! będziesz moim starszym  
bratem! — Zrzuciła mu ręce na szyję. — Claire, znów będziemy  
mieć prawdziwą rodzinę!

— Tak, maleńka.

— I pójdę do college'u. Już wiem, jakie wybiorę przedmioty. —  
Zaśmiała się chytrze. — Wykułam na pamięć cały katalog.

— Więc to tak namiętnie studiowałaś! — uświadomiła sobie  
starsza siostra.

— Tak. Mam całe stosy katalogów. Zbieram je całe lato.

Claire potrząsnęła głową.

— Tak się bałam powiedzieć ci o Jacku. Gdybym to zrobiła,  
wszystko byłoby prostsze. Byłyśmy o krok od popełnienia wielkiego  
błędu, a to dlatego, że nie chciałyśmy się zranić.

Amy mocno ją uścisnęła.

— Nie musimy się już więcej bać, Cunky. Obie będziemy miały to,  
o czym marzyłyśmy.

Claire stała na końcu nawy, opierając się na ramieniu OJ-a.  
Patrzyła na Amy wystrojoną w cudną wiktoriańską suknię w kolorze  
stonowanego różu. Dumnie, z gracją szła po usianym kwiatami  
dywanie małej kapliczki w Julian. Przed nią, trzymając w ramionach  
Megan szła Karen ubrana w mszystozieloną suknię tego samego  
kroju, co Amy. Drogę panny młodej udekorowała płatkami ze  
swojego różanego żywopłotu.

Jack z Tomem u boku czekał na Claire obok pastora.

Odwzajemniała jego spojrzenia przez przejrzystą zasłonę welonu,  
oszołomiona myślą, że ten cudowny mężczyzna będzie wkrótce jej  
mężem. W gołębioszarym garniturze wyglądał przepięknie. Kolor  
koszuli kontrastował z opaloną skórą i złotobrazowymi oczami.  
Radość Jacka wypełniała kościół, niemalże unosiła się w powietrzu.

„Panie, dziękuję ci — pomyślała Claire z sercem ściśniętym ze



szczęścia. — Za wszystko, za wszystkich. Za to, że pozwoliłeś mi zaznać takiej radości."

Rytm marsza weselnego potęgował się. OJ pogładził ją po dłoni i wyszeptał.

— Chodźmy, córeńko. „Wstąpmy na nową, nieznaną drogę."

Kiedy wszyscy zgromadzeni wstali i zwrócili się w stronę Claire, jej oczy zaszyły łzami. Miała na sobie białą jedwabną krynolinę z koronkowym stanikiem i obcisłymi rękawami wyhaftowanymi w małe różyczki i usianymi perełkami. Każdą z perełek przyszyły kochające ręce Amy. Ścisnąwszy bukiet z róż i orchidei zerwanych w ogrodzie Karen, Claire skinęła w stronę OJ-a i zaczęli iść.

Jessie Reynolds mrugnęła do niej, życząc szczęścia. Danielle, Patrick, Victorine — wszyscy nowi znajomi Claire uśmiechali się, kiedy przechodziła. Ruth ocierała oczy. Amy stała rozpromieniona i tak samo szczęśliwa, jak siostra.

Kiedy ojciec podprowadził ją do ołtarza, oddając mu jej serce i życie, Jack wyszeptał słowa: „Kocham cię".

Stanęła obok niego. Ujął jej dłoń. Pastor rozpoczął ceremonię zaślubin.

— Najdrożsi w Chrystusie, zgromadziliśmy się tutaj... „O tak, najdrożsi. — Claire objęła myślą wszystkich

obecnych w kościele. — Jack, kochanie, oto jesteśmy." Oto jesteśmy.